TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Nowa rozgrywka Billa Gatesa
Adwent: roraty i czekoladki
Kiedy branża beauty staje się groźna
Tomasz Schuchardt robi nam kino
Jak żyć z narcyzem

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 26 listopada – 2 grudnia 2025 nr 48 (3986)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

WOJNA I PRZYSZŁOŚĆ: OPOWIEŚĆ ANALITYKA

WOJCIECH KONOŃCZUK NA STRONACH 12–17



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Albatros travel

Rejs po rzece Mekong

Popłyń w niezapomniany rejs z Ho Chi Minh City w Wietnamie do Angkor Wat w Kambodży na pokładzie wygodnego statku rzecznego, a na koniec odwiedź jeszcze Bangkok.

Poznaj Wietnam i Kambodżę podczas 7-dniowego rejsu po Mekongu, odkrywając słynne i mniej znane zabytki. Zwiedzimy Ho Chi Minh City i tunele Cu Chi, po czym popłyniemy przez zieloną deltę Mekongu aż do Kambodży. Odwiedzimy Phnom Penh, poznając historię reżimu Pol Pota, oraz Angkor Wat w Siem Reap. Podczas rejsu zobaczymy świątynie, wysepki i codzienne życie nad rzeką. Podróż zakończymy w Bangkoku.

16 dni
Wyloty z Warszawy
22/02 2026,
22/02 2027

od **17.998,-**



Pełne wyżywienie na statku



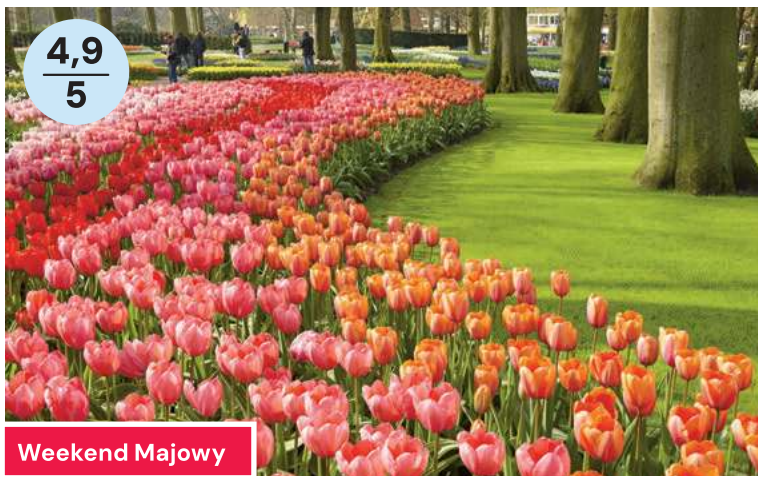
Zakwaterowanie w hotelu 4*

Wiedeń i opera Tosca

Odkryj piękno cesarskiego Wiednia i zobacz fantastyczne, plenerowe przedstawienie opery Tosca.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Wiednia i panoramiczne zwiedzanie miasta. **Dz. 2** Zwiedzanie Wiednia i opera Tosca w kamieniołomach St. Margarethen. **Dz. 3** Wizyta w Klasztorze Klosterneuburg i degustacja wina. Po południu czas do własnej dyspozycji. **Dz. 4** Czas wolny lub zwiedzanie Pałacu Schönbrunn. Wylot do Polski.

4 dni | Wylot z Warszawy 17/07 2026 | od 3.998,-



Weekend Majowy

Amsterdam i kwitnące tulipany

Odwiedź Amsterdam wiosną i zobacz kwitnące tulipany w parku Keukenhof.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Amsterdamu. Wiatraki w Zaanse Schans. **Dz. 2** Amsterdam – rejs po kanałach i pływający targ kwiatowy. **Dz. 3** Park kwiatowy Keukenhof. Wizyta na farmie serów. **Dz. 4** Amsterdam – czas wolny i powrót do Warszawy.

4 dni | Wyloty z Warszawy 05/04, 28/04 2026 | od 4.498,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP04**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

KS. ADAM

Boniecki: *Ile masz słomek*

Wiadomo, że w historii Kościoła daty adwentu były różne, że Bożego Narodzenia początkowo nie obchodzono, że obchodzono je razem ze świętem Trzech Króli, że daty się zmieniały itd. Wiadomo także, że obchody Bożego Narodzenia są późniejsze od obchodów Wielkanocy i że data jest wybrana według klucza symbolicznego, nie historycznie. Dokładnej daty narodzenia Chrystusa nie mamy – i na tym trzeba poprzestać.

Moje wspomnienia z dzieciństwa zachowały czas adwentu jako czas dobrych uczynków rejestrowanych w pamięci i przy pomocy... sianka. Przez cały ten okres mieliśmy bowiem prawo i obowiązek zapamiętywania dobrych uczynków spełnionych w ciągu dnia, by wieczorem, nie informując nikogo o tym, na czym dany uczynek polegał, za jeden uczynek włożyć do odpowiedniego pudełka jedno pasemko siana. Na Boże Narodzenie to uskładane sianko wkładało się do żłóbka i na nim kładło figurkę Dzieciątka Jezus. Pamiętam, że moje kuzynki zbierały swoje dobre uczynki osobno, a potem ich sianko łączono z naszym. Pamiętam też, że tych dobrych uczynków miały znacznie więcej od nas. Może jakoś inaczej oceniały swoje dobre uczynki, albo po prostu były od nas lepsze...

To były dawne czasy, ale pozostało poczucie, że adwent jest czasem przytomności: czasem świadomego wybierania dobra. Oczywiście podczas liczenia dobrych uczynków było ich więcej niż wtedy, kiedy się ich nie liczyło. A potem, w dorosłości to się wszystko zamazało. Niby adwent, niby czas większej uwagi, ale w gruncie rzeczy taki sam jak inne, bez „słomek", bez zwracania uwagi na to, co się robi, pewnie bez dobrych uczynków. Niestety. Powinno być tak, że efektem ćwiczeń młodego wieku będzie nawyk lat późniejszych. A nie jest. Chociaż, może jednak jest do czego nawiązać... Może tamte dawne praktyki jakoś mogą odżyć i działać, proporcjonalnie do wieku i stopnia przytomności. Może...

Jedno jest pewne: adwent został wymyślony ze świadomością tego, jaka jest ludzka natura, jak łatwo od wzniosłości przechodzimy do zwykłości naszych szarych dni i życia tą szarością. To jest wygodne, a jednocześnie niebezpieczne, bo godziny próby spadają na nas całkiem, lub prawie całkiem, niespodziewanie. Bez wprawiania się w zwykłej codzienności i w sprawach zwykłych możemy nie sprostać próbom, które spadną na nas nagle i wymagają wielkiej odporności. Adwent nie jest wtedy czasem liczonych przez nas dobrych uczynków, ale czasem większej niż zwykle uwagi, świadomości i uczenia się wciąż od nowa przykazania miłości, które w różnych fazach życia niesie inną treść.

Żyjąc dość długo, dochodzę do wniosku, że adwent – i nie tylko adwent, ale życie w ogóle – w różnych etapach stawia nas wobec całkiem nowych wyzwań. Inne są one, kiedy jesteśmy młodzi, inne, kiedy starość zakołacze do naszych drzwi. Pewnie każdy przeżywa to inaczej, ale ważne, by – jakkolwiek to przebiega – różnicy nie przegapić. ©℗



GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

TP W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH „TYGODNIKA"

JĘDRZEJ GRODNIEWICZ, ANNA URBANEK: Osoby w spektrum autyzmu wiele płacą za dostosowywanie się do reguł społecznych.

DOMINIK DUBIEL o gregoriańskich śpiewach, które z kościołów przenoszą się dziś do sal koncertowych i serwisów streamingowych.

STANISŁAW CALIK o fenomenie najpopularniejszej audycji w dziejach polskiego radia. Czym Tońko i Szczepko, czyli Wesoła Lwowska Fala, podbili serca Polaków?

W labiryncie, który widzicie Państwo na okładce tego numeru, jesteśmy wszyscy: czy tego chcemy, czy nie. Jak się w nim odnaleźć? Kto lub co może nam wskazać właściwą drogę? Wybieranie dziś autorytetów i źródeł wiedzy jawi się jako najważniejsze i najtrudniejsze zadanie. I nie chodzi przecież o to, żeby znaleźć kogoś wszystkowiedzącego czy nieomylnego – bo to zadanie niewykonalne. Ważne, by znaleźć kogoś, kogo kompetencje możemy sprawdzić, komu będziemy mogli zaufać i kto będzie świadomy, że wiedza nie jest dana raz na zawsze.

Naszym przewodnikiem po labiryncie spraw bieżących – wojnie w Ukrainie, rozgrywkach wielkich mocarstw i naszym bezpieczeństwie – w tym numerze „Tygodnika" zostaje **WOJCIECH KONOŃCZUK**, analityk, dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia. W rozmowie, którą przeprowadził z nim **MICHAŁ OKOŃSKI**, punktuje najważniejsze wydarzenia bieżące i daje szerszą perspektywę na przyszłość. I mówi także o swojej profesji: „Analityk to ktoś, kto ma dar uczenia się na własnych błędach. I ciągłego aktualizowania własnej wiedzy: jeżdżenia do danego kraju, czytania książek, oglądania filmów, poznawania popkultury, wszystkiego, co tworzy tamtejsze życie społeczne i mentalność".

Rozmowę z Wojciechem Konończukiem polecam czytać wraz z dwoma materiałami: komentarzem **WOJCIECHA PIĘCIAKA** z Obrazu Tygodnia, który wnikliwie przeanalizował plan pokojowy Trumpa, oraz artykułem **MARKA RABIJA** z działu Kraj, który dyskusję o bezpieczeństwie Polski rozkłada na czynniki pierwsze.

W tym współczesnym labiryncie równie ważne co patrzenie w górę i obserwowanie tego, co się dzieje wokół nas, zdaje się być znalezienie przestrzeni na wejrzenie w siebie. I w tym numerze zaufajmy kalendarzowi, z którego wynika jasno: właśnie zaczyna się Adwent. W dziale Wiara **MARCIN TUSIŃSKI** szuka odpowiedzi na pytanie: co przyciąga nas na roraty? Czego w nich szukamy? Z kolei **ŁUKASZ OSTRUSZKA**, duchowny ewangelicki, zaprasza nas do zerknięcia, co w Adwencie robią „po sąsiedzku": a znajdziemy tam piękne wieńce i kalendarze adwentowe (nie tylko z czekoladkami).

Mam nadzieję, że ta mieszanka rzeczy ważnych i potrzebnych, na bardzo różnych poziomach, którą w tym roku już po raz czterdziesty ósmy skomponowaliśmy dla Was, będzie pomocna przy orientacji w labiryntach współczesności. ©℗

EWELINA BURDA
REDAKTORKA PROWADZĄCA



Zastępczyni redaktora naczelnego i szefowa serwisu TygodnikPowszechny.pl. Jako dziennikarka zajmuje się tematyką społeczną. Laureatka Nagrody im. prof. Romana Czerneckiego za artykuł o nauczycielach odchodzących z zawodu.



45 Rosalía z Katalonii
MARTYNA LESZCZYŃSKA
Choć artystka twierdzi, że jest osobą wierzącą, trudno nie doszukiwać się w jej kreacji strategii marketingowej. Czy popkultura będzie coraz częściej sięgać po wizerunki świętych?



56 Techno-tyran nadal chce nas zbawić
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Czy Bill Gates, najbardziej wpływowy człowiek ostatniego półwiecza, przeszedł do obozu populistów?



62 Miły gość
MICHAŁ WALKIEWICZ
Tomasz Schuchardt mógł zostać filmowym amantem. Jego role szybko wpisały się jednak w debatę o nowych wzorcach męskości.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // JUANJO MARTIN / EPA / PAP // KATIE GODOWSKI / ASSOCIATED PRESS / EAST NEWS // MICHAŁ KLUSEK / NETFLIX

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Czy Ukraina jest bliżej pokoju
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Polska pod specjalnym nadzorem
MAREK RABIJ: *Rosyjska dywersja i krajowe dyskusje o bezpieczeństwie*

22 Wiedza kontra piękno
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK: *Brzydka twarz branży beauty*

25 Pogoda dla bogaczy
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Fabryki śniegu i armatki, czyli ile naprawdę kosztują nas narty*

■ ■ ŚWIAT

30 Postrach najbogatszych
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA: *Nad francuskimi milionerami zbierają się ciemne chmury*

34 Kto sprzedaje suszone mango
MARIA WIŚNIEWSKA: *Jak popularny serial ujawnia polaryzację w tajwańskiej polityce*

36 Mała ważna wyspa
PATRYCJA BUKALSKA: *Czy pacyfistyczni Islandczycy będą musieli zmienić nastawienie*

38 Starlinki dla Artema
WOJCIECH PIĘCIAK Z UKRAINY: *Pomoc od czytelników „TP" trafiła do walczących o wolność*

■ ■ WIARA

40 Czas wschodzącego słońca
MARCIN TUSIŃSKI: *Co przyciąga nas na roraty*

43 Zapal świecę, zjedz czekoladkę
ŁUKASZ OSTRUSZKA: *Przeżyjmy Adwent u luteran*

45 Rosalía z Katalonii
MARTYNA LESZCZYŃSKA

TEMAT TYGODNIKA

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"



12 Wojna i przyszłość: opowieść analityka
Z WOJCIECHEM KONOŃCZUKIEM ROZMAWIA MICHAŁ OKOŃSKI
Jesteśmy na strategicznym zakręcie. To nie tylko kwestia gry Rosjan z Trumpem nad głowami Ukraińców czy Europejczyków, ale i chińskich ambicji.

■ STRONY SPECJALNE ■

60 NAGRODA BONUS – FINALIŚCI

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA
48 ZUZANNA RADZIK
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

49 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ ESEJ

50 Tischner na dziś
ARTUR SPORNIAK: *Co nam zostało z myśli krakowskiego filozofa dramatu*

■ ■ HISTORIA

54 Żydowskie Żelazne Krzyże
ALEKSANDER R. MICHALAK *o fińskich Żydach, którzy za sojusznika mieli Wehrmacht*

■ ■ NAUKA

56 Techno-tyran nadal chce nas zbawić
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

■ ■ KULTURA

62 Miły gość
MICHAŁ WALKIEWICZ

66 Szron na głowie, w sercu maj
ROZMOWA Z WŁADYSŁAWEM PASIKOWSKIM, REŻYSEREM: *Najbardziej w kinie kręci nas polityka*

68 Ich troje
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK: *Nowości wydawnicze pokazują, że literatura wciąż potrafi sabotować świętości*

71 Co zostaje
KINGA PIOTROWIAK-JUNKIERT: *„A świat trwa": nowa powieść noblisty Lászlo Krasznahorkaiego*

72 Garden party
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Rocznica" w reżyserii Jana Komasy*

73 Podróż do Leca
LEKTOR *o książce Lidii Koski „Wycieczka do Szerszeniowiec"*

■ ■ PSYCHE

78 Narcyz we mnie
ROZMOWA Z PROF. MARCINEM ZAJENKOWSKIM: *Jak z nim żyć*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ NA STRONIE 29

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ TYGODNIA

CZY UKRAINA JEST BLIŻEJ POKOJU

„Plan pokojowy" Trumpa: czy może zostać zmieniony tak, aby był do przyjęcia i dla Putina, i dla Ukrainy? Oraz dla Europy i Polski – bo jego pierwotna wersja dotyczyła także nas, podważając nasze bezpieczeństwo.

WOJCIECH PIĘCIAK

POWYŻEJ:
Marco Rubio (z prawej) i Andrij Jermak stali na czele delegacji USA i Ukrainy podczas rozmów w Genewie. 24 listopada 2025 r.

Wiadomo, kto go wymyślił. Plan Trumpa, którego tekst opublikował 20 listopada portal Axios (tak stał się faktem politycznym), to efekt spotkania pod koniec października w Miami. Napisało go, tak twierdzi Reuters, trzech ludzi: Steve Witkoff (zaufany Trumpa), Jared Kushner (zięć Trumpa) i Kirył Dmitrijew (zaufany Putina).

Reuters twierdzi, że Departament Stanu i Rada Bezpieczeństwa USA były zaskoczone tą publikacją tak samo jak reszta świata. Zaskoczenie udawał też Kreml. Nieprzekonująco. Ktoś wpadł na to, by tekst poddać analizie lingwistycznej: okazało się, że fragmenty mają strukturę typową dla języka rosyjskiego – najwyraźniej przełożono je po prostu na angielski.

PRZESTROGA | 28-punktowy plan w jego pierwotnej wersji był konkretny tam, gdzie określał bonusy dla Rosji i USA („wynagrodzenie" za udzieloną przez Stany gwarancję dla Ukrainy i zyski z jej odbudowy). Za to w innych miejscach, także dotyczących Polski, był groźnie ogólnikowy.

Choć jego pierwotna wersja przestała być aktualna po tym, jak w weekend delegacje USA i Ukrainy spotkały się w Genewie, by omawiać jego korektę, należy mu się przyjrzeć. Jest on bowiem kwintesencją myślenia Trumpa – o Rosji i Europie, roli USA, o sojuszach Ameryki. Można spojrzeć na niego jak na zapowiedź, co może nas czekać ze strony prezydenta naszego najważniejszego dotąd sojusznika. Oraz przestrogę.

NAGRODY | Co zawierał? W skrócie: Ukraina rezygnuje z ziemi, którą Rosja podbiła po 2014 r., i musi oddać tę część Donbasu, której wciąż broni; jej armia zostaje zmniejszona; musi też wpisać do konstytucji, że nigdy nie przystąpi do NATO, a Sojusz miałby złożyć deklarację, że jej nigdy nie przyjmie.

Za to nagroda, jaką Trump przewidział dla Rosji za zakończenie agresji, była hojna: zniknąć miałyby wszystkie sankcje, a Rosja miałaby wrócić do globalnej wspólnoty politycznej i gospodarczej, jakby w minionych czterech latach nic się nie stało.

Był jeszcze punkt 26: „Wszystkie strony zaangażowane w ten konflikt otrzymają pełną amnestię za swoje działania podczas wojny i zgodzą się nie wysuwać w przyszłości żadnych roszczeń ani nie rozpatrywać skarg". Głównym beneficjentem tej amnestii byłby Putin, a Rosja dostałaby gwa-

rancję, że Ukraina nie będzie domagać się od niej zadośćuczynienia.

FURTKI | Trump wyszedł naprzeciw Putinowi także w punkcie, który mówił, iż po zawarciu pokoju Ukraina musi w ciągu 100 dni przeprowadzić wybory. To ewidentne żądanie Kremla, liczącego, że Zełenski, osłabiony akceptacją takiego dyktatu (i aferą korupcyjną), je przegra. Choć pewnie Trump też chętnie by się go pozbył.

Umowa taka dałaby Putinowi podstawy, by ogłosić zwycięstwo. Także z tego powodu, że dostałby „furtki", którymi mógłby ingerować w sprawy ukraińskie, nawet jeśli Ukraina formalnie zachowałaby niepodległość. Np. mógłby nie uznać wyniku wyborów, twierdząc, że wygrał je „nazista". Punkt 20 głosił: „Cała ideologia nazistowska i związana z nią działalność muszą zostać odrzucone i zakazane". Brzmiałoby banalnie, gdyby nie kwestia wykładni: dla Putina „nazistą" jest każdy świadomy swej tożsamości Ukrainiec, który chce wolności.

GWARANCJE | Pierwotny plan miał też dla Ukrainy obietnicę: stwierdzając, że jej suwerenność „zostanie potwierdzona", przewidywał „zdecydowaną odpowiedź militarną" Zachodu, w tym USA, w razie nowej agresji Rosji. Na pozór brzmiało to dobrze. Jednak nie określono, na ile „odpowiedź" byłaby automatyczna ani jaką rolę odegrałyby w niej USA.

Tymczasem kształt gwarancji bezpieczeństwa to dla Ukrainy rzecz najważniejsza. Uważam, że Ukraińcy byliby gotowi zaakceptować – nawet jeśli z zaciśniętymi zębami i łzami – utratę ziemi, w tym nawet oddanie wolnego jeszcze Donbasu, gdyby w zamian dostali naprawdę wiarygodną gwarancję. Rzecz w tym, że w pierwotnym planie zasadzała się ona tylko na słowach, na papierze. Plan nie tylko wykluczał wejście Ukrainy do NATO, ale nawet obecność wojsk z krajów NATO na jej terenie (tj. sił pokojowych).

Znamienne, że gdy w poniedziałek nad ranem czasu polskiego Biały Dom opublikował komunikat o rozmowach w Genewie, już na początku było tu zdanie, iż nowa wersja planu zawiera „wzmocnione gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy" (szczegółów nie podano).

POLSKA | Plan Trumpa dotyczył też relacji Zachód–Rosja. Punkt 4: „Zostanie przeprowadzony dialog między Rosją a NATO, mediowany przez USA, w celu rozwiązania wszystkich kwestii bezpieczeństwa (...)". Brzmiało to kuriozalnie. USA miałyby brać udział w takim „dialogu" nie jako część NATO, nie jako sojusznik, lecz stojący z boku pośrednik?

Kuriozalny był też punkt 9: „Europejskie myśliwce zostaną rozmieszczone w Polsce". Czy to zapowiedź, że żołnierze USA opuszczą Polskę? Tego właśnie – wycofania wojsk i infrastruktury USA (i w ogóle NATO) z krajów Europy Środkowej – Rosja zażądała w grudniu 2021 r., przedstawiając Stanom, NATO i Ukrainie swoją wizję porządku w Europie Środkowej i Wschodniej. Gdy ją odrzucono, zaczęła inwazję. Czyżby Trump uważał dziś, że Putin ma prawo współdecydować, jakie wojska mogą stacjonować w Polsce?

NOWY ETAP | Gdy w poniedziałek rano zamykaliśmy ten numer „TP", USA i Ukraina zakończyły rozmowy o korekcie planu Trumpa i obie strony wyrażały zadowolenie. Wcześniej europejscy liderzy odrzucili jego pierwotną wersję. Pytanie brzmiało teraz: czy Putin zgodzi się dalej rozmawiać, skoro zmieniono projekt, który był dla niego tak korzystny?

Nikt nie chce pokoju bardziej niż Ukraińcy. Uważam, że gdyby gwarancje bezpieczeństwa były twarde, byliby oni (choć pewnie nie wszyscy) gotowi podjąć ryzyko. Ryzyko przyjęcia takiego pokoju, który nie byłby sprawiedliwy, ale kończyłby czteroletni koszmar. I otwierałby nowy rozdział ich walki o wolność.

Bo koniec wojny nie byłby „końcem historii", lecz tylko (i aż) finałem jednego etapu i otwarciem nowego. Putin nie zrezygnuje ze swych celów wobec Ukrainy, Europy i Polski. ©℗

MARTIAL TREZZINI / ASSOCIATED PRESS / EAST NEWS



Gra Tuska

MAREK KĘSKRAWIEC

Rząd i premier odbili się od wizerunkowego dna i choć nadal mają więcej przeciwników, to wydają się odzyskiwać wiarę w zwycięstwo w wyborach za dwa lata. Dla Donalda Tuska oznacza to jednak pójście na totalną wojnę z opozycją i prezydentem oraz ryzyko, iż w razie porażki model ścigania polityków, zastosowany przez obecną władzę w przypadku Zbigniewa Ziobry, zostanie twórczo rozwinięty, gdy już sam Tusk straci władzę. W PiS w zasadzie już nie ukrywają, że premiera czeka albo emigracja, albo areszt. Znajdzie się i właściwy paragraf, i sędzia.

Żeby przetrwać, główna partia władzy musi zrobić z prawicy środowisko antyeuropejskich i antyukraińskich idiotów, pożytecznych dla Moskwy.

Do pewnego stopnia może się to udać, jeśli prawica będzie tkwić w ślepej uliczce uwielbienia dla niespójnych i coraz groźniejszych dla Polski wizji Donalda Trumpa. Nie miejmy jednak złudzeń, czeka nas w związku z tym kolejna fala polaryzacji, która spłyci debatę publiczną i zniszczy mniejsze ugrupowania. Ostry kurs KO, który już przynosi jej sondażowe korzyści, sprawi, że partia mocniej przesunie się w prawo, odbierając tlen PSL i Polsce 2050. W KO przeważa dziś pogląd, że obie partie są skazane na śmierć i na koniec trzeba będzie wziąć część ich popularniejszych polityków na własne listy. Odbudowaliby na nich do pewnego stopnia dawne konserwatywne skrzydło partii Tuska i pomogliby podbić wynik wyborczy KO, a potem stworzyć koalicję rządzącą z zawsze wiernym Włodzimierzem Czarzastym.

Ofensywa premiera stawia w niewygodnej sytuacji Jarosława Kaczyńskiego. Niby sondaże pomagają PiS: sposób działania ministra Waldemara Żurka Polacy oceniają w większości negatywnie, a badania poparcia dla partii dają większą szansę tworzenia przyszłego rządu ugrupowaniom polskiej prawicy. Kłopot w tym, że Kaczyńskiemu, który nie lubi władzy dla samej władzy, naprawdę nie uśmiecha się sojusz z turboliberałami od Mentzena oraz narodowcami od Brauna. Będzie więc starał się tego ostatniego ignorować, a z lidera Konfederacji nadal robić polityka „w krótkich spodenkach". A jeśli to się nie uda, stanie przed wyborem: licytować się na radykalizm, gubiąc resztki elektoratu w centrum, czy też wrócić do sprawdzonej w 2015 r. metody obłaskawiania przeciętnego wyborcy.

Cokolwiek się stanie, nie oczekujmy, że w tej grze liczyć się będzie to, czego naprawdę chce społeczeństwo. ©℗



Trump i sprawa Epsteina

MARTA ZDZIEBORSKA

Prezydent USA podpisał ustawę o ujawnieniu akt Jeffreya Epsteina – nieżyjącego już finansisty i pedofila, oskarżonego o handel nieletnimi w celach seksualnych. Fakt ten obwieścił w swoim stylu: w poście na Truth Social oskarżył polityków Partii Demokratycznej o związki z Epsteinem i przekonywał, że Kongres niemal jednogłośnie przyjął tę ustawę, bo to on dał takie wytyczne swojej partii.

W istocie Trump wezwał do przyjęcia tej ustawy dopiero, gdy zrozumiał, że czeka go polityczne fiasko. Ujawnienia akt domagali się już nie tylko Demokraci, ale też część Republikanów, którzy mimo nacisków Trumpa nie chcieli odpuścić. To jeden z nielicznych momentów, gdy ponad lojalność wobec „wodza" wybrali oczekiwania wyborców.

Szum wokół tej sprawy ciągnie się od lipca, gdy Departament Sprawiedliwości i FBI odmówiły ujawnienia kolejnych akt dotyczących Epsteina. Ku rozczarowaniu ruchu MAGA potwierdzono też wówczas ustalenia, iż Epstein zmarł w więzieniu w wyniku samobójstwa (a nie spisku) i nie prowadził listy klientów, których miał szantażować. To było trudne do przełknięcia dla ludzi karmionych teoriami spiskowymi, jakoby akta te miały obnażyć mroczne sekrety osób pociągających za sznurki w USA.

W podsycaniu tych teorii pomogła biografia Epsteina: milioner latami brylował na salonach (także u Trumpa na Florydzie) i wspierał kampanie polityków. To, jak był wpływowy, pokazały jego prywatne maile, upublicznione niedawno przez komisję Kongresu. Widać z nich, że Epstein często dyskutował z innymi o Trumpie. W jednej z wiadomości sugerował, że ten „mógł wiedzieć o dziewczynach", tj. że mógł wiedzieć o siatce handlu nieletnimi.

Nic w ciągu ostatniej dekady nie wzburzyło tak elektoratem Trumpa jak sprawa Epsteina. W trakcie kampanii Trump obiecywał tu transparentność. Choć jest za wcześnie, by uznać, że traci kontrolę nad ruchem MAGA i Partią Republikańską, to jednak jego kapitulacja w kwestii akt Epsteina pokazała, że Republikanie zaczynają kalkulować, by nie zaszkodzić sobie w wyborach do Kongresu w 2026 r. Prędzej czy później Trump przestanie grać pierwsze skrzypce na prawicy w USA.

Departament Sprawiedliwości ma teraz 30 dni na ujawnienie akt, choć ustawa umożliwia zachowanie niektórych z nich w tajemnicy, jeśli publikacja zaszkodziłaby trwającym śledztwom. To otwiera furtkę do nowej frustracji w ruchu MAGA. ©

Autorka jest dziennikarką „Press".



BRENDAN SMIALOWSKI / AFP/ EAST NEWS

Prezydent Donald Trump podczas spotkania z dziennikarzami w Białym Domu. Waszyngton, 17 listopada 2025 r.



Imigracja na nowo

PATRYCJA BUKALSKA

Szefowa brytyjskiego MSW Shabana Mahmood zapowiedziała radykalne zaostrzenie prawa azylowego. Brytyjczycy deklarują, że chcą wzorować się na Duńczykach, którzy już jakiś czas temu – jako jedni z pierwszych w Europie – zaostrzyli drastycznie przepisy.

Wielka Brytania ma być krajem mniej atrakcyjnym dla imigrantów, zarówno tych docierających tu drogą nielegalną, jak i legalną. Na prawo do osiedlenia się będzie trzeba czekać znacznie dłużej niż teraz i spełnić szereg warunków. „To nie prawo, ale przywilej. I trzeba sobie na to zasłużyć"– argumentuje Mahmood.

Jedną z najważniejszych zmian ma być wprowadzenie tymczasowości azylu: osoba, której wniosek o azyl na Wyspach zostanie rozpatrzony pozytywnie, będzie sprawdzana co 30 miesięcy. Jeśli jej kraj pochodzenia zostanie uznany w międzyczasie za bezpieczny, będzie musiała wrócić – dobrowolnie (z finansową zachętą) lub przymusowo (deportacja).

Dalej: osoby, którym przyznano azyl, będą mogły ubiegać się o stały pobyt dopiero po 20 latach spędzonych w Wielkiej Brytanii (teraz po pięciu). Zaostrzone będą też warunki sprowadzania bliskich i korzystania ze wsparcia państwa w postaci zasiłków czy kwater. Ci, którzy dostali się na Wyspy nielegalnie lub zostali tu po wygaśnięciu wizy, mieliby czekać na zgodę na osiedlenie się na stałe aż 30 lat.

Lista jest dłuższa, a część propozycji Brytyjczycy czerpią z doświadczeń Danii. Po wprowadzeniu restrykcyjnych przepisów azylowych Duńczykom udało się znacznie ograniczyć napływ uchodźców.

Zmiany mają objąć też przepisy dotyczące legalnej imigracji.

Tu też na prawo stałego pobytu trzeba będzie czekać dłużej, 10 lat, choć okres ten może być skrócony np. dla osób najlepiej zarabiających lub działających w wolontariacie. Ale może też zostać wydłużony; to ma dotyczyć np. osób pobierających zasiłki.

Według MSW w latach 2021-24, już po brexicie, populacja wzrosła w wyniku imigracji o 2,6 mln osób. Gdyby nie powyższe zmiany, półtora miliona z nich mogłoby ubiegać się o stały pobyt już w nadchodzących latach.

Imigracja jest coraz poważniejszym wyzwaniem na Wyspach: zarówno społecznym, ze względu na narastające niepokoje, protesty i podziały, jak też politycznym. Trudno ocenić, ile z tych radykalnych propozycji rządu Partii Pracy ostatecznie wejdzie w życie. Zwłaszcza że niektóre niosą potencjalne problemy prawne, np. kwestia deportacji rodzin, których dzieci urodziły się już tutaj. ©℗

NA PUNKTY

TOWARZYSZE
Nowym marszałkiem Sejmu został, zgodnie z umową koalicyjną, Włodzimierz Czarzasty, a nowym szefem Kancelarii Sejmu – jego dawny kolega z PZPR Marek Siwiec, współpracownik Aleksandra Kwaśniewskiego wsławiony „całowaniem ziemi kaliskiej". Jednym z pierwszych zarządzeń Czarzastego był zakaz sprzedaży alkoholu w budynkach parlamentu (spożywać można).

KAMRACI
Sąd Okręgowy w Warszawie uchylił areszt wobec Wojciecha O. ps. Jaszczur i Marcina O. ps. Ludwiczek. Patostreamerzy kierujący ruchem Rodacy Kamraci przesiedzieli blisko pół roku, a prokuratura postawiła im łącznie 154 zarzuty (nie tęskniliśmy).

ZACZADZENI
Komisja Europejska skierowała skargę na Polskę do Trybunału Sprawiedliwości UE w związku z przekroczeniem poziomu dwutlenku azotu (NO_2) określonego w dyrektywie o jakości powietrza. Według KE w aglomeracji krakowskiej i górnośląskiej poziomy NO_2 są od kilkunastu lat zbyt wysokie (potwierdzamy).



Papież kontra prezydent

MASSIMO FAGGIOLI

Leon XIV poparł stanowisko amerykańskich biskupów potępiające masowe deportacje przeprowadzane przez administrację Trumpa. W rozmowie z dziennikarzami w Castel Gandolfo (19 listopada) apelował, by imigrantów traktować z humanitaryzmem i godnością, uznając jednocześnie prawo każdego kraju do kontroli własnych granic.



Antyimigracyjna narracja nadaje ton drugiej kadencji prezydenta Trumpa. Wprowadzane restrykcje dotykają także tych, którzy od wielu lat są zintegrowani z amerykańskim rynkiem pracy. Działania rządu federalnego przybrały cechy typowe dla państwa policyjnego: na ulicach amerykańskich miast pojawiły się uzbrojone i zamaskowane grupy funkcjonariuszy, które kontrolują także miejsca pracy, centra handlowe czy przykościelne place.

W ostatnich tygodniach papież zaostrzył krytykę antyimigracyjnej polityki administracji Trumpa, wzywając biskupów, by podjęli działania w obronie godności imigrantów. Nie było jasne, czy tak się stanie, ze względu na wewnętrzne podziały w konferencji episkopatu USA. Wybór abp. Paula Coakleya na nowego przewodniczącego konferencji (11 listopada) też nie wydawał się zachęcającym sygnałem, biorąc pod uwagę powiązania, jakie Coakley od lat utrzymuje z wpływowym, prawicowym lobby – Napa Institute.

Biskupom udało się, po raz pierwszy od lat, wypracować wspólne stanowisko w ważnej społecznie sprawie. Mają teraz dwie opcje: zatrzymać się na pozycji apeli i wsparcia moralnego dla tych, którzy są celem ataków rządu federalnego, lub pójść krok dalej – wezwać do obywatelskiego nieposłuszeństwa i zaangażować się w konkretne działania w obronie imigrantów. Ryzykując choćby aresztowanie podczas akcji protestacyjnych, co dziś jest bardziej prawdopodobne niż w latach 60. czy 70. XX w., w czasach walki o prawa obywatelskie lub przeciwko wojnie w Wietnamie. Bo druga kadencja Trumpa to przecież również niszczenie rządów prawa i niezależnego sądownictwa. ©

GRZEGORZ GAŁĄZKA / EAST NEWS



Prawo nie chroni twórców i twórczyń

MONIKA OCHĘDOWSKA

Na odbywających się w ostatni weekend łódzkich targach książki Jarosław Molenda miał co podpisywać – łącznie opublikował ponad 60 tytułów. Są wśród nich biografie, przewodniki, reportaże historyczne (głównie dotyczące II wojny światowej), a nawet pozycje popularyzujące wiedzę na temat roślin.

Dwa lata temu dziennikarka „Gazety Wyborczej" Izabella Adamczewska zauważyła, że jedna z książek Molendy (o Zbigniewie Nienackim) to „montaż opublikowanych już tekstów innych autorów". Wszystko wskazuje na to, że wydane rok później „Zbrodnie w Kobierzynie" powstały w podobny sposób – m.in. w oparciu o książkę Kaliny Błażejowskiej pt. „Bezduszni". Autorka przedstawiła dowody plagiatu w oficjalnym piśmie skierowanym do wydawcy Molendy.

Tymczasem autor nie czuje się winny. Przeciwnie: uważa, że „ma prawo" użyć nawet 30 proc. prac kolegów i koleżanek po fachu bez konieczności tłumaczenia „zapożyczeń". Nie ma też obowiązku stosowania cudzysłowu, kiedy przepisuje ich teksty.

Ta sprawa obnaża nabrzmiewający od lat problem: nasz ustawodawca wciąż słabo chroni twórców i twórczynie. Można się o tym przekonać, analizując sprawy zebrane i opisane na stronie internetowej projektu badawczego „Kultura przed prawem 1989-2024". Procesy o naruszenie praw autorskich trwają wiele lat, a zadośćuczynienia wypłacane w przypadku wygranej stanowią często mniej niż połowę średniego wynagrodzenia.

A spraw dotyczących kradzieży własności intelektualnej będzie więcej. W ostatnich latach kontrowersje wzbudzają m.in. działania podkasterów (szczególnie tych opowiadających o zbrodniach), którzy – opierając się na wiedzy zaczerpniętej wyłącznie z książek innych twórców – czerpią ze swoich działań spore korzyści.

Trudno jednak, by polskie prawo dostrzegało podkasterów, jeśli nie weszło jeszcze nawet w erę telefonów komórkowych. Rozporządzenie w sprawie opłat reprograficznych (mechanizm kompensacyjny dozwolonego użytku w prawie autorskim) dalej tkwi w epoce kaset VHS i DVD. Nowelizacja rozporządzenia ma wejść w życie dopiero 1 stycznia 2026 r. ©℗

Biskupi krytykują retorykę PiS-u

POLACY–NIEMCY ▪ Przewodniczący episkopatów Polski i Niemiec ogłosili wspólny list dotyczący pojednania. Nawiązując do wydarzeń sprzed 60 lat, dotyczy on też spraw aktualnych. To mądry, politycznie trzeźwy, ewangeliczny w duchu dokument.

Pretekstem do jego wydania były zorganizowane we Wrocławiu obchody 60. rocznicy słynnego listu biskupów polskich do niemieckich z 18 listopada 1965 r., w którym padły słowa „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Wywołał on wtedy wściekłość władz PRL, które swą antyzachodnią politykę budowały na retoryce antyniemieckiej.

Ostatecznie tamten gest, jak przypominają dziś biskupi z obu krajów, stał się „kamieniem milowym w historii polskiego i niemieckiego pojednania". „Gotowość polskiego episkopatu do wyjścia myślą poza głębokie historyczne rany i lęki była w najlepszym tego słowa znaczeniu rewolucyjna" – czytamy w dokumencie zatytułowanym „Odwaga wyciągniętych rąk".

Niestety – zauważają biskupi – dziś „niektórzy polityczni aktorzy wciąż próbują wykorzystywać w celach politycznych bolesne i historycznie nierozwiązane kwestie". To niewątpliwie aluzja do antyniemieckiej retoryki PiS-u. „Dla nas jest jasne – piszą biskupi – że polityczne rozgrywki oparte na historycznych krzywdach są sprzeczne z duchem pojednania, który został wyrażony w wymianie listów [z 1965 r.]".

Dokument rozsądnie zaznacza, iż tamta „prośba o przebaczenie nie oznaczała, że niemieckie zbrodnie, wojna przeciwko Polsce mająca na celu zniewolenie i zagładę, Holokaust i wszystkie skutki panowania narodowych socjalistów mogą zostać zapomniane". Nie pomija też problemu zadośćuczynienia, ale podkreśla, że „kwestie związane z rozliczeniem się z przeszłością naznaczoną przemocą i z uznaniem winy powinny być jednak omawiane w taki sposób, aby sprzyjały wzrastaniu pojednania, a nie prowadziły do ponownego rozdrapywania ran".

Biskupi krytykują też ciasny nacjonalizm. „Należy oprzeć się pokusie podążania własną, narodową drogą i odchodzenia od polityki współpracy opartej na zasadach obowiązujących na arenie międzynarodowej" – piszą i przypominają, że „idea europejska, polegająca na stworzeniu wspólnej przestrzeni prawa i pokoju, nadal ma kluczowe znaczenie". Zwłaszcza w kontekście wojny na Ukrainie: biskupi zachęcają Polskę i Niemcy „do podjęcia wszelkich możliwych działań, aby zapewnić przetrwanie narodu ukraińskiego w tej wojnie".

W imieniu obu episkopatów list podpisali abp Tadeusz Wojda i bp Georg Bätzing. © ARTUR SPORNIAK

O Orędziu z 1965 r. opowiada specjalny serwis na naszej stronie internetowej.

Obchody 60. rocznicy Orędzia biskupów polskich do niemieckich z udziałem przedstawicieli Kościołów obu krajów, przed pomnikiem kardynała Bolesława Kominka, autora tamtego listu. Wrocław, 18 listopada 2025 r.



KRZYSZTOF KANIEWSKI / REPORTER

Szkołą wciąż rządzą nuda i lęk

EDUKACJA ▪ Zdecydowana większość polskich nastolatków słyszała o prawach dziecka, ale zdecydowana mniejszość uważa, że zna je dobrze – to jeden z podstawowych wniosków z reprezentatywnych badań przeprowadzonych przez biuro Rzecznika Praw Dziecka wśród nastolatków w wieku 12-17 lat.

Inny ważny zestaw wniosków dotyczy samopoczucia w szkole: sale i korytarze polskich placówek edukacyjnych nie są najwyraźniej przestrzenią przyjazną. O ile ponad trzy czwarte pytanych (76 proc.) czuje się traktowane sprawiedliwie przez swoich rodziców, to samo o szkole i nauczycielach może powiedzieć tylko nieco ponad połowa (52 proc.). Podobna rozbieżność dotyczy ogólnego poczucia bezpieczeństwa: w środowisku domowym takie poczucie deklaruje 94 proc., w tym szkolnym – 64 proc.

Nie inaczej wyglądają deklaracje odnoszące się do poważnego traktowania. Ponad trzy czwarte pytanych uznaje, że rodzice traktują ich zdanie na serio – w szkole taka pewność towarzyszy tylko połowie młodych respondentów. A ledwie co piąty polski nastolatek ma regularnie poczucie wpływu na to, co się w szkole dzieje.

Gdyby ktoś chciał odruchowo uznać, że takie wyniki to po prostu naturalna rozbieżność między własnymi czterema ścianami a chłodem – było nie było – instytucji, musiałby się skonfrontować z zestawem badań międzynarodowych, porównujących polską szkołę do innych systemów edukacyjnych w krajach OECD – z badań tych od lat wynika, że o ile bardzo dobrze albo przynajmniej nieźle idzie nam wpajanie kluczowych umiejętności, to nie tworzymy w murach szkoły przyjaznej przestrzeni.

Np. badanie PISA od lat wykazuje, że nasi piętnastolatkowie są daleko z tyłu, jeśli idzie o poczucie przynależności do szkoły, a także poczucie bezpieczeństwa. Nie inaczej było w przypadku badania TIMMS 2023: czwartoklasiści znad Wisły z edycji na edycję coraz mniej chętnie chodzą do szkoły, a w rankingu poczucia bezpieczeństwa w szkolnej przestrzeni są na szarym końcu.

Mijają dekady, zmieniają się rządy i kierownictwa ministerstw od edukacji, a znana fraza psychologa Józefa Kozieleckiego, że szkołą rządzi zjawisko Nil – nuda i lęk – pozostaje aktualne. Tak, nuda również, pośrednio, pojawia się w badaniu RPD. O ile aż 81 proc. pytanych nastolatków deklaruje, że może liczyć w domu na wsparcie swoich zainteresowań, w odniesieniu do formalnej edukacji takie poczucie ma jedynie 28 proc. Najwyraźniej szkoła nie kojarzy się w ogóle większości polskich nastolatków z czymś, co może zainteresować. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Neandertalczycy z jaskini Troisième

PREHISTORIA ▪ Kanibalizm ma w naszym rodzaju długą historię. Najstarsze zidentyfikowane ślady nacięć na ludzkich kościach – które sugerują filetowanie przy użyciu kamiennych narzędzi – pochodzą sprzed 1,45 mln lat, ze stanowiska Koobi Fora w Kenii. W paleoantropologii bodaj największą debatę zrodziły dowody na kanibalizm u neandertalczyków, ponieważ w tym zachowaniu zaczęto doszukiwać się jednej z możliwych przyczyn wymarcia naszych kuzynów (silna rywalizacja wewnątrz tej populacji, której emanacją były praktyki kanibalistyczne, nie mogła sprzyjać rywalizacji zewnętrznej, związanej z napływem do Europy ze wschodu *Homo sapiens*). Quentin Cosnefroy z Université de Bordeaux i współpracownicy właśnie dodali kolejny wątek do tej debaty, po zbadaniu szczątków neandertalczyków znalezionych w jaskini Troisième w Belgii.

Znalezisko datowane jest na ok. 41-45 tys. lat, składają się na nie szczątki co najmniej szóstki osób – czwórki młodych, niespokrewnionych z sobą blisko kobiet o drobnej budowie ciała oraz dwójki dzieci. Łącznie opisano fragmenty ponad stu kości, z których jedna trzecia nosi ślady obróbki – nacięć, a także przekształcenia w narzędzia (badacze uważają, że kości te potraktowano dokładnie tak, jak kości zwierząt). Analiza chemiczna tych kości sugeruje, że wspomniana szóstka stanowiła jedną grupę (odżywiali się w podobny sposób), która zamieszkiwała tereny oddalone od Troisième. Według autorów takie nagromadzenie kości jest bardzo nietypowe – wygląda to tak, jakby grupa kanibali z Troisième najechała na sąsiednią populację i porwała z niej najbardziej narażone osoby. Kobiety i dzieci mogły być specyficznym celem, bo ich śmierć osłabiała potencjał reprodukcyjny grupy. Sprawcami byli najprawdopodobniej inni neandertalczycy – w tym czasie *Homo sapiens* byli już w Europie, ale jeszcze nie w zachodniej.

Warto pamiętać, że neandertalczycy nie byli ostatnią populacją człowieka uprawiającą kanibalizm, a po ich wyginięciu nie przyszła od razu cywilizacja, która ukróciła tę odrażającą praktykę. Ot, w sierpniu tego roku Palmira Saladié i współpracownicy donieśli o szczątkach 11 osób, którymi pożywiała się ok. 5,7 tys. lat temu inna grupa *Homo sapiens* zamieszkująca jaskinię El Mirador na wzgórzu Atapuerca w północnej Hiszpanii. Wygląda na to, że nasi przodkowie – reprezentujący wszystkie populacje człowieka – długo jedli po prostu to, co im wpadło w ręce. Czasem byli to członkowie wrogo nastawionych, sąsiednich grup ludzi.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK



ELISABETH DAYNES / SPL / EAST NEWS

Rekonstruowany wygląd neandertalczyka (autorka: Elisabeth Daynes)

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

WOJNA I PRZYSZŁOŚĆ

WOJCIECH KONOŃCZUK, DYREKTOR OŚRODKA STUDIÓW WSCHODNICH:

Jesteśmy na strategicznym zakręcie. To nie tylko kwestia gry Rosjan z Trumpem nad głowami Ukraińców czy Europejczyków, ale i chińskich ambicji.

ILUSTRACJE PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

MICHAŁ OKOŃSKI: Mieliśmy rozmawiać o 35-leciu Ośrodka Studiów Wschodnich, ale najpierw zapytam o plan pokojowy dla Ukrainy.

WOJCIECH KONOŃCZUK: Ale który? Nie ma jednego. Najpierw pojawiła się wersja znana jako „plan Trumpa", ale wszystko wskazuje na to, że opracowana przez stronę rosyjską z jakimś udziałem pełnomocnika prezydenta USA Steve'a Witkoffa. Drugi to kontrpropozycja Wielkiej Brytanii, Francji i Niemiec – w trakcie genewskich rozmów delegacji amerykańskiej z ukraińską media publikowały różne jej wersje. Z pewnością jednak to ten pierwszy dokument pokazuje logikę myślenia administracji Trumpa.

Tylko jaka to logika?

Mówiąc najkrócej: Waszyngton chciałby możliwie szybko zakończyć wojnę za cenę ustępstw ukraińskich. A sam Trump wierzy, że z Putinem można się porozumieć.

„Wierzy" wydaje się tu dobrym słowem.

No właśnie, Trump głęboko się myli. Rosja gra na czas: nie pójdzie na kompromisy, nie szuka realnego porozumienia, tylko zniszczenia Ukrainy. Jest przy tym przekonana, że świat zachodni znalazł się w systemowym kryzysie i zamierza to wykorzystać. Chce wzmocnić swoją pozycję, wywracając do góry nogami porządek, który sprawił np., że Polska od ponad trzech dekad przeżywa okres rozwoju.

Czy Trump może ostatecznie narzucić Ukrainie ten pierwszy plan bez konsultacji z Europą?

Z Europą czy bez – wątpię, by Trump mógł narzucić coś Kijowowi. W piątkowym, dość dramatycznym wystąpieniu do narodu Zełenski odrzucił możliwość zaakceptowania planu w pierwotnej for-





mie, ale wyraził chęć dalszych negocjacji i wysłał swoich przedstawicieli do Genewy, gdzie miało dojść do zbliżenia stanowisk. Rozumie oczywiście, że stąpa po cienkim lodzie i ponownie grozi mu gniew Trumpa. Ale musi też słuchać głosu rodaków.

Osłabiony Zełenski nie będzie się zgadzał na wszystko?

Skandal korupcyjny mocno w niego uderzył, ale tym bardziej nie zrobi nic wbrew opinii publicznej. A Ukraińcy nie zaakceptują warunków porozumienia, które naruszałyby żywotne interesy państwa ukraińskiego.

Żywotne, czyli jakie?

Ukraińcy nie zgodzą się na ograniczenie swojej suwerenności, redukcję armii i wycofanie z całości Donbasu. Obecnie bowiem ok. 20 proc. obwodu donieckiego jest wciąż pod kontrolą Kijowa – ewentualne oddanie tego terytorium oznaczałoby znaczące pogorszenie sytuacji sił ukraińskich w dalszej perspektywie. Na marginesie: kończy się czwarty rok pełnoskalowej wojny, a linia frontu cały czas przebiega właśnie przez Donbas.

Co nie zmienia faktu, że sytuacja na froncie jest trudna, a prezydent ma kłopoty.

To prawda. Zełenski przeżywa najpotężniejszy kryzys w okresie swojej sześcioletniej prezydentury i do końca tego kryzysu daleko, bo nie wiemy, czym NABU – urząd antykorupcyjny, któremu jak widać nie bez powodu władze próbowały niedawno wybić zęby – jeszcze dysponuje. Wiemy, że oskarżono przyjaciela prezydenta, Timura Mindicza. Mówi się o uwikłaniu trzech ministrów, do tej pory znamy nazwiska dwóch. Pytanie, czy w jakimkolwiek kontekście pojawi się tam sam Zełenski.

Więc może to nie przypadek, że Amerykanie wyciągnęli swój plan właśnie teraz?

Amerykanie podpuszczeni przez Rosjan. Ale powtórzę: osłabiony Zełenski będzie paradoksalnie bardziej asertywny. Jego poparcie spadło i będzie jeszcze spadać, więc nie zaryzykuje czegokolwiek, co zostałoby odebrane jako pójście na niekorzystne dla Ukrainy ustępstwa.

A na jakie ustępstwa mógłby pójść?

Na zawieszenie ognia wzdłuż obecnej linii frontu i faktyczne zaakceptowanie tego, że Rosja kontroluje 20 proc. terytorium Ukrainy: od Krymu po wschód i kawałek południa. Niewiele więcej.

A dla Rosji to jest do przyjęcia?

Nie.

Bo jej strategicznym celem jest zmiana porządku bezpieczeństwa w Europie?

Tak, Rosja chce zniszczyć porządek pozimnowojenny. Jej elity żyją w cieniu traumy, jaką był dla nich upadek Związku Sowieckiego: ich ojczyzny. One chcą rewanżu i zemsty.

One to rozumiem, ale społeczeństwo rosyjskie?

Społeczeństwo rosyjskie jest powolne działaniom Kremla, póki jego egzystencja nie jest zagrożona. To odróżnia je od społeczeństwa ukraińskiego, które jest podmiotowe.

Może Rosja zgodzi się na zamrożenie konfliktu na obecnej linii frontu z myślą, że uderzy ponownie za kilka lat?

To byłoby podejście pragmatyczne, ale Rosjanie nie są pragmatyczni, bo uważają, że wygrywają wojnę. Że wystarczy tylko docisnąć Ukrainę i Zachód. Ich ogląd sytuacji jest taki, że Amerykanie pomocy sprzętowej nie dają, a Europa ledwo sobie radzi z własnymi kłopotami: daje mniej, niż by mogła, i na pewno mniej, niż powinna. W dodatku Ukraina ma rosnące problemy z siłą ludzką na froncie... Tak, Rosjanie uważają, że jeszcze trochę konsekwencji i wygrają.

Dlatego Ukraińcy nie wierzą, że z Moskwą da się wynegocjować jakiekolwiek trwałe porozumienie. Obecny plan, gdyby wszedł w życie, może co najwyżej dać krótką pauzę, ale nie zakończy wojny, bo Rosja chce nie tyle tego czy innego terytorium, ile pełnej dominacji nad Ukrainą.

Co to jest „jeszcze trochę”? Następne cztery lata?

Z kolejnymi czterema latami tak intensywnej wojny byłby problem: przecież niemal połowa dochodów do budżetu rosyjskiego jest przeznaczona na ten ↦



↦ konflikt. Rosjanie myślą raczej o roku-dwóch, chyba że uda im się nakłonić Trumpa do wymuszenia na Ukrainie daleko idących ustępstw, co z ich perspektywy przyspieszyłoby sprawę.

Dodam rzecz oczywistą: Rosjanie nie grają z Trumpem czysto. Grają na zmęczenie kogoś, kto bardzo chce ogłosić doraźny sukces. A im bardziej Trump chce sukcesu, tym bardziej są przekonani, że zdołają narzucić swoje warunki. Oni też zdają sobie sprawę, że Trump nieugięcie wierzy, że z Putinem można się racjonalnie porozumieć.

Niesamowite, że właściwie cały świat wie coś, czego nie wie prezydent USA.

Mamy wiele analogii historycznych pokazujących, że decydenci polityczni wyższego szczebla działają wbrew własnemu otoczeniu.

Chciałem o to pytać: o sytuację, w której analityk ma pełną wiedzę, ale nie potrafi przekonać decydenta.

Sprostuję: analityk chce wiedzieć możliwie wszystko, ale nie ma pełnej wiedzy. My w Ośrodku staramy się mieć wiedzę możliwie najpełniejszą, ale bazujemy na wiadomościach publicznych, czyli jawnych.

W wydawnictwach podsumowujących działalność OSW czytałem, że wiedza niejawna, informacje wywiadowcze, owszem: fascynują polityków, ale z ich przydatnością bywa różnie.

Mogę dodać, że nie bazujemy wyłącznie na tym, co wyczytamy w mediach. Wielu informacji – a zwłaszcza rozumienia ich kontekstu – dorabiamy się, jeżdżąc do krajów, które opisujemy, i wypracowując tam bezpośrednie kontakty. No i mamy doświadczenie, powiedziałbym, instytucjonalne, w wieloletnim zajmowaniu się danym państwem czy regionem. W przypadku Rosji wiemy, jakie zachowania wpisują się w rosyjski model działania czy w coś, co nazywamy kulturą strategiczną.

W jednej z książek wydanych przez OSW natrafiłem na zdanie, że „pierwszą ofiarą wojny jest prawda", wypowiedziane przez gubernatora Kalifornii Hirama Johnsona jeszcze w 1918 r. Pozwoliło mi nazwać to dojmujące poczucie, że nie znam prawdy o wojnie w Ukrainie.

Staramy się ją rekonstruować, wiedząc, że i Rosja, i Ukraina prowadzą swoją politykę informacyjną. Poruszanie się w gąszczu manipulacji i przeinaczeń to duża ekwilibrystyka.

Zapytam wprost: co się dziś dzieje w Pokrowsku?

Pokrowsk jest już właściwie w rękach rosyjskich.

Niedobrze.

Niedobrze, bo to miasto miało znaczenie strategiczne. Rosjanie zdobyli je po długich zabiegach i ponosząc wielkie straty. Wiadomo, że będą szli dalej, pytanie tylko, w jakim tempie oraz ile czasu zajmie im zdobycie reszty Donbasu.

Postaw prognozę.

Przy obecnym tempie postępu wojsk może nawet dwa lata. Chyba że front się posypie, ale na razie nic na to nie wskazuje. Oczywiście Ukraińcy muszą mieć czym się bronić, czyli kluczowe jest utrzymanie, a w ideale zwiększenie pomocy wojskowej Zachodu.

Pod Hulajpolem front się nie załamał?

Hulajpole może się znaleźć w otoczeniu, ale nie ma mowy o strategicznym załamaniu się frontu czy panicznej ucieczce wojsk ukraińskich.

I tutaj dopowiem coś, co trudniej wyraża się w języku analizy: nie da się zrozumieć sytuacji na wojnie, patrząc tylko na liczbę samolotów, czołgów czy dronów. Wojnę wygrywają ludzie, nie maszyny. Analitycy OSW regularnie jeżdżą na Ukrainę i tym, co wciąż stamtąd przywożą, jest przekonanie, że morale pozostaje silne. Jakkolwiek sytuacja byłaby z perspektywy obserwatorów zewnętrznych bardzo trudna, jakkolwiek obrona przeciwlotnicza by się rozszczelniała, a kryzys energetyczny się pogłębiał, społeczeństwo i armia wiedzą, o co walczą.

Nie ma zastrzeżeń do niekompetencji dowódców?

Są. Jest ciągłe narzekanie na generałów, na kierownictwo polityczne i na korupcję, ale społeczeństwo wie, że przyszłość państwa jest w jego rękach. Niezależnie od tego, kto Ukrainą rządzi, Ukraińcy wiedzą, że jeśli Rosjanie złamią front i pójdą dalej, to będą kolejne Bucze i Mariupole. Więc będą stawiać opór.

Zapytałem o Pokrowsk, bo w warunkach wojny informacyjnej mam w zasadzie dwie opowieści. Czytam u jakichś sieciowych ekspertów militarnych o spektakularnej akcji ukraińskich służb specjalnych, desancie przy użyciu helikopterów... muszę doczekać do sprawozdania OSW, żeby się przekonać, że to tylko pic na wodę.

W takich kwestiach Ukraińcy są bardzo innowacyjni. Ale nawet próbując narracyjnie umniejszać znaczenie frontowych niepowodzeń, dzięki amerykańskiej pomocy wywiadowczej są w stanie z dużą precyzją zadawać ciosy agresorowi.

Ta pomoc działa bez zakłóceń?

Był kilkudniowy okres przerwy po feralnym lutowym spotkaniu Trump–Zełenski w Gabinecie Owalnym, ale potem wróciła. Za Trumpa skończyły się amerykańskie dostawy sprzętu wojskowego (ten można jedynie kupować), ale wsparcie wywiadowcze istnieje i jest ogromnie ważne.

Losy świata zależą od jednego człowieka. Nasze losy także.

Od kogo?

Od Trumpa.

Nie.

Od Putina?

Nie, nasze losy zależą od nas. Ukraina ma swoją podmiotowość, Polska ma swoją. I jest Europa.

Ale powiedziałeś przed chwilą, że Europa nie robi tego, co powinna.

Europa z trudem budzi się z długiego letargu. Najwyższy czas, bo Rosjanie mówią wprost, że są z nami w stanie wojny. A do ich agresywnych działań dochodzi jeszcze czynnik chiński, coraz istotniejszy z perspektywy rosnącej agresywności – na razie handlowej – Pekinu.

Chiny są groźne, bo *de facto* wspierają Rosję?

Bez silnych związków gospodarczych i politycznych z Pekinem Moskwa nie byłaby w stanie tak intensywnie prowadzić wojny.

A Pekin dlaczego ją wspiera?

Bo ma w tym interes i wspólnotę ideologiczną z Kremlem. Chiny rywalizują ze Stanami Zjednoczonymi. Rosja stanowi ich kluczowe zaplecze strategiczne i surowcowe, mówiąc językiem geografii: bezpieczną północ.

Oprowadziłeś mnie wcześniej po siedzibie OSW. W sali, gdzie odbywacie zebrania, wisi nie tylko sowiecka mapa sztabowa z odręcznie wyrysowaną linią paktu Ribbentrop–Mołotow, ale też mapa świata widzianego z perspektywy Chin. Inaczej to wygląda niż z Europą w centrum.

W obliczu rozwijającej się konfrontacji z USA, Chiny nie mogą sobie pozwolić na antagonizowanie Rosji. A że Rosjanie rozumują podobnie, mamy symbiozę interesów elit rządzących w Pekinie i w Moskwie. Ich głównym wrogiem ideologicznym jest Zachód na czele z USA. Przy czym o ile Chińczycy i Rosjanie na Stany wciąż patrzą z uznaniem, to w ich myśleniu Europa jest zmarginalizowana.

Bo Europa to splot sprzecznych interesów poszczególnych państw, które podejmują decyzje z trudem i z opóźnieniem?

I które często grzeszą naiwnością. Np. w niemieckim podejściu do Rosji i Chin popełniono w ostatnich dekadach strategiczne błędy, które obciążyły cały kontynent – mówimy przecież o głównej gospodarce Europy. To, jak bardzo biznes niemiecki ugrzązł w Chinach, jak Chiny na tym skorzystały, a Europa straciła, elity zachodnie uświadamiają sobie powoli.

Powiedziałeś, że Rosja jest przekonana, że toczy z nami wojnę: mam wrażenie, że polscy politycy dotąd unikali tego słowa. Choć podejrzewam, że w Waszym oglądzie takie akty dywersyjne jak ładunek wybuchowy na torach, wcześniej nalot dronów, podpalenie hali itd., to musi być element znanego z innych miejsc, rozpisanego na lata scenariusza eskalacyjnego.

Nie wiem, czy na lata, ale na najbliższą przyszłość na pewno. Rosja przenosi działania o charakterze hybrydowym na terytorium państw NATO.

Co będzie dalej?

To zależy po pierwsze od sytuacji na froncie ukraińskim, a po drugie od naszej odpowiedzi.

Jaka powinna być?

Przede wszystkim spójna i sojusznicza. Rosja powinna widzieć, że NATO istnieje, jest realnym podmiotem, który jak trzeba będzie, to wykona swoje zobowiązania wobec wszystkich członków. Rosja chce Sojusz podzielić, zneutralizować, ale wciąż jest jeszcze od tego daleko.

Rozumiem więc, że naszą odpowiedź na atak dronów oceniasz wysoko. W powietrze poderwano samoloty różnych krajów, strzelano do tego, co wleciało w naszą przestrzeń, pokazano jedność Sojuszu.

Podobnie było po naruszeniu przestrzeni powietrznej Estonii czy w przypadku dronów, które pojawiły się nad Danią. Tak, NATO zdaje egzamin.

A teraz, po dywersji na polskiej kolei?

NATO z uwagą patrzy na wyniki polskiego śledztwa. Ale niezależnie od niej: bardzo ważne jest zachowanie konsensusu politycznego polskich elit w kwestiach naszego bezpieczeństwa. Jednym z celów Moskwy jest przecież podzielenie nas.

Akurat po dywersji na kolei prezydent z rządem kłócą się w najlepsze.

OSW nie komentuje polskiej polityki wewnętrznej.

Bo wiesz, ja tu przyjechałem z takim poczuciem, że gdybym nie pracował w „Tygodniku", to bym chciał pracować w OSW.

O, bardzo miło, zapraszamy! Szukamy ludzi z wiedzą, znajomością języków, umiejętnością analitycznego myślenia i ciekawością świata. Przede wszystkim takich, którzy są pasjonatami. ↦

WOJCIECH KONOŃCZUK (ur. 1980) jest od 2022 r. dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia. Wcześniej kierował Zespołem Białorusi, Ukrainy i Mołdawii i był analitykiem w Zespole Rosyjskim OSW. Stały współpracownik „TP", wydał m.in. „Zagrożone dziedzictwo. Polskie dobra kultury na Ukrainie i Białorusi" i „Sztukę przetrwania. Deportacje sowieckie z powiatu bielskiego 1940-1941".

Na zdjęciu w sali sarkofagowej im. Stanisława Swianiewicza, gdzie odbywają się zebrania OSW, przed sowiecką mapą sztabową z odręcznie wyrysowaną linią paktu Ribbentrop–Mołotow.



MICHAŁ OKOŃSKI

↦ **W tym ostatnim punkcie jest chyba nieźle. Ale mnie najbardziej kręci coś, o czym czytam w każdej historii Ośrodka: że tu chodzi o służbę państwu. Nie rządowi czy prezydentowi, nie partii. Państwu.**

Tak, ten etos jest wyraźny. I chyba nieczęsty w administracji publicznej. Mnie też, jako początkującemu analitykowi, który przyszedł tu 17 lat temu, wpajano go od początku. Pracujemy dla państwa polskiego, niezależnie od tego, kto nim rządzi.

Jak to się robi w spolaryzowanym świecie?

Jeśli dobrze napiszesz pierwszy kod, to program działa. Ośrodek został dobrze zaprogramowany jeszcze w latach 90. Jest w nim dobrze rozwinięta pamięć instytucjonalna. Kolejni dyrektorzy OSW budowali kolejne piętra i nie wywracali wszystkiego do góry nogami. Jesteśmy równolatkami III RP i nasza praca ma służyć temu, by nasze państwo wzmacniać. Po szczegóły odsyłam do książki Andrzeja Brzezieckiego „Zmierzyć arszynem. Marek Karp i OSW".

Polska racja stanu to silna, niepodległa Ukraina, która jest związana z Europą, prawda?

Z pewnością.

Nie masz wrażenia, że polityczny konsens w tej sprawie się kruszy?

Myślę, że jest cały czas mocny. Pogląd, że potrzebujemy niepodległej, nie rosyjskiej, tylko europejskiej Ukrainy możliwie przyjaznej naszemu państwu, to wciąż polski mainstream.

Nie boisz się, że politykowi, któremu przedstawiasz swoje analizy, wyjdzie ze słupków, że o Ukrainie trzeba inaczej?

Jeśli chodzi o kluczowe z punktu widzenia interesu państwa kwestie – nie. Odrębną sprawą jest podejście do niemal dwumilionowej diaspory ukraińskiej. Ale to znów sprawa polityki wewnętrznej. Wspomniałem, że OSW jej nie komentuje.

Wydaje mi się, że to powinno wybrzmieć: mówimy o relacji analityk–decydent, fundamentalnej dla istnienia Ośrodka.



Nie da się zrozumieć sytuacji na wojnie, patrząc tylko na liczbę samolotów, czołgów czy dronów. Wojnę wygrywają ludzie, nie maszyny, a morale Ukraińców pozostaje silne.

Regularnie briefujemy kluczowe osoby w państwie. Nie tylko piszemy dla nich materiały analityczne, ale też chodzimy na rozmowy. Czasem podczas takiego briefingu trzeba powiedzieć politykowi, że jest inaczej, niż mu się wydaje.

Jak to się robi, żeby nie stracić zaufania?

Na pewno trzeba uważać na słowa, przydaje się odrobina dyplomacji, ale pamiętaj, że my tam idziemy jako reprezentanci instytucji, która zbudowała sobie pewną markę. Uznawaną ponadpolitycznie, nie tylko w Polsce.

Trump nie takie marki rozwalił w pięć minut.

Szczęśliwie pracujemy dla polskiej, nie amerykańskiej administracji. Z tą drugą zresztą też mamy kontakty.

Jak sobie wyobrażam decydenta, to myślę o człowieku permanentnie przebodźcowanym. Mnóstwo decyzji, spotkań, papierów do podpisu, a do tego jeszcze kolejne burze na X-ie. Z głową w smartfonie, nie ma czasu na czytanie Waszych produktów.

Dlatego dbamy o ich formę. Przygotowujemy również przekazy krótkie i bardzo konkretne, które trafiają do skrzynek decydentów i wysokich urzędników. Ale jesteśmy też w mediach społecznościowych i w nowych mediach. Wiemy, że politycy słuchają naszych podkastów, np. w podróży.

Twój poprzednik Adam Eberhardt napisał w podręczniku dla analityka: „Podstawową »walutą« w świecie analizy jest nie tyle sama informacja czy zdolność jej właściwej interpretacji, ile umiejętność przebicia się z własną narracją. Media społecznościowe pozwalają budować zasięgi szczególnie tym, którzy – dzięki chwytliwym tezom – potrafią znaleźć klucz do emocji odbiorców".

Potwierdzam, że trudniej dotrzeć do decydenta, biorąc pod uwagę inflację informacji i analizy. A często pseudoanalizy.

O tym mówię: natrafiam w mediach społecznościowych na ludzi o ogromnych zasięgach, którzy korzystając z mody na geopolitykę i używając trudnych słów, opowiadają bzdury.

Zwykle nie polemizujemy z nimi publicznie, choć jeśli uznajemy ich narrację za szkodliwą dla interesów państwa, komunikujemy, że widzimy rzeczywistość inaczej. Dotarcie do decydenta bywa sztuką, ale jeśli mamy coś ważnego do przekazania, umawiamy się bezpośrednio. I jesteśmy przyjmowani.

Po wszystkich stronach?

Tak.

Także w Konfederacji?

Jak trzeba, to także w Konfederacji.

Inny były dyrektor OSW Olaf Osica pisze: „Nowym zjawiskiem w polityce jest traktowanie wiedzy jako produktu w najlepszym razie nieprzydatnego do rządzenia, a w najgorszym jako gorsetu, który krępuje swobodę ruchów".

Zdarza się, że politycy nie chcą wiedzieć. Tylko że odrzucanie wiedzy oznacza oszukiwanie siebie. A w przypadku kogoś, kto ma mandat demokratyczny – także oszukiwanie społeczeństwa. We wszystkich rządach III RP nie brakowało jednak ludzi, do których nie tyle my musieliśmy docierać, co sami prosili o spotkanie i informacje.

Nie moją rolą jest mówić komuś, jaką politykę powinien prowadzić, ale mogę przypominać, że moment jest naprawdę szczególny. Wojna, nowa sytuacja w relacjach transatlantyckich, spadająca obec-

ność amerykańska w systemie bezpieczeństwa, wywołane tym nowe wyzwania dla Europy... Dodając rosnące i coraz bardziej agresywne Chiny, trzeba powiedzieć, że jesteśmy na ostrym strategicznym zakręcie. W przedsionku nowej epoki politycznej.

Co będzie za zakrętem?

To zależy m.in. od tego, jak się skończy wojna. Ale w tej kwestii jestem umiarkowanym optymistą: uważam, że Ukraina przetrwa i Rosji nie uda się zrealizować swoich celów wobec regionu.

Kiedy mnie oprowadzałeś po Ośrodku i pokazywałeś salę im. „Kultury", przypomniało mi się, że jeden z jej najważniejszych publicystów, Juliusz Mieroszewski, pisał, że „polityka w 70, a może nawet 80 procentach jest dyskusją na temat historii".

Zdanie aktualne zwłaszcza w odniesieniu do Rosji. To bardzo specyficzny twór państwowy, działający mimo zmian reżimów – carskiego, sowieckiego, teraz putinowskiego – w oparciu o zachowujące ciągłość instytucjonalną służby. Rosja to państwo, które myśli historycznie i które patrzy na Polskę historycznie, jako na kluczowego rywala w regionie. Ale też państwo, które tradycyjnie nie doceniało Ukrainy. Czego konsekwencje właśnie ponosi.

W publikacjach OSW trafiam na cytaty sprzed dziesięcioleci czy wieków. Astolphe de Custine, Józef Piłsudski, Marian Zdziechowski, Jan Kucharzewski czy Włodzimierz Bączkowski wciąż tłumaczą nam świat?

W pewnym stopniu nawet Lenin go tłumaczy. I myśl rosyjska, i nasza odpowiedź na rosyjskie zagrożenie w każdym pokoleniu mają wspólne mianowniki. Cele Kremla się nie zmieniają. Mówimy o kraju neoimperialnym, rewizjonistycznym. Porządek, który nam przyniósł prosperity, przyniósł załamanie rosyjskiej potęgi.

Jak się czyta prace rosyjskich strategów sprzed stu lat, to się mogą oczy otworzyć.

No dobrze, ale jak czytamy ich teksty o Polsce: czy one są adekwatnym opisem nas dzisiaj? Nic się nie zmieniliśmy?

Rosjanie nas doceniają. Graniczą z nami od wieków, pamiętają, że tworzyliśmy kiedyś mocarstwo regionalne. Polska jest wpisana w ich myślenie historyczne, a współcześnie wiedzą, że gdyby nie nasze wsparcie dla Ukrainy w ciągu pierwszych miesięcy pełnoskalowej wojny, ich plan mógłby się powieść. Tego nie zapomną.

Nawiasem: czego Wyście się spodziewali w dniu wybuchu wojny pełnoskalowej?

Głosy były podzielone. Ja akurat uważałem, że Ukraina się obroni, ale byłem w mniejszości.

Czyli analityk to też ktoś, kto ma dar weryfikowania siebie samego.

I uczenia się na własnych błędach. I ciągłego aktualizowania własnej wiedzy: jeżdżenia do danego kraju, czytania książek, oglądania filmów, poznawania popkultury, wszystkiego, co tworzy tamtejsze życie społeczne i mentalność.

Rozmawiałeś na korytarzu z szefem Zespołu Mediów: dziś OSW korzysta ze wszystkich dostępnych narzędzi, robi filmy i podkasty, buduje też własny model językowy. Świat się zmienia. Mamy trzy pokolenia pracowników. Zderzają się doświadczenia i wrażliwości, weryfikują się hipotezy. Wciąż ze sobą dyskutując, unikamy stadnego myślenia. Ale na zewnątrz w sprawach strategicznych nasza wizja jest spójna.

Da się powiedzieć jednym zdaniem, jakie jest społeczeństwo rosyjskie?

Jest to społeczeństwo, w którym panuje ogromna akceptacja dla przemocy – od domowej po państwową. Społeczeństwo, które lekko traktuje śmierć. I które chce mieć Rosję wielką. Pragnienie potęgi, mentalność imperialna są zaklęte w klasycznej rosyjskiej literaturze, ale też w lekturach szkolnych czy nawet bajkach. A intensywność i skala propagandy obecnej władzy przewyższa sowiecką, co ułatwia kontrolę społeczną.

Zwykli Rosjanie nie chcą końca wojny?

Gdyby Kreml powiedział: zabieramy Ukrainie to, co teraz kontrolujemy, i zawieramy pokój, Rosjanie by to zaakceptowali. Ale Kreml tego nie zrobi.

Pamiętajmy, że w dwóch głównych miastach – Moskwie i Petersburgu – ludziom żyje się dobrze. Rekruci, którzy giną – te straty sięgają miliona zabitych i rannych – pochodzą z prowincji. Nie wiemy, jak długo sytuacja ekonomiczna pozostanie względnie stabilna, ale niestety nic nie wskazuje na to, aby w najbliższych miesiącach miało dojść do zawalenia rosyjskiej gospodarki.

Czyli gdybyś miał powiedzieć polskiemu politykowi, który jeździ do światowych stolic, jak długo jeszcze trzeba się poświęcać, wspierać Ukrainę i samemu się zbroić: jaki byłby to horyzont?

Obawiam się, że ta wojna potrwa jeszcze długo. Ile dokładnie, to zależy, czy będziemy w stanie dowieść Rosji, że jej nie wygra. Jeśli jako Zachód pozostaniemy zdeterminowani i – we własnym interesie – będziemy skutecznie wspierać Ukrainę, to czas poświęceń będzie krótszy i mniej bolesny.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Redakcja: www.tygodnikpowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

KRAJ

POLSKA POD SPECJALNYM NADZOREM

Dyskusję o bezpieczeństwie, która rozgorzała po ostatniej rosyjskiej dywersji, trzeba zacząć od kluczowego pytania: o jakiej odporności mówimy, skoro co trzeci Polak nie wie, że obrona kraju to również jego obowiązek?

MAREK RABIJ

Ładunek wybuchowy, który w sobotę 15 listopada około 21.30 eksplodował na torowisku w pobliżu miejscowości Życzyn, uszkodził nie tylko szyny kolejowe. Jeśli Moskwa chciała zademonstrować, że w rozgrywce z Warszawą gotowa jest również na krwawe akty terroru, to komunikat niestety dotarł. W przeprowadzonym kilka dni później badaniu pracowni SW Research aż 71,2 proc. ankietowanych odpowiedziało, że obawia się jeszcze częstszych i jeszcze groźniejszych ataków ze strony Rosji.

Na liczącą ponad 19 tysięcy kilometrów sieć kolejową sztab generalny wysyła teraz Wojska Obrony Terytorialnej, które pomogą w patrolach Straży Ochrony Kolei oraz policji. Do ochrony infrastruktury krytycznej armia oddeleguje w całym kraju łącznie aż 10 tys. żołnierzy różnych formacji, nie tylko WOT. To największa w ostatnich latach operacja z użyciem armii, jeśli nie liczyć ubiegłorocznej powodzi, z którą w szczytowym momencie walczyło ponad 20 tys. wojskowych. Problem w tym, że potrzeby są jeszcze większe.

Do przypilnowania mamy 34 porty, w tym cztery o strategicznym znaczeniu dla gospodarki i stabilności państwa. Łupem sabotażystów paść może także któryś z siedmiu dużych magazynów gazu, ponad 12,1 tys. km rurociągów do przesyłu tego surowca, 20 tys. ujęć wody pitnej, 65 elektrowni i elektrociepłowni oraz



31 tys. km kabli energetycznych. A także około 42 tys. mostów, ponad 300 zapór wodnych i około 45 tys. stacji bazowych, które zapewniają łączność przeszło 96 proc. populacji Polski, umożliwiając też funkcjonowanie miriadzie rozmaitych urządzeń sterujących i pomiarowych.

Dokładny i stały nadzór nad tą infrastrukturą, wykraczający poza bieżące serwisowanie, to zadanie ponad możliwości państwa, nieważne jak dobrze zorganizowanego i zarządzanego. Można jedynie skoncentrować się na jej kluczowych elementach i wierzyć, że sabotażystów w porę wykryją stosowne służby wespół z czujnym społeczeństwem.

– A jeśli się nie uda, dla części opinii publicznej głównym winowajcą będzie rząd – zauważa dr Michał Piekarski z Zakładu Studiów nad Bezpieczeństwem Uniwersytetu Wrocławskiego. – W minionym trzydziestoleciu wiele rzeczy się nam w Polsce udało, ale niestety nie należy do nich kultura obronności, oparta dziś głównie na dużych instytucjach i w zasadzie nieangażująca społeczeństwa w budowę bezpieczeństwa.

Płacę podatki i wymagam

Z kolejnych polskich badań nastrojów społecznych, jak mówi Piekarski, bije niezmienne przekonanie, że to jeszcze jedno z długiej listy zadań, które państwo ma wykonać w ramach swoistego kontraktu, który z nim zawieramy, płacąc podatki. Dużym poparciem cieszy się więc zwiększanie wydatków budżetowych na armię, ale za przywróceniem obowiązkowej zasadniczej służby wojskowej jest już zaledwie 39 proc. badanych; w dodatku przeważają wśród nich tacy, którzy uważają, że dla wspólnego dobra powinni ją pełnić inni. Przeszło trzy czwarte Polaków chwali też działalność organizacji i stowarzyszeń proobronnych, ale liczba ich członków, jak szacuje Instytut Sobieskiego, nadal idzie raczej w dziesiątki niż setki tysięcy. Jednocześnie krytycznie oceniamy poziom przygotowania państwa na zagrożenia zewnętrzne. Tylko 8 proc. uczestników badania przeprowadzonego w czerwcu br. przez pracownię IBRiS postrzega je jako dobre, a 9 proc. – za wystarczające. Słowem, płacimy i wymagamy, żeby było bezpiecznie. A państwo nas w tym utwierdza.

– I trzy lata temu, w apogeum kryzysu na granicy białoruskiej, i rok temu na Dolnym Śląsku podczas powodzi, główną rolę odgrywało wojsko – wylicza Piekarski. – Teraz na zlecenie rządu sztab generalny uruchamia operację „Horyzont", choć zagrożona jest infrastruktura cywilna. Państwo sięga po armię nie dlatego, że to ona najlepiej nadaje się do takich zadań, lecz dlatego, że nie ma nic lepszego pod ręką.

Żołnierze patrolujący dworce, tory kolejowe i pilnujący mostów podniosą oczywiście bezpieczeństwo, choć informacja resortu obrony o członkach WOT, którzy na patrole ruszą z bronią, ale bez ostrej amunicji (formalnie patrole to ich szkolenia), stawia tę operację niebezpiecznie blisko parodii. – Ale WOT, szkolone głównie do patrolowania i straży, to najmniejszy problem – kontynuuje dr Piekarski. – Do operacji „Horyzont" bez większej szkody można będzie też oddelegować operatorów dronów; będą robić z grubsza to samo, co na szkoleniach. Dla pozostałych, zwłaszcza dla sił specjalnych, które też mają wejść do akcji, będzie to jednak czysta strata czasu i zasobów. Jednostki wyjęte z systemu szkoleń potrzebują nawet kilku miesięcy, żeby wskoczyć do niego z powrotem i zgrać się z innymi.

Powitanie z bronią

Militaryzacja bezpieczeństwa ma w Polsce długą tradycję. W PRL wojsko było ważnym elementem systemu kontroli, a w stanie wojennym stało się wręcz filarem państwowego aparatu represji, wymierzonego w buntujące się społeczeństwo. Ojcowie nowej Polski, nauczeni tymi bolesnymi doświadczeniami, ↦



JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Na granicy polsko-białoruskiej. Terespol, 9 grudnia 2024 r.

↦ po 1989 r. najpierw narzucili armii cywilną kontrolę, ale tuż potem w zasadzie odgrodzili ją od społeczeństwa, zawieszając powszechny pobór. Uzawodowione wojsko, trenowane w dodatku głównie na misje zagraniczne, stało się egzotycznym bytem, z którym przeciętny Polak widywał się najwyżej na defiladzie. Straciliśmy też zainteresowanie sprawami bezpieczeństwa, bo przecież gwarantem polskiej niepodległości było NATO.

W 2014 r. na Krymie pojawiły się jednak rosyjskie „zielone ludziki" i stało się jasne, że armia może być Polsce potrzebna również w kraju. Ponowne oswojenie munduru w przestrzeni publicznej i w głowach szło nam już opornie. W 2019 r. widok żołnierzy WOT, którzy po ćwiczeniach wpadli z bronią przekąsić coś w restauracji, do tego stopnia zbulwersował pozostałych gości, że o zdarzeniu zawiadomiono media. Z „incydentu" musiał się tłumaczyć rzecznik MON.

Dziś, gdy osiemdziesiąt kilometrów od polskiej granicy spadają rakiety, tematyka bezpieczeństwa i wojskowości cieszy się niemal powszechnym zainteresowaniem. Jednocześnie prawie 40 proc. Polaków nadal nie ma pojęcia, że obrona kraju to obowiązek, który konstytucja RP nakłada na każdego polskiego obywatela. Miał to im uświadomić „Poradnik bezpieczeństwa", czyli opracowana na zlecenie władz broszura z informacjami o strukturze polskiego zarządzania kryzysowego i poradami na wypadek wojny, dywersji, klęsk żywiołowych i innych zdarzeń losowych. Rząd zapowiadał, że „Poradnik" zostanie rozesłany do wszystkich polskich domów po wakacjach. Obecnie realnym terminem jest przełom roku – o ile do wysyłki w ogóle dojdzie, bo urzędnicy MON w kuluarowych rozmowach przyznają, iż szefostwo nabrało wątpliwości, czy w ten sposób obywateli uspokoi, czy raczej wystraszy. Publikację już teraz można pobrać ze stron rządowych. Trzeba ją tylko wygrzebać z trzewi serwisu.

W strefie politycznego komfortu

Zachowanie decydentów w tej dość prostej sprawie wpisuje się w swoisty *modus operandi* polskiej klasy politycznej, która z zagrożeniami wywołanymi wojną na wschodzie za wszelką cenę próbuje radzić sobie w trybie „pokojowym". Nie można oczywiście mieć do władzy pretensji, że usilnie stara się utrzymać normalne funkcjonowanie instytucji, gospodarki i społeczeństwa. Problem w tym, że – jak mówi prof. Agnieszka Bryc, politolożka zajmująca się badaniami nad działaniem administracji w obliczu kryzysów – pokojowa narracja staje się, także dla rządu, łatwym usprawiedliwieniem dla niepodejmowania niepopularnych, ale już dziś niezbędnych decyzji.



NAYPONG STUDIO / ADOBE STOCK

Nie bądź obojętny

Rządowy „Poradnik bezpieczeństwa" radzi, aby w swoim bezpośrednim otoczeniu zwracać uwagę na:

- **NIEUZASADNIONE PRÓBY KONTAKTU** ze strony osób, które oferują łatwy zarobek;
- **ZMIANY W ZACHOWANIU OSÓB** z bliskiego otoczenia, których nie da się logicznie wyjaśnić, np. nieuzasadnione próby zdobycia danych osobowych, planów budynku i innych informacji wrażliwych;
- **PODEJRZANE OZNACZENIA** – graffiti, znaki farbą, kredą lub taśmą – w miejscach, w których nie powinno ich być: np. nietypowe symbole na skrzynkach energetycznych lub telekomunikacyjnych, na murach, drogach i latarniach;
- **OSOBY, KTÓRE OBSERWUJĄ,** fotografują, filmują (m.in. za pomocą dronów) obiekty takie jak lotniska, centra handlowe, węzły logistyczne, tory kolejowe, jednostki wojskowe, szpitale.

Zawiadomienie policji czy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego to nie donos. Gdyby okazało się nieuzasadnione, nie implikuje konsekwencji prawnych ani dla zgłaszającego, ani dla zgłoszonego. Zawiadomienie zweryfikują służby i podejmą stosowne działania. ©℗ MR

– Rozumiem, że premier czy minister obrony wolą nie mówić w kółko, że Rosja atakuje nas dziś właściwie wszystkimi zasobami poza regularnym wojskiem – podkreśla. – Ale dlaczego ma to uzasadniać również brak tak oczywistych posunięć, jak przywrócenie w jakimś kształcie zasadniczej służby wojskowej czy nałożenie na platformy społecznościowe regulacji, które utrudnią rozsiewanie za ich pośrednictwem paniki i dezinformacji? Na takie kroki decydują się nawet państwa niesąsiadujące z Rosją, jak Chorwacja czy Dania. My z wojną za płotem usiłujemy za wszelką cenę utrzymać ułudę pełnego bezpieczeństwa.

„Jesteśmy w czasach, których nie można nazwać czasem wojny, ale też nie można nazwać czasami pokoju" – przekonywał w ub. tygodniu minister Marcin Kierwiński podczas kolejnej już konferencji prasowej poświęconej reakcji na akty kolejowej dywersji. Padło też wiele słów o sile oraz gotowości państwa i jego instytucji do odparcia zagrożeń. Do naszego arsenału bezpieczeństwa dołączyć ma zarazem aplikacja umożliwiająca zgłaszanie podejrzanych aktywności, wraz z podaniem służbom dokładnej lokalizacji. Szef sztabu generał Wiesław Kukuła zapewnił, że oprogramowanie powinno być gotowe w połowie grudnia, i nikt z uczestników konferencji nie zapytał, dlaczego państwo polskie dopiero teraz – w czwartym roku wojny w Ukrainie, po kilku udanych atakach dywersyjnych i po szeregu udaremnionych – przystępuje do realizacji tak oczywistego zadania. Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi wyrwało się nawet, że prace nad aplikacją ruszyły „kilka tygodni temu"; przez ułamek sekundy szef MON wahał się, czy podać ten fakt do publicznej wiadomości. Nic dziwnego – podobne rozwiązanie Ukraina uruchomiła 7 marca 2022 r., trzy tygodnie po rosyjskiej agresji.

– Ja niestety nie mam złudzeń, że rząd wyjdzie z tej strefy politycznego komfortu – kontynuuje prof. Bryc. – Horyzontem dla wszystkich jego działań są najbliższe wybory, dlatego w sferze polityki bezpieczeństwa priorytetowo traktuje się tylko te postulaty, które pozwalają zbić polityczny kapitał, ewentualnie nie są zbyt kosztowne wizerunkowo. Poprzed-

nicy zachowywali się podobnie, pod tym względem nie widzę większych różnic.

Polską klasę polityczną, bez względu na jej barwy partyjne i ideologiczne predylekcje, łączy – zdaniem prof. Bryc – przekonanie, że na poważne decyzje przyjdzie czas. – W tym sensie zgadzam się z politologiem Andrew Michtą, który niedawno wytykał politykom krajów NATO krótkowzroczność i nazywał ich menedżerami czasu pokoju, obawiającymi się wejścia w rolę przywódców.

Zatrzymać polaryzację

Może więc czas porzucić uspokajające powiastki i dojrzale przyznać, że Rosja prowadzi już w Polsce działania *quasi*-wojenne, które mogą kosztować życie obywateli? Sabotaż pod Garwolinem nie jest przecież pierwszym „atakiem kinetycznym" na terenie naszego kraju. Wcześniej było przecież podpalenie hali targowej przy ul. Marywilskiej w Warszawie, dwa pożary składów budowlanych, w stolicy i w Radomiu, udaremniona przez służby próba podpalenia fabryki farb we Wrocławiu oraz ładunek wybuchowy z zapalnikami, przechwycony w przesyłce kurierskiej. Nieoficjalnie od ekspertów ds. bezpieczeństwa można usłyszeć o kilku innych, udaremnionych aktach dywersji na zlecenie Rosji.

– A to nas powinno od razu odsyłać do pytania o polaryzację – podkreśla Agnieszka Bryc. – Mamy w krajowej polityce ugrupowania jawnie żywiące się szowinizmem. Platformy społecznościowe przerysowują różnice światopoglądowe, szczują na cudzoziemców. Dużo mówi się o tym problemie w kontekście bieżącej polityki, ale wątek bezpieczeństwa pomijamy niemal w całości. W pamięci została mi scena z tegorocznego święta Wojska Polskiego, gdy zwolennicy prezydenta Nawrockiego wybuczeli wystąpienie szefa MON. Kto będzie winny, jeśli część z nich odmówi podporządkowania się decyzjom rządu, bo to nie ich rząd?

Artykuł 85. konstytucji mówi tymczasem o obowiązku obrony ojczyzny, spoczywającym na każdym obywatelu. Sformułowanie to – jak mówi Agnieszka Bryc – nie jest przypadkowe, bo rozciąga regułę na każdego posiadacza polskiego paszportu, bez względu na narodowość, wyznanie, nie mówiąc o poglądach politycznych czy przynależności etnicznej. Nasza konstytucja w wizjonerski sposób stara się trzymać z dala od endeckich wizji państwa narodowego, więc stawia na wspólnotę obywateli. Trzy dekady temu, kiedy pisano ustawę zasadniczą, Polska, kraj wówczas niemal monoetniczny, przyznawała obywatelstwo mniej niż tysiącu cudzoziemcom rocznie. Imigrację znaliśmy jedynie ze słyszenia.

Uruchamiamy operację „Horyzont", choć zagrożona jest infrastruktura cywilna. Państwo sięga po armię nie dlatego, że najlepiej się do tego nadaje, lecz dlatego, że nie ma nic lepszego pod ręką.

Obecnie szeregi obywateli RP co roku zasila już kilkanaście tysięcy obcokrajowców. Tylko w zeszłym roku paszport z orzełkiem otrzymały rekordowe 16 342 osoby, o 37 proc. więcej niż rok wcześniej (byli to głównie dobrze zasymilowani Ukraińcy). Imigracja zarobkowa, choć ograniczana przez władze, nadal utrzymuje się na wysokim poziomie. Z danych przygotowanych dla Sejmu wynika, że na koniec ub. roku prawo stałego pobytu na terenie RP miało 124,3 tys. cudzoziemców. W gronie 310 tys. osób, którym w zeszłym roku wydano lub przedłużono prawo pobytu tymczasowego, aż jedna trzecia pochodziła z odległych geograficznie i kulturowo krajów, jak Filipiny i Kolumbia (po około 38 tys. osób) oraz Indie (33,9 tys.). Większość wróci do domu, ale część na pewno spróbuje osiedlić się w Polsce. Czy utożsamią się z nową ojczyzną na tyle, by chcieć także stanąć w jej obronie? Nie musi to od razu oznaczać założenia munduru wojskowego. Mowa raczej o tym, czy zadzwonią po policję, gdy zobaczą, że ktoś podejrzany kręci się pod domem sąsiada lub przy ujęciu wody.

Silosy systemu

Do długiej listy pytań o bezpieczeństwo trzeba dopisać jeszcze jedno. O czym tak naprawdę mówimy, kiedy wspominamy o odporności państwa? Czy rozumieć ją w sposób klasyczny, czyli jako zdolność instytucji do kontynuowania działalności w obliczu zagrożenia? A może – jak zauważa Weronika Grzebalska, socjolożka obronności z Polskiej Akademii Nauk – odporność powinna oznaczać także umiejętność szybkiego odnalezienia się państwa i jego instytucji w nowej rzeczywistości? Kryzys to zresztą również szansa na krytyczne spojrzenie na to, co dotychczas zbudowaliśmy.

Gdyby z tej perspektywy spojrzeć na gmach polskiego bezpieczeństwa, stanie się jasne, że budujemy system zbyt scentralizowany, oparty na instytucjach, które źle komunikują się z obywatelami. – Ile słyszał pan w tym tygodniu wezwań polityków, mundurowych i urzędników do zachowania czujności? – pyta Michał Piekarski. – A w ilu padło wyjaśnienie, na co dokładnie ma pan być czujny?

Wojsko, policja, straż graniczna i inne formacje mundurowe odpowiedzialne za bezpieczeństwo nauczyły się już jako tako współpracować ze sobą. Działa obieg informacji, odbywają się regularne szkolenia. Niechętnie, czasem wręcz z nieufnością zbrojne ramię państwa podchodzi jednak do współpracy z cywilami. Rząd nie chce słyszeć choćby o pomyśle odpisu od podatku CIT, za który firmy mogłyby budować w swojej okolicy ważne dla nich elementy infrastruktury bezpieczeństwa albo przeszkolić i wyposażyć pracowników do pilnowania okolicy. W kraju mamy też ponad 100 tys. organizacji pozarządowych, z których wiele jest świetnie zorganizowanych i dysponuje strukturami terenowymi, infrastrukturą i środkami transportu. Ani rząd, ani służby mundurowe na razie nie wpadły jednak na pomysł, w jaki sposób można by je wpiąć w krajowy system bezpieczeństwa. Jakub Wygnański z Fundacji Stocznia w eseju „Nie tylko czołgi, czyli opowieść o odporności i sile społecznej" zlicza te „nieformalne dywizje", których istnienia państwo nawet sobie nie uświadamia. Do wykorzystania mamy ponad 16 tysięcy ochotniczych straży pożarnych, 16,5 tys. kół gospodyń wiejskich, 11 tys. parafii, 8 tys. domów kultury i ponad 5 tys. lokalnych klubów sportowych.

Piłkarze i gospodynie domowe nie zastąpią żołnierzy, tak jak dom kultury nie zastąpi porządnego schronu. Jeśli jednak marzy się nam obrona totalna, na wzór choćby tej, którą sobie zorganizowali Finowie, trzeba wykorzystać wszystko, co mamy.

©℗ MAREK RABIJ

Wiedza kontra piękno

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

ZDROWIE | Po polskich ulicach chodzi coraz więcej osób oszpeconych zabiegami, które miały je upiększyć. Gdy orientują się, że nie w wyglądzie tkwił ich główny problem, bywa już za późno.

Chciała być jak ona. Najpierw ufarbowała włosy na blond, potem wydrukowała fotki koleżanki z mediów społecznościowych i poszła z nimi do kliniki medycyny estetycznej. Lekarz uważnie obejrzał zdjęcia i przyjrzał się Agnieszce. A potem powiedział, że to niemożliwe, bo mają zupełnie inne rysy. Na pocieszenie zaproponował, że wymodeluje jej usta tak, by przypominały te ze zdjęcia.

– Chwyciłam się tych ust, jakby miały go przy mnie zatrzymać. Ale on nawet nie za bardzo zauważył, że są większe. Mijał mnie niemal bez słowa. Pomyślałam, że może jak zrobię sobie *full face*, coś się zmieni – wspomina Agnieszka, znajoma urzędniczka z Warszawy.

Tym razem poszła nie do kliniki, ale do salonu kosmetycznego. Kosmetolożka „dopompowała usta" i podała kwas hialuronowy, żeby wymodelować linię żuchwy. Niestety, preparat zaczął przemieszczać się w inne miejsca twarzy, więc Agnieszka wróciła do salonu, poddała się hialuronidazie (rozpuszczenie kwasu), ale jej stan nie za bardzo się poprawił. Twarz zaczęła ją piec, a w okolicach nosa i ust pojawiły się czerwone ziarniaki. Zaniepokojona poszła do lekarza, ale nie miała żadnej dokumentacji, nie umiała podać ani nazwy produktu, ani dawek, jakie jej zaaplikowała kosmetolożka. Z ziarniakami sobie poradziła, ale efekty zabiegów były ostatecznie, co tu kryć, kiepskie.

Pospieszne wybory

– Zabiegi z użyciem kwasu hialuronowego niosą ryzyko powikłań, które mogą zdarzyć się także lekarzom – wyjaśnia dr Andrzej Ignaciuk. – Jeśli jednak dojdzie do wstrząsu anafilaktycznego czy reakcji alergicznej, lekarz będzie umiał sobie z takimi sytuacjami poradzić. Kosmetyczka nie ma takich możliwości, dlatego nie rozumiem fenomenu, który dziś obserwuję. Kobiety, zanim pójdą do ginekologa czy endokrynologa, dokładnie czytają opinie i szukają najlepszego specjalisty, a jeśli chodzi o zabiegi medycyny estetycznej, często wybierają osoby bez wykształcenia w tej dziedzinie.

Andrzej Ignaciuk jest prekursorem w dziedzinie medycyny estetycznej w Polsce. Po studiach medycznych w Lublinie szkolił się we Włoszech, a gdy wrócił do kraju w 1993 r., założył sekcję Medycyny Estetycznej Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Przez wiele lat był też prezesem Polskiego Towarzystwa Medycyny Estetycznej i Anti-Aging. W 2002 r. stworzył trzyletnią Podyplomową Szkołę Medycyny Estetycznej , w której do dziś uczy studentów.

– Na polskiej ulicy widuję kobiety oszpecone przez zabiegi „medycyny estetycznej" i wtedy złość mnie bierze, że przez takich partaczy całe środowisko okrywa się złą sławą. Tymczasem ta dziedzina może realnie poprawiać jakość życia człowieka i sprawić, że wygląd będzie odzwierciedleniem dobrze funkcjonującego organizmu. U nas jednak zwycięża pogoń za uniformizacją. Wiele kobiet chce wyglądać tak samo: duże usta, spiczasta broda i wystające kości policzkowe. Nie rozumiem tego – przyznaje dr Ignaciuk.

Usta włoskie lub paryskie

– Potrzebujesz nowych, pełnych ust. Marszczysz czoło i masz wyraźne kurze łapki, więc koniecznie trzeba podać ci botoks. No i bez wolumetrii, czyli poprawy konturów twarzy, efekt odmłodzenia będzie połowiczny – Justyna, właścicielka salonu kosmetycznego w Lublinie, mówi z przekonaniem, ogląda mnie krytycznym okiem, a ja wprost kurczę się w fotelu pod jej spojrzeniem.

Do tej pory byłam przekonana, że przynajmniej usta mam ładne, ale Justyna mówi, że trzeba „podkręcić" je wypełniaczem. Jeśli poddam się wszystkim zabiegom, odmłodzą mnie rzekomo o 10 lat. Faust potrzebowałby do takiego zadania diabła, a mnie wystarczy kosmetyczka po kursie stosowania toksyny botulinowej i kwasu hialuronowego (niektóre z takich szkoleń trwają tylko trzy dni). Justyna wylicza również, że za „nową twarz" zapłacę w jej gabinecie nie więcej niż 6 tys. zł, a zabiegi rozłoży na trzy miesiące. Kiedy wychodzę z gabinetu, na korytarzu czekają dwie młode dziewczyny. Z ich rozmowy wynika, że przyszły zrobić sobie usta, wspominają coś o studniówce.

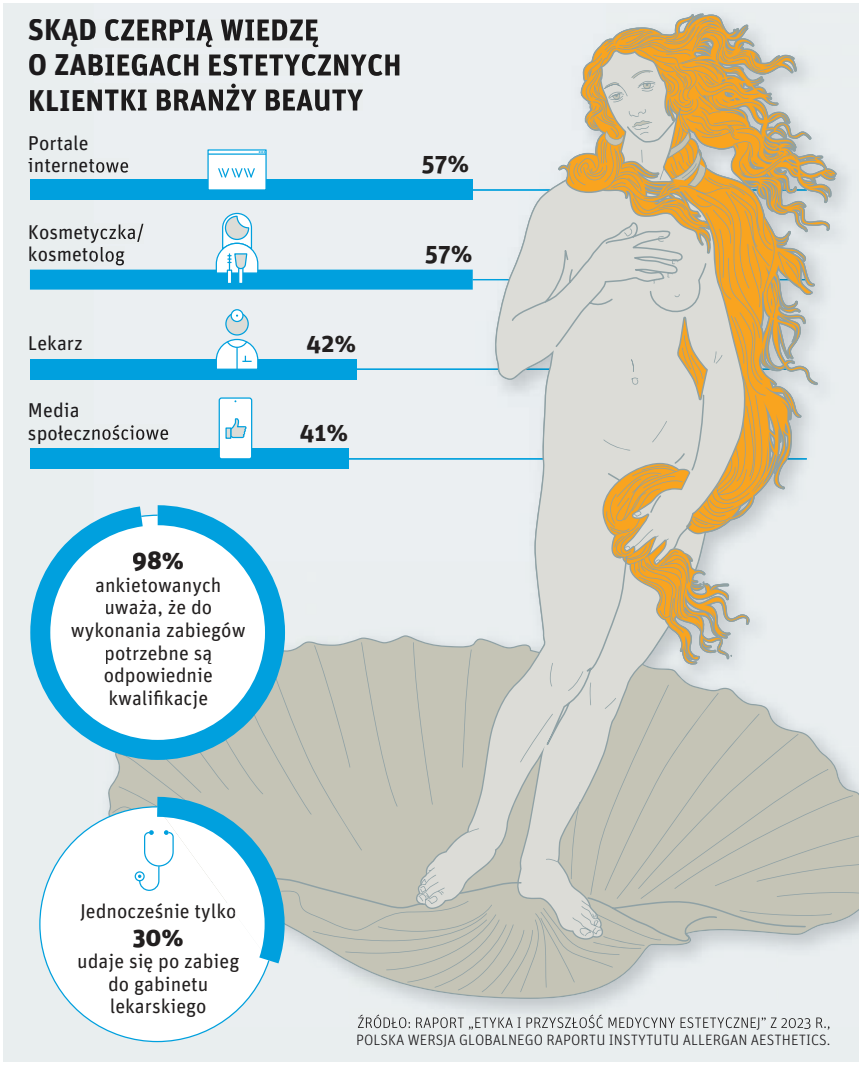
Badam rynek dalej i okazuje się, że zabiegi upiększające mogę zrobić jeszcze taniej, tylko nie w salonie kosmetycznym, ale u Wioli, która nie chce wynajmować lokalu, więc przyjmuje kobiety w domu swoich rodziców na przedmieściach Lublina. W mediach społecznościowych reklamuje się hasłem: „Podaruj sobie nowe usta".

Wiola mówi mi, że studiowała pedagogikę, ale na wiosnę przestała chodzić na zajęcia; w zamian wybrała kurs wypełniania ust. Zaznacza jednak, że cały czas doszkala się też przez internet, gdzie ogląda filmiki, np. jak się dobrze wkłuwać. Dzięki temu może mi zaproponować usta włoskie i paryskie, ale może mnie też „ostrzyknąć na płasko" i na *baby doll*.

Choć zabiegi opisane przez Justynę i Wiolę powinni wykonywać lekarze, którzy zdobyli w tej dziedzinie wykształcenie, w Polsce nie ma specjalnych przeszkód, by robiły to osoby po kilkudniowym kursie. Branża *beauty* rośnie w szybkim tempie wraz z bogaceniem się społeczeństwa, a obietnica zysków przyciąga osoby, które widzą w wykonywaniu zabiegów szansę na szybkie wzbogacenie się i stabilną pracę. Gra toczy się więc nie tylko o zdrowie pacjentów, ale też o ogromne pieniądze.

„Lex szarlatan"

Mimo że 8 lipca 2023 r. weszło w życie rozporządzenie uznające, że zabiegi medycyny estetycznej stanowią świadczenie zdrowotne, a ich udzielanie wymaga uprawnień, to wciąż nie ma przepisów wykonawczych, które wskazywałyby jednoznacznie, kto może podawać kwas hialuronowy czy stymulatory tkankowe. Być może sprawę rozwiąże „lex szarlatan", czyli konsultowany od czerwca projekt nowelizacji ustawy o ochronie pacjentów, ale dopóki nie zostanie zatwier-



LECH MAZURCZYK DLA „TP"

dzony, kosmetyczki i kosmetolodzy nic nie zmieniają w zakresie swoich usług. Nadal wstrzykują toksynę botulinową, podają kwas hialuronowy, a nawet wprowadzają pod skórę nici liftingujące.

– Lekarz rozumie procesy, które zachodzą w organizmie pacjenta. Wie, że przyjmowanie niektórych leków i przebyte choroby mogą wykluczać pewne zabiegi. Dlatego dopiero po zrobieniu wywiadu decyduje o przebiegu leczenia. Kiedy jednak ktoś decyduje się na inwazyjne procedury w gabinecie kosmetycznym, z pacjenta staje się tylko klientem. Wygląda to tak, jakby wybrał się w podróż samolotem, ale zamiast wyspecjalizowanego pilota maszynę prowadził człowiek po kursie na szybowcach – uważa dr Ignaciuk.

Raport „Etyka i przyszłość medycyny estetycznej" z 2023 r. pokazuje, że zabiegi poprawiające urodę stały się niezwykle popularne i przestały być postrzegane jako usługi dostępne tylko dla celebrytów i ludzi zamożnych; rocznie poddaje się im w Polsce ok. 600 tys. osób, w zdecydowanej większości kobiet. Wiedzę na ten temat czerpią najczęściej z portali internetowych (57 proc.), od kosmetyczek i kosmetolożek (również 57 proc.), rzadziej od lekarzy (42 proc.). Choć 98 proc. ankietowanych przyznało, że do wykonania zabiegów potrzebne są odpowiednie kwalifikacje, tylko 30 proc. z nich poddało się zabiegowi w gabinecie lekarskim.

– Wcale się temu nie dziwię, że kobiety wybierają kosmetyczki. U nas jest taniej, a mamy często większe doświadczenie niż lekarze. Ja już pięć lat działam na rynku i nigdy nie miałam wpadki. A jak kiedyś dziewczyna spuchła po wypełniaczu, rozpuściłyśmy go hialuronidazą i nie było śladu – zapewnia Justyna z gabinetu kosmetycznego w Lublinie. I podkreśla, że na uniwersytecie medycznym skończyła studia z kosmetologii, więc nikt jej nie może zarzucić naskórkowego wykształcenia z weekendowych kursów. Kiedy jednak pytam, czy zgodzi się wystąpić w artykule pod nazwiskiem, stanowczo odmawia, bo mi nie ufa. Uważa, że na branżę *beauty* zaczęła się w mediach nagonka. Nie poda mi więc, skąd bierze toksynę botulinową, która jest na receptę, i gdzie kupuje kwas hialuronowy.

Snapchatowa dysmorfia

– Mam nadzieję, że nie na AliExpress, choć i to jest możliwe – uważa Iwona Dembicka, lekarka stomatolożka, która w 2017 r. po studiach podyplomowych otworzyła gabinet medycyny estetycznej w Zamościu. – Na rynku jest bardzo wiele preparatów z toksyną botulinową, każdy z nich inaczej się rozcieńcza i podaje. Kiedy zamawiam taki preparat w hurtowni internetowej, proszą mnie o numer prawa wykonywania zawodu. Nie korzystam z szemranych dostawców, bo wiem, że muszę mieć absolutną pewność, co podaję pacjentce. Kiedyś przyszła do mnie kobieta i poprosiła, bym wstrzyknęła jej to, co kupiła w sieci, ale nie chciałam o tym słyszeć.

Lekarka podkreśla, że na przestrzeni ostatnich lat zabiegi medycyny estetycznej stały się dostępne także dla osób średniozamożnych, stąd do jej gabinetu przychodzą zarówno właścicielki lokalnych biznesów, jak też urzędniczki czy nauczycielki. Czasem trafiają się też kobiety, które szukają pomocy po nieudanych zabiegach u kosmetyczek, widuje więc twarze zniekształcone przez wypełniacze lub zmienione przez reakcję alergiczną. Przychodzą również pacjentki, które zatraciły się w zabiegach i nie potrafią powiedzieć „stop". Pragną jeszcze bardziej „dopompować usta", choć na pierwszy rzut oka widać, że ich twarz zatraciła proporcje. Dembicka wtedy odmawia, bo lekarz nie jest od spełniania absurdalnych życzeń i nie może działać na szkodę pacjenta.

– Powiększanie ust to najpopularniejszy zabieg, także wśród bardzo młodych kobiet. Czasem dziewczyna przychodzi z mamą, która obiecała jej taki prezent na osiemnaste urodziny. Nie zastanawiają się, czy wypełnianie ust w tak młodym wieku nie odbije się na późniejszym wyglądzie kobiety. Śluzówka przecież z wiekiem wiotczeje, a w tym wypadku jest dodatkowo nadwyrężana nadmiernym ciężarem – ostrzega lekarka.

Raport „Polska za filtrem 2025" ukazuje, jak silna jest presja wzorców kreowanych przez modę i internetowych influencerów. Aż 66,7 proc. badanych przyznało, że ↦

↦ decyzję o zabiegu podjęło pod wpływem mediów społecznościowych, a 50 proc. poprzez zabieg chciało się upodobnić do celebrytów i społecznościowych idoli. Czasem pogoń za „ideałem" prowadzi do „snapchatowej dysmorfii", czyli poczucia stałego niezadowolenia z własnego wyglądu, wyolbrzymiania drobnych defektów i ciągłych prób uzyskania „wyretuszowanego" wyglądu.

Żeby dostać pracę

– Wciąż żyjemy w czasach zdominowanych przez neoliberalizm. Perfekcyjny wygląd, nazywany kapitałem piękna, ma warunkować sukces zawodowy człowieka. Poprawiamy urodę, dyscyplinujemy ciało, a więc dbamy o to, „by stworzyć najlepszą wersję samych siebie". Jeśli ktoś nie staje się „estetycznym przedsiębiorcą", ignoruje kulturowe wymagania dotyczące wyglądu, może czuć się niepełnowartościowy i wyobcowany. Z kolei akceptując je, potwierdza narzucone standardy piękna. Dotyczy to głównie kobiet – wyjaśnia prof. Mariola Bieńko z Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. – Podczas badań z przedstawicielami branży *beauty* poznałam historię dziewczyny, która skorzystała z zabiegów medycyny estetycznej, żeby zatrudnić się w amerykańskiej firmie. Tak mocno wierzyła w moc chirurgicznej metamorfozy, że mniejsze znaczenie miały w jej ocenie ograniczona znajomość języka angielskiego czy też brak wiedzy na temat obsługi potrzebnych jej programów komputerowych.

Kultura konsumpcyjna generuje w nas przekonanie, że musimy się zmienić i dopasować do obowiązującego modelu piękna, który ma być kapitałem na rynku pracy bądź na rynku matrymonialnym. Mają w tym swój udział również niektórzy lekarze, wykorzystujący media społecznościowe do budowania marki. Siadają przed kamerą idealnie wystylizowani, na tle pięknego wnętrza i pod pretekstem edukowania społeczeństwa opowiadają o zabiegach. Dają nam często do zrozumienia, że dla lepszego życia powinniśmy poprawiać swe niedoskonałości. W ich wypowiedziach ciało jest „utowarowione", a człowiek ma obowiązek je modelować i zmieniać. W takim świecie „nie wypada" się zestarzeć, lepiej już zaprzeczać własnej biologii.

Do gabinetów przychodzą pacjentki, które zatraciły się w zabiegach. Nie potrafią powiedzieć „stop".

Z rozmów, jakie prof. Bieńko prowadziła z lekarzami i lekarkami medycyny estetycznej, wynika, że jeszcze niedawno zgłaszały się do ich gabinetów dziewczyny z fotografiami gwiazd filmowych i prosiły o zrobienie takich samych ust. Dziś pacjentki przynoszą coraz częściej własne zdjęcia, „przepuszczone" przez filtry TikToka lub Instagrama – chcą być tak piękne, jak ich perfekcyjna wersja na ekranie smartfona. Pokazuje to, jak wiele osób ma problemy osobowościowe, wynikające z głębokiej nieakceptacji siebie. Jednak ten lęk przed brzydotą nie przynosi satysfakcji, zwłaszcza „hiperestetycznym pacjentkom", które kompulsywnie koncentrują się na wyimaginowanych defektach urody. Dlatego w renomowanych klinikach medycyny estetycznej można znaleźć również wizytówki psychoterapeutów, którzy mogą odnaleźć prawdziwe źródło problemów z samoakceptacją i zaradzić im bez często kontrproduktywnego zmieniania wyglądu.

Prawdziwa cena „piękna"

– Sfera publiczna jest na tyle wyestetyzowana i na tyle tworzy presję, by wpisywać się w obowiązujący kanon, że w zachodniej socjologii używa się już nawet pojęcia „faszyzm cielesny". W przeszłości dziewczyny przeglądały się głównie w męskim spojrzeniu i to je inspirowało do poprawiania urody. Dziś weryfikują swoją atrakcyjność fizyczną raczej w spojrzeniach i komentarzach kobiet spotykanych w sferze prywatnej, publicznej oraz w mediach społecznościowych. Tam zaś coraz mocniej obecne jest zjawisko *body policing*, odzwierciedlające nacisk społeczny lub wręcz przymus wywierany na jednostki, aby ich ciała spełniały określone normy estetyczne – twierdzi prof. Mariola Bieńko.

W efekcie ciągłej presji zabiegom poddają się coraz młodsze osoby. Raport „Polska za filtrem 2025" pokazuje, że wśród badanych, w grupie osób od 18. do 24. roku życia, aż 17 proc. miało wykonany zabieg medycyny estetycznej, a 30 proc. rozważało poddanie się takiej procedurze. – Badania fokusowe, które przeprowadzałam wśród studentów w wieku 21-24 lata, pokazały, że młode kobiety i mężczyźni orientują się doskonale we współczesnym „przemyśle piękna", rozpoznają 20 najbardziej popularnych zabiegów medycyny estetycznej i chirurgii plastycznej – podkreśla prof. Bieńko. – Bez problemu potrafią je nazwać i opisać, bo wiedza ta jest powszechnie dostępna.

Niestety, rzadziej mówi się o fizycznym bólu, który towarzyszy wielu inwazyjnym procedurom, ale też o wysokich kosztach. Niektóre pacjentki zaciągają kredyty lub biorą „chwilówki" na kosztowne zabiegi upiększające, bowiem te dla utrzymania efektów trzeba systematycznie powtarzać. Zostają wiernymi klientkami przemysłu kosmetycznego i stałymi, kompulsywnymi poszukiwaczkami ideału, który wciąż im ucieka.

Wspomniana na początku Agnieszka i tak rozstała się z partnerem. Nie w wyglądzie tkwił problem. Wygasłych uczuć nie da się przywrócić żadnym kształtem ust.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

POŻEGNANIE

Dziękujemy!

Wszystkim, którzy towarzyszyli nam w ostatniej drodze

Ś.† P.

Małgorzaty Fitta

dziękujemy za pamięć i szczodrość w zamawianiu
ofiary Mszy Świętej za Jej duszę.
Dla nas jest to potwierdzenie, że pomimo blisko piętnastoletniego
zamknięcia w chorobie i na szpitalnym łóżku,
pamięć o Jej dobrym życiu przetrwała u tak wielu osób.

RODZINA

Pogoda dla bogaczy

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

REKREACJA | Armatki, fabryki śniegu, hektolitry wody, miliony złotych oraz tysiące megawatów energii – ośrodki narciarskie mobilizują siły na startujący sezon. Za wszystko słono zapłacimy – w karnetach.



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Stok narciarski w Podstolicach niedaleko Krakowa. 6 stycznia 2021 r.

Ten obrazek przedstawiciel narciarskiego kurortu odmalowuje z niejaką dumą, choć dla kogoś innego może być kwintesencją ponurych czasów. – Mamy sporo zdjęć lotniczych z ostatnich zim. Widać białą wysepkę na zielonym oceanie. To białe to nasz kurort – mówi Paweł Nowobilski z ośrodka Kotelnica Białczańska, jednego z największych polskich ośrodków, dysponującego w Białce Tatrzańskiej kilkunastoma wyciągami, które zgodnie z planem mają ruszyć 5 grudnia.

Te „wysepki" to widok coraz częstszy nie tylko z lotu ptaka. W efekcie narciarz, zwłaszcza w średnim bądź starszym wieku, a więc pamiętający srogie zimy, za możliwość jazdy we własnym kraju płaci ciężkim poznawczym dysonansem: pod nartami skrzypi mu biały śnieg, ale naokoło widzi zielone drzewa i gołą ziemię.

Śnieg naturalny jako dodatek

– Co by było, gdyby nie było śnieżenia? – Pawła Nowobilskiego pytam o wizję narciarstwa pozbawionego nagle lanc i armatek śnieżnych.

– Niczego by nie było – odpowiada. – Nie ma możliwości, by jakikolwiek ośrodek utrzymał się w Polsce bez naśnieżania. W Niemczech, które nie były przygotowane na tak gwałtowne ocieplenie, wiele ośrodków albo się zamknęło, albo przekształciło w kurorty letnie.

Na pytanie, ile dni w sezonie wyciągi z Białki mogłyby jeździć na samym tylko, pojawiającym się przecież od czasu do czasu, śniegu naturalnym, Nowobilski odpowiada bez wahania: ani jednego. – Aby można było jechać na ubitym śniegu, musi go napadać 60, 70 centymetrów. To i tak mniej niż wysoko w górach, np. na Kasprowym, gdzie ze względu na kosodrzewinę i kamienie wymagane jest nawet półtora metra. U nas wystarczy te 60 cm, w przeciwnym razie przygotowujący trasę do jazdy ratrak przemieli śnieg z ziemią. Śnieg naturalny jest dzisiaj tylko dodatkiem, estetycznym efektem specjalnym.

Ten sztuczny, dodaje przedstawiciel białczańskiego kurortu, da się produkować dopiero w minusowej temperaturze, optymalnie od minus sześciu. – Swoje robi też wilgotność: im wyższa, tym temperatura do śnieżenia musi być niższa – podkreśla Nowobilski.

Gdy rozmawiamy (druga połowa listopada), białczańskie armatki pracują pełną parą, bo długofalowe prognozy przewidują niskie temperatury – w przeciwnym wypadku nie opłacałoby się w ogóle uruchamiać maszynerii. Efekt ciężkiej pracy obróciłby się w ciągu kilku dni w błoto.

Maszyneria i infrastruktura zaprzęgane do produkcji niewinnie z lotu ptaka wyglądających białych „wysepek" to ekonomiczne monstrum: Kotelnica Białczańska ma dwieście śnieżnych armatek, z których każda (wedle Pawła Nowobilskiego) to koszt ponad stu tysięcy złotych. Do tego dochodzą trzy duże zbiorniki mieszczące 130 tys. metrów sześciennych wody, co przy 24-godzinnym śnieżeniu i tak wystarcza na ledwie dwa–trzy dni.

Podobnym arsenałem chwali się inny znany kurort: Szczyrk Mountain Resort, dysponujący dwudziestoma trasami i jedenastoma wyciągami. Jak podaje portal narty.pl, tamtejszy zbiornik mieszczący sto tysięcy metrów sześciennych wody to odpowiednik czterdziestu olimpijskich basenów – nic dziwnego, skoro musi obsłużyć 230 lanc i śnieżnych armatek, a te rozprowadzić biały puch na kilometry tras.

Osobny rozdział do tej historii narciarskich „zbrojeń" dopisują tzw. fabryki śniegu. Chodzi o kontenery produkujące biały puch niezależnie od temperatury: znajdujące się w nich agregaty tworzą śnieg, który może być transportowany. Taką inwestycją pochwaliła się znana zakopiańska stacja Polana Szymoszkowa. Wkrótce ruszy – kosztem ćwierci miliona euro – pierwszy kontener. Docelowo w pobliżu stoku mają stanąć nawet cztery.

Tydzień za kilkanaście tysięcy

Nie trzeba szczególnej przenikliwości, by odpowiedzieć sobie na pytanie, kto za to wszystko zapłaci. Startujący sezon wita narciarzy cenami dziennych karnetów zwykle od 150 zł wzwyż. Kotelnica Białczańska skasuje dziennie ↦

↦ od dorosłego między 150 a 170 zł, położony w Kotlinie Kłodzkiej Zieleniec Ski Arena to wydatek 160 zł za siedem godzin jazdy, a w małopolskiej Kasinie – 170 zł za pełny dzień.

Owszem, nasze kurorty oferują zniżki, ale cechą specyficznie polską jest ich iluzoryczność. Dziecko zapłaci więc zwykle za dzień jazdy nie połowę ceny, ale ledwie 10-20 zł mniej niż dorosły, a za tygodniowy karnet wydamy w większości miejsc między 600 a 900 zł, też niewiele oszczędzając względem zsumowanych cen dziennych.

To wciąż mniej niż białe szaleństwo w Alpach, gdzie nawet w tańszym wariancie zapłacimy więcej niż tysiąc złotych na tydzień. Ale jeśli cenę przeliczyć na przejechane na nartach kilometry, tańsze okażą się Włochy, a nawet Austria: Polska to mała przestrzeń i kolejki, Alpy to przestronne stoki i w zasadzie nieustanna jazda.

Bilans jest prosty: w Polsce jeździć się opłaca, ale tylko w przypadku krótkich wypadów – choć amatorów weekendowych wyjazdów np. do Włoch też w Polsce nie brakuje. Ostatni być może poważny argument przemawiający jakoby za wyższością rodzimych tras, jaki pozostał właścicielom wyciągów, to dostępność naszych stoków do późnych godzin wieczornych. Rzeczywiście, alpejskie trasy działają przy naturalnym śniegu i w słońcu, ale ma to oczywiste walory: anturaż polskich tras bardzo mocno oddalił się od wszystkiego, co kojarzy się z okołogórskim pejzażem. W oczy świecą nam reflektory, po uszach bije dodatkowa „atrakcja", czyli muzyka z głośników, a sama jazda to często slalom pośród tłumu albo między urządzeniami do naśnieżania.

– Ile polski narciarz płaci za produkcję sztucznego śniegu? – pytam Nowobilskiego.

– Precyzyjnie nie powiem, ale na oko to 55-60 procent ceny karnetu – odpowiada. I nawet jeśli to branżowa przesada, służąca uzasadnieniu horrendalnych cen, łatwo w te obliczenia uwierzyć, gdy spojrzy się na finansowe nakłady ponoszone przez narciarskie kurorty.

Wedle informacji z Białki, samo tygodniowe zużycie prądu do naśnieżania to nawet 1,5 mln zł, sumaryczne zaś wydatki kurortu przed sezonem, zanim jeszcze pierwszy narciarz przyłoży kartę bankomatową do terminala, wyniosą w tym roku do dziesięciu milionów.

Podobnie abstrakcyjne kwoty dotyczą inwestycji największych ośrodków. Portal narty.pl podawał, że Szczyrk Mountain Resort od momentu przejęcia w 2015 r. przez słowackich właścicieli wydał na inwestycje 65 mln euro, czyli około... ćwierć miliarda złotych. Nic więc dziwnego, że kwoty te przeliczają się na ceny naszych narciarskich wakacji: czteroosobowa rodzina (2 plus 2) z ledwie tygodniowego pobytu na nartach w jednym z popularnych ośrodków wróci lżejsza o około dziesięć, a może nawet kilkanaście tysięcy złotych.

Narty pod dachem

W przyszłości może być jeszcze drożej: ocieplenie postępuje, a właściciele wyciągów już lamentują, że sezon, w ramach którego możliwe jest śnieżenie, kurczy się z roku na rok. Tam, gdzie koszty i zyski się nie zbilansują, ośrodki będą się zamykać. O ile dziś progiem narciarstwa opartego na naturalnym puchu jest wysokość 1500 metrów nad poziomem morza, do końca stulecia próg ten ma się przesunąć do 2,5 tys. metrów.

Przyszłość zjazdowego narciarstwa masowego to zatem tłum zjeżdżający za coraz większe pieniądze na coraz mniejszych połaciach polskich – i nie tylko polskich – stoków. Plus fantazje, takie jak ta zapowiedziana nieopodal Wadowic – oto w Babicy jeden z deweloperów pragnie przyćmić, jak donoszą portale, nawet Szanghaj, budując pierwszą, ale od razu największą w świecie krytą narciarską halę. Czy urzeczywistnienie tej fantazji będzie miało cokolwiek wspólnego ze zjeżdżaniem na nartach pośrodku gór, nietrudno zgadnąć.

Ale jeśli ktoś chce, może też szukać plusów – hala pozbawi narciarzy dysonansu w postaci zielonych drzew i gołej ziemi, a pracujący 365 dni w roku wyciąg wykluczy niedogodności w rodzaju zmieniających się pór roku.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

REKLAMA



OLGA

Drenda: *Jak krzyczeć do telewizora*



W ZAPOMNIENIE ODCHODZI POWOLI obyczaj krzyczenia na telewizor. Niebawem stanie się zjawiskiem równie egzotycznym i nieczytelnym jak uchylanie melonika lub noszenie ołówka za uchem. Może też dlatego, że krzyczenie idzie najmocniej w parze z telewizorem kineskopowym. Trochę jak w porzekadle o dziadzie gadającym do obrazu, praktykujący ten zwyczaj wyrzekał na kogoś, kto właśnie pojawił się na ekranie, odpowiadając na jego słowa tak, jakby uczestniczył w wymianie zdań, albo komentując w próżnej nadziei, że „ten kretyn" usłyszy i coś do niego faktycznie dotrze, zupełnie jakby nie był jedynie mirażem wytworzonym przez fale. Daremna uporczywość tego przedsięwzięcia bywała fascynująca, tak jakby ktoś wierzył, że krzycząc dostatecznie donośnie i wymyślając coraz lepsze wyzwiska, w końcu wpłynie na durnia z ekranu.

Oczywiście można powiedzieć, że teraz ludzie krzyczą w internecie. Może i tak, ale to tylko częściowo prawda. Papier może wszystko zniesie, ale jest to medium mniej odruchowe, łatwiej się tam zatrzymać w pół słowa i skasować. Owszem, czasami zdarzało mi się widywać skazane przecież od początku na porażkę próby wyperswadowania sztucznemu kontu, że ktoś wcale nie chce 10 milionów dolarów ani nie chce dowiedzieć się, jak niezawodnie uzyskać zbawienie, tak jakby odpowiedź fikcyjnej postaci miała działać jak najskuteczniejsze



Ten telewizor chyba zniósł wiele krzyków

OLGA DRENDA

„a kysz". Zdarza się także, że ktoś sprytnie odwraca wektor i to on krzyczy do kamery telefonu. Pewien influencer nawet zrobił z tego markę osobistą. Ale może dlatego zwraca uwagę, że po prostu dookoła się ścisza, i cisza albo umiarkowany szum staje się nowym standardem. Albo inaczej: dookoła może być głośno (przez remonty, auta, kosiarki), ale ludzie są cisi, zupełnie jakby wzięli sobie do serca biblijne błogosławieństwo.

Oczywiście ktoś powie: „ale ostatnio w pociągu ktoś się rozgadał przez telefon". To się zdarza, ale rzuca się w uszy właśnie dlatego, że przerywa ciszę. Kilka razy już byłam świadkiem przywoływania gadających w komunikacji miejskiej do porządku. Być może dlatego, że krótka podróż to dla wielu szansa na odsapnięcie, a może i drzemkę.

Ale pojawiło się też inne kryterium, bardziej niepokojące, bo wskazujące na napięcia związane z pochodzeniem. Dla niektórych utrzymywanie ciszy w miejscach publicznych stało się testem na polskość; zasłyszałam już kilka razy, gdzieś czekając czy idąc, że nowe obyczaje dźwiękowe, takie jak głośne gadanie czy oglądanie filmów z telefonu bez słuchawek, znamionują nie-Polaka; nie wiem, czy to w ogóle zgodne z faktami, ale taki wybrzmiał sentyment. Ludzie są skłonni do dzielenia się i krytykowania pod tym względem niejako z zasady (polecam książkę Marty Michalskiej o dźwiękach dawnej Warszawy i o tym, kto nie lubił włoskich kataryniarzy), a skoro pojawił się nowy powód, to zapewne będą robić to jeszcze chętniej.

Wiesław Myśliwski pisał niegdyś, że telewizor stał się zabójcą domowej gawędy, zmieniając mieszkańców polskiej wsi z opowiadaczy w biernych słuchaczy. Być może mamy do czynienia z kolejnym rozdziałem tej opowieści. Perorowanie i krzyczenie w powietrze mogło znaczyć, że komuś wykipiał monolog wewnętrzny i zaczął żyć poza kontrolą własnym życiem, nie bacząc na publiczność lub jej brak. Była to charakterystyczna odmiana teatru przypadkowego lub nieobecnego widza, na pewno świadcząca o jakiejś palącej potrzebie, by nie rozmawiać, ale mówić – i może słyszeć siebie samego. Czy powszechne ucichnięcie, a zarazem wszechobecność dostępnych od ręki źródeł nieustannej nawijki oznacza, że monolog wewnętrzny jako zjawisko wygasa, a my wolimy słuchać jednym uchem, gdy ktoś wyręcza nas w mówieniu?

Niestety nie mogę poświadczyć przykładem własnym; moje myśli nie objawiają się jako mowa i jeśli mam jakiś wewnętrzny monolog, jedyne, co robi, to podśpiewywanie starych piosenek zespołu Big Cyc. Kto wie, może nie jestem jedyna i w wielu głowach zamiast znajomo gderającego głosu rozlega się teraz jakieś granie na czekanie. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

TYGODNIK POWSZECHNY



Przedsprzedaż
wydania specjalnego

SENS &SMAK

zamów do **2 grudnia**
z darmową wysyłką.

sprawdź na:
sklep.TygodnikPowszechny.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj Tygodnik Powszechny



fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem.
I o nią głównie staramy się dbać. Naszą marką jest suwerenność:
sami odpowiadamy za publikowane tu treści i nikt poza
Wami, Czytelnikami, nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki



Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.

Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.

Tylko w **listopadzie** do prenumeraty rocznej:

- Firmowa **torba** w **PREZENCIE***
- **Rabat** – nawet **4 zł TANIEJ** za numer niż w kiosku
- **Dostęp** do serwisu internetowego **GRATIS** na czas prenumeraty**

ZAMÓW LUB PRZEDŁUŻ PRENUMERATĘ TYGODNIKA POWSZECHNEGO W NIŻSZEJ CENIE

InPost	Roczna	~~cena 686 zł~~ **nowa cena 616 zł** z kodem: **10lis25** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 366 zł~~ **nowa cena 346 zł** z kodem: **5lis25** --> **5% zniżki**
Poczta	Roczna	~~cena 687 zł~~ **nowa cena 617 zł** z kodem: **10lis25p** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 367 zł~~ **nowa cena 347 zł** z kodem: **5lis25p** --> **5% zniżki**

prenumerata.tygodnikpowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

SKORZYSTAJ, NAWET JEŚLI PRENUMERATA WYGASA W STYCZNIU 2026 r.

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075
(w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty:
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl

**Torbę wyślemy najpóźniej do 15 grudnia.*

***ABY GO AKTYWOWAĆ:*

- *Zamów i opłać prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Jeśli nie masz konta, załóż je w serwisie internetowym „Tygodnika Powszechnego”.*
- *Z adresu e-mail przypisanego do konta wyślij wiadomość na* ***bok@tygodnikpowszechny.pl*** *z tematem: „Dostęp do serwisu TP w prezencie”, a w treści podaj adres pocztowy, na który zamówiono i opłacono prenumeratę.*

Po spełnieniu powyższych warunków dostęp zostanie przyznany w ciągu 14 dni.

Razem tworzymy Tygodnik

OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY



ŚWIAT

POSTRACH NAJBOGATSZYCH

Francja ma nie tylko wielkie kłopoty budżetowe.
Ma też najwięcej milionerów w całej Europie.
Trzymają się mocno, choć właśnie zawisł nad nimi cień gilotyny.
Czy raczej gilotynki – podatkowej.

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA



OLIVIA BONNAMOUR / AFP / EAST NEWS

Większość Francuzów opowiada się za „podatkiem Zucmana". Na zdjęciu: jeden z protestów, które odbywały się 18 września 2025 r. w całym kraju przeciw planowanym cięciom w wydatkach publicznych.

Jego nazwisko nie schodzi w tym sezonie z czołówek francuskich mediów. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy przyćmił nad Sekwaną polityków, łącznie z prezydentem Macronem, a nawet gwiazdy show-biznesu. 39-latek w skromnym sweterku i z chłopięcą fizjonomią zawojował i telewizyjne studia, i media społecznościowe.

Niech nas nie zmyli jego łagodny uśmiech i spokój. Ekonomista Gabriel Zucman – bo o nim mowa – stał się postrachem dla najbogatszych ludzi we Francji. Jego propozycja, aby obłożyć ich nowym podatkiem, określanym powszechnie jako „podatek Zucmana", zyskała mu sympatię większości Francuzów.

Dlaczego taki pomysł pojawia się teraz? Skąd tak duże dla niego poparcie? I co to mówi o dzisiejszej Francji?

Szarża miliardera

76-letni Bernard Arnault mógłby być ojcem Zucmana, ale na pewno nie duchowym. Jeden z najbogatszych ludzi na świecie – jego majątek szacuje się na 187 mld dolarów – jest właścicielem i prezesem koncernu LVMH, uważanego za imperium luksusu; należą do niego m.in. takie marki, jak Louis Vitton i Dior.

Niedawno w oświadczeniu dla brytyjskiej gazety „Sunday Times" miliarder zechciał bowiem określić Zucmana mianem „aktywisty skrajnej lewicy" i „pseudonaukowca", który swoim pomysłem chce „powalić na ziemię francuską gospodarkę".

Wygląda jednak na to, że brawurowa szarża miliardera przyniosła skutek przeciwny do zamierzonego – i wzmocniła pozycję Zucmana. Czy Arnaultowi puściły nerwy, skoro zaliczył do grona ekstremistów profesora prestiżowej paryskiej École normale supérieure, a wcześniej wykładowcę Uniwersytetu w Berkeley? W dodatku ucznia Thomasa Piketty'ego, znanego badacza nierówności, przez zwolenników i krytyków traktowanego jako zawodnik wagi ciężkiej wśród francuskich ekonomistów.

Rzecz jasna, Zucmanowi bliżej jest do lewicy – sam przyznaje, że swego czasu doradzał Berniemu Sandersowi, byłemu pretendentowi do prezydentury USA z ramienia Partii Demokratycznej. Nie zmienia to jednak faktu, że jego projekt podatku dla najbogatszych popiera, według różnych sondaży, od dwóch trzecich do nawet ponad czterech piątych Francuzów.

Vox populi przemówił – i nie jest to powód do radości dla miliarderów.

Dwa procent, czyli 20 miliardów

Pomysł Zucmana przewiduje, że podatnicy – mowa bowiem jest o osobach fizycznych, nie o firmach – posiadający majątek o wartości powyżej 100 mln euro, musieliby płacić łączny podatek w minimalnej wysokości 2 procent od całej swojej fortuny (licząc w tym również wartość ich udziałów w firmach).

Jeśli więc kwota podatków, które dana osoba płaci z tytułu innych zobowiązań (np. podatku dochodowego), byłaby niższa niż 2 procent wartości jej majątku, to musiałaby dopłacić różnicę – tak, aby osiągnąć wspomniany pułap.

Szacuje się, że nowy podatek objąłby ok. 1,8 tys. najbogatszych Francuzów. Nie było dotąd nad Sekwaną tak radykalnego pomysłu na uderzenie ich po kieszeni. Gabriel Zucman uzasadnia zaś swój pomysł tak, że nowy podatek mógłby zasilić corocznie kasę państwową kwotą ok. 20 mld euro.

Zważywszy na stan finansów publicznych, jest to suma niebagatelna.

Kwestia sprawiedliwości?

Dlaczego debata nad opodatkowaniem najzamożniejszych rozgorzała we Francji właśnie teraz?

Po pierwsze, chodzi o zapełnienie pustej kasy państwowej. W parlamencie toczy się w tych dniach burzliwa debata nad ustawą budżetową na rok 2026. Sytuacja finansów jest alarmująca: francuski dług publiczny wynosi już ok. 115 proc. PKB, a deficyt budżetowy ponad 5 proc. PKB. Wpływy z podatku dla najbogatszych miałyby pomóc w zatkaniu dziury budżetowej w przyszłym roku. Przynajmniej częściowo.

Drugi, głębszy powód popularności idei Zucmana sprowadza się do hasła: sprawiedliwość podatkowa. W minionych dekadach na całym świecie lawinowo rosły największe fortuny, a Francja wydaje się tu przypadkiem szczególnie jaskrawym.

Według wyliczeń magazynu ekonomicznego „Challenges", w ciągu ostatnich 30 lat łączna wartość majątku pięciuset najbogatszych Francuzów urosła z równowartości 6 proc. PKB do równowartości aż 40 proc. PKB.

Jednocześnie – jak wylicza Zucman i jego ekipa – francuscy miliarderzy płacą w praktyce proporcjonalnie dwa razy mniej podatków niż przeciętni Francuzi. Średnio mieszkańcy Francji oddają fiskusowi prawie połowę swoich dochodów (licząc wraz ze wszystkimi składkami na ubezpieczenie społeczne i medyczne), a miliarderzy, według szacunków Zucmana, tylko ok. 25 procent. ↦

O sztuce unikania podatków

↦ Jak to w ogóle możliwe? Przecież Francuzi, według danych Eurostatu, płacą – obok Duńczyków i Belgów – najwięcej podatków w krajach Unii (łącznie ze wszystkimi składkami społecznymi).

Rzecz w tym, że najbogatsi Francuzi stosują masowo coś, co doradcy finansowi nazywają optymalizacją podatkową. Ujmując to prościej: chodzi o sztukę płacenia jak najniższych podatków, bez wchodzenia w kolizję z prawem.

Najbardziej znanym sposobem jest migracja majątków multimilionerów, a także ich firm, do „rajów" podatkowych. W przypadku Francji mieszczą się one zresztą tuż za miedzą: w Luksemburgu albo w Belgii (gdzie np. zarejestrował część swoich przedsiębiorstw wspomniany Bernard Arnault).

Według dziennika „Le Monde" inną popularną metodą „optymalizacji" jest transfer osobistych majątków do rodzinnych holdingów, które nie podlegają podatkowi od dochodów osobistych. Tak właśnie robi wielu francuskich multimilionerów – pozwalają im na to luki w prawie.

Francja liderem Europy

Obserwatorzy są zgodni, że sytuacja najbogatszych poprawiła się po tym, jak w 2017 r. urząd prezydenta objął Emmanuel Macron.

– Od początku jego pierwszej kadencji Macron prowadził politykę podatkową bardzo korzystną dla zamożnych. Między innymi zniósł obowiązujący wcześniej podatek dla najbogatszych, tzw. ISF [dosłownie: podatek solidarnościowy od fortun – red.]. Wprowadził też podatek liniowy od inwestycji finansowych – mówi „Tygodnikowi" Damien Pelé, dziennikarz ekonomiczny. Odpowiada on za coroczny „ranking 500" magazynu „Challenges", czyli zestawienie najbogatszych francuskich rodzin.

Pelé twierdzi, że to w dużej mierze dzięki prezentom fiskalnym Macrona dla zamożnych Francja jest dziś – trzeci rok z rzędu – liderem Europy pod względem liczby milionerów (przed Wielką Brytanią i Niemcami). Żyje tu 2,9 mln osób, których wartość majątku przekracza milion euro. Natomiast tych, których wartość majątku przekracza miliard, jest dokładnie 145.

Mijający rok był raczej zły dla czołówki francuskich miliarderów, specjalizujących się w artykułach luksusowych. Pięćset największych fortun zanotowało w ostatnim roku 100 mld euro straty.

– Na spadek obrotów francuskich imperiów luksusu fatalnie wpłynęła podwyżka ceł na towary europejskie forsowana przez Trumpa, bo Amerykanie byli dotąd ich głównymi klientami. Do tego doszedł słabszy wzrost gospodarczy na azjatyckich rynkach zbytu, zwłaszcza w Chinach, widoczny już od pandemii – ocenia Pelé.

Francuskie dynastie

Gdyby spojrzeć na pierwszą dziesiątkę najbogatszych francuskich rodzin – w zestawieniu magazynu „Challenges" – to widać, że dominują w niej spadkobiercy zamożnych „dynastii". Rodziny Dumas

Chińska draka w Paryżu

Zamiast wielkiego święta był wielki skandal. A nawet dwa skandale. Na początku listopada chiński gigant sprzedaży internetowej, koncern Shein, otworzył pierwszy na świecie swój stacjonarny butik – i to od razu w paryskim domu towarowym Bazar de l'Hotel de Ville (BHV). Inaugurację zakłócili manifestanci, którzy protestowali przeciw chińskiej platformie. Zarzucali jej wytwarzanie „śmieciowej" odzieży i łamanie praw pracowniczych.



BASTIEN OHIER / HANS LUCAS / AFP / EAST NEWS

Otwarciu pierwszego na świecie stacjonarnego butiku koncernu Shein towarzyszyła atmosfera skandalu. Na zdjęciu: protest przed domem towarowym BHV w Paryżu, 5 listopada 2025 r.

ELEGANCKI GMACH domu towarowego BHV, położony w samym sercu Paryża, istnieje już od ponad 150 lat. – To wstyd dla wizerunku BHV, gdzie często robiłam zakupy – komentuje Maeva, 30-letnia paryżanka. – Ciuchy od koncernu Shein to już nie *fast fashion*, ale *ultra fast fashion*, katastrofa dla środowiska.

Maeva zarzeka się, że jej noga nie postanie w tym domu towarowym dopóty, dopóki Shein będzie mieć w nim swój sklep.

TO NIE KONIEC skandalu. Tuż przed listopadowym otwarciem butiku w Paryżu odkryto, że na platformie Shein sprzedawano bez ograniczeń laleczki erotyczne o dziecięcym wyglądzie, a także broń palną. Francuska prokuratura wszczęła śledztwo przeciw platformie internetowej. Przy tej okazji wyszło na jaw, że wiele innych platform handlu internetowego prowadzi sprzedaż gadżetów o charakterze pedofilskim.

PARYSKA AFERA ma swoje konsekwencje: prestiżowe francuskie marki, jak Dior czy Guerlain, zdecydowały się opuścić dom towarowy BHV. Z kolei koncern Shein ogłosił, że na razie odkłada planowane także na listopad otwarcie swoich butików w innych francuskich miastach.

Według dziennika „Les Echos" Francja jest największym rynkiem zbytu koncernu Shein w Europie – odzież tej firmy kupiło już 25 mln Francuzów. Paryż więc protestuje, a francuska prowincja kupuje. Bardzo niskie ceny, które oferują Shein czy Temu, kolejny chiński koncern handlowy, spychają na bok troskę o środowisko czy o warunki pracy w Chinach.

JUŻ WKRÓTCE jednak „chińszczyzna" nie będzie dla Europejczyków tak tania. Komisja Europejska chce przyspieszyć o dwa lata wprowadzenie ceł na tzw. małe paczki spoza Unii Europejskiej. Cła mają obowiązywać już od 2026 r. Uderzy to w dużej mierze w Shein, Temu i inne ekspansywne chińskie platformy handlowe.

© SZYMON ŁUCYK

(właścicielka marki Hermès), Wertheimer (marka Chanel), Bettencourt (marka L'Oréal) czy Dassault (przemysł lotniczy i zbrojeniowy) gromadziły majątek przez wiele pokoleń.

Do grona tego dochodzą także ci, którzy zdobyli fortunę na przestrzeni ostatnich dekad. Wśród self made manów wyróżnia się Bernard Arnault, który w tym roku zajmuje siódme miejsce na liście najbogatszych ludzi na świecie (jako jedyny nie-Amerykanin w tym zestawieniu).

Według „Forbesa" na początku 2024 r. Arnault był przez chwilę najzamożniejszym człowiekiem globu, przed Elonem Muskiem i Jeffem Bezosem. Także najbogatszą kobietą na świecie była – przez kilka lat – Francuzka Françoise Bettencourt Meyers, szefowa L'Oréal (dziś na drugiej pozycji w światowej stawce kobiet).

Błyskotliwą karierę, wychodząc z ubogich paryskich przedmieść, zrobił obecny rekin branży telekomunikacyjnej Xavier Niel. Kilka lat temu nabył on od ówczesnych właścicieli z Kataru słynną paryską rezydencję Hôtel Lambert (dawną siedzibę Czartoryskich i ośrodek polskiej Wielkiej Emigracji w XIX w.).

Wprawdzie Niel sam dorobił się majątku, ale w umocnieniu pozycji finansowej pomogło mu związanie się z Delphine Arnault, córką właściciela LVMH i szefową Diora.

Podobnie jak w czasach XIX-wiecznego pisarza Honoriusza Balzaka, liczy się smykałka do operacji giełdowych i doza szczęścia. Ale w akumulacji kapitału pomaga też znalezienie zamożnego partnera czy partnerki. O czym dobrze wiedzą (nie tylko) francuscy miliarderzy.

Wpływowi w rządzie i mediach

W dobie kryzysu duże fortuny wywołują często gniew lub zawiść. Jak się nie oburzać, że np. w niedawnym rządzie premiera François Bayrou, liczącym 36 ministrów, ponad połowa jego członków była milionerami? Brzmi to jak afront dla Francuzów, uczonych od kołyski rewolucyjnej dewizy „wolność, równość, braterstwo".

Inny zarzut formułowany wobec multimilionerów to próba ich zapanowania nad prywatnymi mediami. Największym magnatem medialnym jest dziś 73-letni Vincent Bolloré, właściciel telewizji informacyjnej Cnews, wielu gazet i wydawnictw. Miliarder (wartość majątku wg „Forbesa": ok. 10 mld dolarów) i katolik o konserwatywnych poglądach otwarcie wspiera – za pośrednictwem swoich mediów – nacjonalistyczną prawicę po wodzą Marine Le Pen.



GEOFFROY VAN DER HASSELT / AFP / EAST NEWS

BERNARD ARNAULT: *miliarder i przedsiębiorca*



JOEL SAGET / AFP / EAST NEWS

GABRIEL ZUCMAN: *„francuski Janosik"*

Na rynku mediów rywalizuje z nim wspomniany Arnault, a także libańsko-francuski biznesmen Rodolphe Saadé (wartość majątku: ok. 8 mld dolarów).

Zawrotne dochody budzą czasem sarkastyczne reakcje. Tak lewicowy „Liberation" komentował rekordową zwyżkę akcji LVMH w ciągu jednej doby: „Spędziliście dobrą środę? Bernard Arnault także: zgarnął 16 miliardów euro w jeden dzień".

Wizerunek „próżniaków"

Krótko mówiąc: we Francji mało kto lubi najbogatszych. – Powszechna jest u nas opinia, że jeśli ktoś zgromadził ogromny majątek, to znaczy, że na kimś pasożytuje lub kogoś okradł. Inaczej niż w USA, we Francji nie jest to traktowane jako oznaka życiowego powodzenia – mówi Pelé.

Dynastie francuskich miliarderów żyją w swoim ekskluzywnym kręgu. Mają swoje zamknięte kluby, wysyłają dzieci do prestiżowych prywatnych szkół, dbają, by unikać mezaliansów, czyli małżeństw z niższymi klasami. Co więcej, część tych elit kultywuje do dziś, choć bez rozgłosu, tradycyjne rozrywki arystokracji – jak uroczyste polowania z nagonką w lasach koło Paryża (np. w Fontainebleau czy Compiègne).

Do złej reputacji bogaczy przyczynia się pewnie również katolicka tradycja Francji – nawet jeśli dziś mocno zlaicyzowanej. Nigdy nie zadomowiła się tutaj etyka protestancka z jej uznaniem dla finansowego sukcesu.

Do tutejszych bogaczy przylgnęła etykietka rentierów. Nie bez powodu. Według danych magazynu „Challenges", 44 proc. najbogatszych Francuzów odziedziczyło swój majątek. Z drugiej jednak strony, ponad połowa z „pięćsetki" najbogatszych to przedsiębiorcy, którzy nie dostali sowitego spadku.

Obraz bogatych próżniaków jest zatem w znacznej mierze karykaturalny. Kontrprzykładem może być polsko-francuski przemysłowiec i bankier, założyciel Alior Banku w Polsce, Romain Zaleski (w 2016 r. w czołówce fortun nad Sekwaną, dziś poza pierwszą „pięćsetką"). Znany ze skromności i unikania blichtru, Zaleski przez lata wspierał hojnie paryską Bibliotekę Polską, polskie muzea i młodych artystów.

Sława „francuskiego Janosika"

Wracając do gorącej debaty nad „podatkiem Zucmana": ekonomiści zgadzają się na ogół, że tutejsi multimilionerzy płacą za mało, ale są podzieleni w ocenie projektu Zucmana. Opowiada się za nim kilku noblistów, jak Joseph Stiglitz. Inni, w tym tegoroczny francuski laureat Nobla Philippe Aghion, uznają go za zbyt radykalny: według nich taki podatek uderzyłby nie tylko w najbogatszych, ale również w ich przedsiębiorstwa.

– Niektórzy właściciele nowych francuskich firm, np. innowacyjnych start-upów, mają wprawdzie na starcie duży kapitał, ale nie osiągnęli jeszcze dużych zysków, dywidend. W związku z tym, aby zapłacić taki podatek, musieliby sprzedać część akcji swoich firm. To szkodziłoby gospodarce – uważa Damien Pelé.

Inni argumentują, że taka „gilotynka" podatkowa skutkowałałaby eksodusem superbogaczy do rajów podatkowych.

Parlament dwukrotnie odrzucił już w tym roku „podatek Zucmana", mimo poparcia go przez całą lewicę (ostatni raz w trakcie debaty budżetowej w październiku). Jednak także za sprawą 39-latka w swetrze we Francji słychać coraz głośniej, że unikanie płacenia podatków przez najbogatszych to skandal.

Nazwisko Gabriela Zucmana – francuskiego Janosika czy też, jak kto woli, Robin Hooda – pewnie jeszcze usłyszymy.

© SZYMON ŁUCYK

Kto sprzedaje suszone mango

MARIA WIŚNIEWSKA

TAJWAN | Serial „Zero Day Attack" opowiada o tym, jak Tajwańczycy wyobrażają sobie chińską inwazję. Oraz ujawnia polaryzację w tajwańskiej polityce – równie głęboką jak polaryzacja w Polsce.

Jest wiosenny dzień nieokreślonego roku. Na Tajwanie właśnie zakończyły się wybory prezydenckie. Zmiana władzy, zawsze pełna niepewności, to – w połączeniu z korzystnymi prądami morskimi – moment sprzyjający militarnym zapędom Pekinu.

I tak się dzieje. Oto nagle chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza ogłasza, że z jej radarów zniknął samolot lecący nad Morzem Południowochińskim, w pobliżu Tajwanu. Pod pretekstem akcji ratunkowej Pekin zaczyna blokadę wyspy. Tajwańczycy szybko orientują się, że to wojna.

SCENARIUSZ ATAKU | Inwazji militarnej towarzyszy inwazja informacyjna. W mediach społecznościowych pojawiają się fake newsy: o ucieczce tajwańskiego prezydenta, poddającej się armii i postępach najeźdźców (według Pekinu: wyzwolicieli). Popularna influencerka apeluje, by „nie walczyć przeciw braciom" i przekonuje, że opór jest daremny. Telewizyjne orędzie prezydenta Tajwanu zostaje zhakowane, zamiast niego na ekranach pojawia się pekińska prezenterka nawołująca do współpracy z chińskimi żołnierzami.

Wkrótce gaśnie prąd, przestaje działać internet, zamykają się banki. Półki sklepowe pustoszeją, handel międzynarodowy w Cieśninie Tajwańskiej zamiera. W dół lecą notowania tajwańskich firm produkujących półprzewodniki. Bez nich globalne łańcuchy dostaw zaczynają drżeć w posadach.

W chaosie budzi się „piąta kolumna". Miejscowe gangi, od lat po cichu wspierane przez Pekin, wypuszczają z więzień kolaborantów, przejmują kontrolę nad strategicznymi drogami. Śpiewając „Międzynarodówkę", wieszają transparenty z hasłami wyjętymi z propagandowego repertuaru Pekinu o „pokoju między dwiema stronami Cieśniny" i „odrodzeniu Chin".

RODZAJ DOKUMENTU | To się nie wydarzyło, jeszcze nie. Na razie to tylko scenariusz tajwańskiego serialu „Zero Day Attack", który w dziesięciu odcinkach pokazuje, jak może wyglądać chiński atak na Tajwan.

Jednak, zdaniem jego twórców, nie jest on już tak całkiem fikcyjny – zważywszy na to, jak Chiny, od czasu rozpoczęcia przez Rosję inwazji przeciw Ukrainie, coraz śmielej manewrują wokół wyspy. „Ktoś może myśleć, że to fantazja, ale tak naprawdę to jest już rodzaj dokumentu" – przekonywała Cheng Hsin-mei, producentka serialu.

Serial szybko zyskał popularność wśród tajwańskiej publiczności, bijąc rekordy na serwisach streamingowych. Wynika to po części ze świeżości ujęcia: choć Tajwańczycy od dekad żyją w cieniu potężnego chińskiego agresora, to aż do tej pory temat ten – chińska inwazja na Tajwan – nie był zbyt chętnie podejmowany w popkulturze.

Tabu, teraz przełamane, wynikało w dużej mierze z atrakcyjności chińskiego rynku (1,4 mld ludzi), w tym rynku filmowego, który oferuje większe pieniądze i rozpoznawalność niż rynek tajwański (24 mln odbiorców). Wielu tajwańskich aktorów i reżyserów nie chce ryzykować odcięcia od takich zasobów.

POLARYZACJA | Na reakcję Pekinu nie trzeba było zresztą długo czekać. Choć chińska armia sama regularnie publikuje materiały propagandowe symulujące blokadę wyspy, to teraz uznała, że tajwański serial powstał, by „siać niepokój" i „pchnąć Tajwańczyków w płomienie wojny".

Warto tu przypomnieć, że Pekin od dekad mówi otwarcie o dążeniu do „ponownego zjednoczenia Tajwanu z macierzą" (w rzeczywistości komunistyczne Chiny nigdy nie sprawowały władzy nad wyspą) i wielokrotnie groził, że nie wyklucza użycia w tym celu siły.

Ale i na samej wyspie serial odsłonił na nowo głębokie pęknięcie w tutejszej polityce: między rządzącą Demokratyczną Partią Postępu (DPP) a opozycyjną Partią Narodową, Kuomintangiem (KMT). Podobnie jak w Polsce, społeczeństwo Tajwanu jest mocno spolaryzowane politycznie, a osią podziału jest tutaj stosunek do Chin Ludowych.

Kuomintang, który pod wodzą Czang Kaj-szeka w 1949 r. – po przegranej wojnie domowej z komunistami – ewakuował się z Chin na wyspę, nadal czuje duże przywiązanie do kontynentu, a w swoim programie podkreśla wspólne pochodzenie i dziedzictwo kulturowe Chińczyków oraz Tajwańczyków.

Choć Kuomintang nie kwestionuje obecnej faktycznej suwerenności Tajwanu, to uważa, że aby uniknąć wojny z Pekinem, należy rozwijać więzi gospodarcze, polityczne i ludzkie między dwoma brzegami Cieśniny. Te zaś – jak wytykają politycy Kuomintangu swoim oponentom – słabną od 2016 r., odkąd urząd głowy państwa sprawują niezmiennie politycy Demokratycznej Partii Postępu.

PRZYGOTOWANIA | Nie dziwi więc, że także w sprawie serialu „Zero Day Attack" Kuomintang wytoczył tradycyjne działa, oskarżając jego twórców o „sprzedawanie suszonego mango". W tajwańskim slangu oznacza to wywoływanie sztucznego lęku przed zagładą kraju.

Kuomintang zarzucił też DPP, jakoby finansowała swoją kampanię z publicznych pieniędzy, gdyż – faktycznie – dotacje rządowe pokryły ponad 40 proc. budżetu filmu (obrońcy produkcji argumentują, że to normalny sposób finansowania kinematografii). Zdaniem polityków Kuomintangu bardziej sensowne byłoby przeznaczenie tych funduszy na wzmacnianie relacji chińsko-tajwańskich.

Serial istotnie odwzorowuje myślenie Demokratycznej Partii Postępu, w któ-



MATERIAŁY PRASOWE

Tajwańscy ochotnicy stawiają opór chińskim agresorom; kadr z serialu „Zero Day Attack”.

rej „politycznym DNA” zakodowana jest odrębna tajwańska tożsamość i sprzeciw wobec autorytaryzmu. Politycy DPP uważają też, że wojna nie jest abstrakcyjnym zagrożeniem, lecz realną perspektywą, na którą trzeba się przygotować, a nie chować głowę w piasek. „Tylko przygotowując się do wojny, unikniemy jej” – powtarza administracja prezydenta Laia Ching-te (Pekin określa go mianem „mąciciela”).

Przygotowania takie istotnie przyspieszyły po 2016 r., gdy urząd prezydenta objęła Tsai Ing-wen, poprzedniczka i koleżanka partyjna Laia. Za jej kadencji zaczęto reformę armii i rozbudowę obrony cywilnej. Przywrócono też roczną obowiązkową służbę wojskową dla młodych mężczyzn (wcześniej Kuomintang skrócił ją do czterech miesięcy).

Prezydent Lai, który urzęduje od 2024 r., zdecydował też o podniesieniu wydatków obronnych do 3 proc. PKB w 2026 r. oraz docelowo do 5 proc. PKB w 2030 r.

CZY CHINY UDERZĄ? | Serial „Zero Day Attack” stawia na porządku dziennym pytanie, które od lat wisi nad wyspą i nurtuje jej obserwatorów: na ile prawdopodobny jest chiński atak na Tajwan? Według amerykańskiego wywiadu prezydent ChRL, Xi Jinping, nakazał swej armii osiągnąć gotowość do takiego ataku do 2027 r. Ale to nie znaczy, że istotnie chce go wtedy przeprowadzić.

Im bliżej tej daty, tym więcej ekspertów ma wątpliwości: czy Pekin jest gotów przestawić się na logikę wojenną w chwili, gdy w kraju mnożą się problemy gospodarcze? Czy chce wzniecać konflikt, do którego mogą włączyć się USA?

Według sondażu, który w 2024 r. przeprowadził amerykański think tank CSIS, jedynie 6 proc. analityków z USA i 15 proc. analityków z Tajwanu sądzi, że w ciągu najbliższych pięciu lat dojdzie do inwazji (przewidywania dotyczące blokady wyspy lub innych form przymusu były już mniej optymistyczne). Spokojni na razie są też mieszkańcy Tajwanu: z sondażu prowadzonego w maju 2025 r. wynika, że 65 proc. uważa taki scenariusz za mało realny.

Nie zmienia to faktu, że Chiny zbroją się na potęgę, i że w ostatnich latach nasiliły działania w „szarej strefie”: agresywne patrole w pobliżu wyspy, cyberataki, kampanie dezinformacyjne. Część tajwańskich ekspertów i urzędników uważa wręcz, że „miękka inwazja” już trwa, a Pekin próbuje wpływać na nastroje tak, aby Tajwańczycy w końcu sami wybrali kiedyś zjednoczenie z ChRL.

JEDEN NA STU | Na razie są to nadzieje płonne: zjednoczenia z Chinami chciałby dziś jeden na stu Tajwańczyków. Odstraszająco działa przykład Hongkongu: po tym, jak Wielka Brytania oddała go Pekinowi, został pozbawiony autonomii – mimo że gwarantowała ją umowa międzynarodowa.

Rośnie za to odsetek Tajwańczyków, którzy chcą utrzymania stanu obecnego, czyli faktycznej niepodległości, ale bez formalnego jej ogłaszania (po 1949 r. Tajwan nigdy nie zrobił tego kroku). Większość nie widzi potrzeby proklamowania niepodległości, co mogłoby sprowokować atak Chin, skoro wyspa i tak jest *de facto* suwerenna. Problem w tym, że taki stan rzeczy coraz bardziej uwiera Pekin.

Pytanie o potencjalny atak nabrało za to pilności w ostatnich miesiącach, bo rządowi oficjele wiedzą, że Tajwan sam się nie obroni. Jego bezpieczeństwo opiera się na wsparciu USA. Tymczasem po powrocie Donalda Trumpa do Białego Domu ten fundament staje się coraz mniej przewidywalny.

ROZJAZD WARTOŚCI | Wprawdzie Waszyngton już wcześniej stosował wobec Tajwanu politykę tzw. strategicznej niejednoznaczności: unikał jasnych deklaracji, czy w razie ataku przyjdzie z pomocą, by trzymać Pekin w niepewności. Jednak Trump wywindował tę niejednoznaczność do skrajności – wahając się między stwierdzeniami sugerującymi porzucenie Tajwanu a buńczucznymi deklaracjami pod adresem Chin. W tym groźbą zbombardowania Pekinu w razie inwazji.

Zdaniem prof. Yen Chen-Shena, politologa z Narodowego Uniwersytetu Nauk Politycznych w Tajpej, Trump tworzy grunt pod to, by Stany nie interweniowały. – Najpierw powiedział, że Tajwan jest zbyt daleko od USA. Potem stwierdził, że Tajwan nie wydaje wystarczająco dużo na własną obronę. Wreszcie oskarżył Tajpej o kradzież amerykańskiego przemysłu półprzewodników – wylicza Yen w rozmowie z „Tygodnikiem”.

Yen Chen-Shen uważa, że największym problemem w relacjach między Tajwanem a Ameryką Trumpa jest to, co nazywa „głębokim rozjazdem wartości”. Tych wartości, które za prezydentury Joego Bidena były fundamentem porozumienia między USA a Tajwanem – jak demokracja, wolność, prawa człowieka, wielokulturowość, troska o środowisko.

– Gdy do władzy wrócił Trump, wszystkie te wspólne wartości po prostu zniknęły – ocenia Yen.

W serialu Tajwańczycy stają do heroicznej obrony swojej wyspy. Jak kończy się ta historia, tego nie zdradzimy – być może ktoś zechce ją obejrzeć. ©

Mała ważna wyspa

PATRYCJA BUKALSKA

ISLANDIA | Choć należą do krajów-założycieli NATO, nie mają własnej armii. Chwiejący się światowy ład może jednak zmusić pacyfistycznych Islandczyków do zmiany nastawienia.

Byk strzeże Islandii od północnego zachodu. Orzeł, nazywany też czasem gryfem, od północnego wschodu. Z kolei smok broni wyspy na południowym wschodzie, a olbrzym na południowym zachodzie. To legendarne duchy opiekuńcze niewielkiej wyspy, o powierzchni jednej trzeciej Polski, położonej na północnym Atlantyku. Duchy są opisane w dawnych sagach, widnieją w godle państwa.

Natomiast tu i teraz Islandia może liczyć tylko na 250-osobową Straż Wybrzeża. Oraz, a raczej zwłaszcza, na militarną pomoc sojuszników w razie czego. Jak dotąd to wystarczało.

WŁASNA ARMIA? | Jest ich dwóch. Arnór Sigurjónsson i Daði Freyr Ólafsson zainicjowali ruch Varðmenn Íslands, co można przetłumaczyć jako Strażnicy Islandii. Chcą skłonić rodaków, by pilniej przyjrzeli się kwestiom bezpieczeństwa. Uważają, że kraj powinien wreszcie powołać własną armię. Ich zdaniem powinna liczyć 2 tys. czynnych żołnierzy.

Nie przyjmują argumentu, że Islandia, z populacją ledwie przekraczającą 400 tys. obywateli, jest na to za mała. Argumentują, że Luksemburg i Malta, niewiele większe, mają swoje armie. Uważają też, że kraj stać na to, by wydawał na obronność więcej niż obecne 0,23 proc. PKB (najmniej w Europie).

Podobnego zdania jest Bjarni Már Magnússon, profesor Wydziału Prawa islandzkiego Uniwersytetu Bifröst. W licznych artykułach prasowych wskazuje na zmieniający się porządek świata, w tym mniejsze zaangażowanie USA w Europie i konieczność wzięcia przez Islandię większej odpowiedzialności za własne bezpieczeństwo.

Magnusson przekonuje także, że należy utworzyć armię, a nawet rozważyć wprowadzenie poboru na wzór innych krajów nordyckich. Oraz utworzyć wyspecjalizowaną agencję, która broniłaby wyspy przed cyberatakami, działaniami terrorystycznymi i wojną informacyjną. I budować własny przemysł obronny.

PACYFIŚCI | Takie głosy są jednak odosobnione, a rząd nie rozważa radykalnej zmiany polityki bezpieczeństwa. „Nie sądzę, abym zobaczyła islandzką armię za mojego życia" – mówiła niedawno premierka Kristrún Frostadóttir. Jej zdaniem Islandia powinna polegać na dyplomacji, współpracy z sojusznikami i swej dotychczasowej roli: strategicznego węzła komunikacyjnego na Atlantyku.

Islandczycy rzeczywiście nie wydają się skłonni do zmiany zdania i obstają przy swoim tradycyjnym pacyfizmie. W sondażu z wiosny 2025 r. aż 72 proc. pytanych opowiedziało się przeciw powołaniu własnej armii; „za" było jedynie 14 procent.

Piotr Szymański, ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich zajmujący się obronnością, nie jest tym zaskoczony. – Nie spodziewałbym się na Islandii większej debaty o utworzeniu sił zbrojnych. Jest po temu kilka powodów, w tym położenie i mała populacja. To, co Islandczycy mają dziś, wydaje się im wystarczające. Nadzorują swoje wody terytorialne i monitorują przestrzeń powietrzną – mówi Szymański „Tygodnikowi".

Straż Wybrzeża dysponuje kilkoma okrętami, samolotem i paroma śmigłowcami. Islandia ma też system radarowy, który jest częścią systemu NATO.

– Okresowo w mediach pojawia się postulat, że trzeba inwestować więcej w cyberbezpieczeństwo. Dyskutuje się też o konieczności lepszej ochrony podmorskich kabli telekomunikacyjnych. Ale to w ramach ewentualnej rozbudowy Straży Wybrzeża, a nie tworzenia armii – dodaje Szymański.

STRATEGICZNE WODY | Islandczycy mogą myśleć, że położenie ich wyspy, z dala od globalnych konfliktów, gwarantuje im bezpieczeństwo. Jednak to właśnie lokalizacja Islandii sprawia, że zwiększa się dziś jej znaczenie geopolityczne.

Nie jest to dynamika nowa. Podczas II wojny światowej Islandia była neutralna, mimo to w 1940 r. Brytyjczycy dokonali tu desantu. Osamotniona Brytania, zdana na dostawy paliw i żywności z USA (wówczas jeszcze neutralnych), chciała zapewnić sobie kontrolę nad północnym Atlantykiem, przez który płynęły konwoje ze Stanów. Zajęła Islandię prewencyjnie, by nie zrobili tego Niemcy (z tego samego powodu zajęła też Wyspy Owcze).

W 1941 r. żołnierzy brytyjskich zastąpili amerykańscy. – Oczekiwano, że kiedy wojna się skończy, Amerykanie się wycofają, ale z II wojny światowej szybko przeszliśmy w zimną wojnę – mówi Szymański.

PRZYSTANEK ISLANDIA | Siły USA pozostawały na wyspie do 2006 r. w bazie Keflavík. Chodziło o nadzór nad tzw. przesmykiem GIUK – drogami wodnymi prowadzącymi z Morza Norweskiego i Morza Północnego na Atlantyk (skrót pochodzi od nazw Grenlandii, Islandii i Wielkiej Brytanii).

Waga tych przejść morskich bynajmniej od tego czasu nie zmalała, a pilnowanie ich to dziś najważniejsze zadanie Islandczyków w ramach NATO.

Wprawdzie Amerykanie zamknęli bazę w Keflavík, ale działa tam wojskowe lotnisko i ta jego część, gdzie znajduje się Centrum Kontroli i Raportowania „Loki", które przekazuje dane do bazy w Niemczech – to składowa systemu obrony powietrznej NATO, za którą odpowiedzialna jest islandzka Straż Wybrzeża.

W Keflavíku stacjonują też samoloty sojuszników, wysyłane tu w ramach okresowych patroli tzw. Icelandic Air Policing (uczestniczy w tym również Polska). Jest to też baza wypadowa dla sojuszniczych samolotów patrolowych i przystanek dla NATO-wskich lotów transatlantyckich.

SOJUSZE I DEBATY | Islandia jest członkiem NATO od początku istnienia Sojuszu, od 1949 r. Obok NATO, drugim filarem jej polityki bezpieczeństwa jest dwustronna umowa z USA z 1951 r. (zaktualizowana w 2016 r.).



LUC 4H4PHOTOGRAPHY / ALAMY / BE&W

Namiastką armii jest Straż Wybrzeża, która ma kilka okrętów i śmigłowców oraz samolot. Islandia ma też system radarowy, który jest częścią NATO. Na zdjęciu: okręt Straży Wybrzeża w porcie w Reykjavíku, 2019 r.

– Gdy podejmowano te wszystkie decyzje, zarówno o wejściu do NATO, jak też o stacjonowaniu żołnierzy sojuszniczych, były to kwestie bardzo polaryzujące. I tak jest do dzisiaj – mówi Piotr Szymański – Islandczycy postrzegają się jako pokojowa społeczność na uboczu rywalizacji międzynarodowej.

Za to dzięki bliskości językowej – w szkołach na Islandii uczy się duńskiego – jej obywatele mogą zaciągać się ochotniczo do armii Danii lub Norwegii.

Właśnie w norweskiej armii służył przez siedem lat współzałożyciel ruchu Strażnicy Islandii Arnór Sigurjónsson; brał udział w misjach pokojowych w południowym Libanie.

GDY ZABRAKŁO PIWA | Islandczycy są też obecni w różnych NATO-wskich inicjatywach. – Teraz zapowiedzieli, że dołączą do powstającej grupy bojowej NATO, która ma stacjonować w fińskiej Laponii. Zresztą wszystkie kraje nordyckie chcą w tym uczestniczyć – mówi Szymański.

Na czym polega ich udział, skoro nie mają armii? Szymański: – Mogą przykładowo wysłać cywilnego specjalistę od komunikacji strategicznej. To może być jeden człowiek, ale dzięki temu chcą pokazać swoją solidarność sojuszniczą i wywiesić islandzką flagę.

– Wkładem Islandii w NATO jest też jej rola zaplecza logistycznego dla przerzutu sił z Ameryki Północnej do Skandynawii, na północną flankę Sojuszu – dodaje Szymański. – To ważna rzecz. Ważniejsza, niż gdyby Islandia powołała np. własne nieliczne siły powietrzne, które nie zmieniłyby pozycji NATO w Arktyce.

Co do przerzucania amerykańskich żołnierzy do Europy, to w historii wyspy zapisały się – anegdotycznie – NATO-wskie ćwiczenia „Trident Juncture" w 2018 r. W drodze na nie Amerykanie mieli przystanek w Reykjavíku. Prawie siedem tysięcy żołnierzy i marynarzy wypiło całe piwo dostępne w islandzkiej stolicy. Zadowoleni, ale i zestresowani właściciele barów mówili, że czegoś takiego jeszcze nie przeżyli. Lokalny browar pracował po godzinach, by zapewnić dostawy trunku.

MAPA ZAGROŻEŃ | W sondażu prowadzonym w lipcu 2025 r. aż 81 proc. ankietowanych Islandczyków przyznało, że obawia się nasilenia światowych konfliktów w kolejnych latach. Najwyraźniej jednak nie czują potrzeby, by z tego powodu rewidować własną strategię bezpieczeństwa.

– Aby to się zmieniło, musieliby uznać np. rosyjski desant za realne zagrożenie, a to mało prawdopodobne. Mogą jednak dyskutować o rozbudowie Straży Wybrzeża, inwestycjach, modernizacji i zakupie dodatkowych okrętów – ocenia Szymański.

– Islandczycy mają inną mapę zagrożeń niż my – dodaje analityk. – Za większe zagrożenie mogą uznać zmiany klimatu, a nie ryzyko konwencjonalnej agresji na wyspę. Co nie znaczy, że nie czują niepokoju, zwłaszcza wobec działań Donalda Trumpa i jego presji na Grenlandię.

Coś się jednak zmienia, gdyż do roku 2027 Islandczycy chcą przeprowadzić referendum w sprawie wznowienia przerwanych negocjacji akcesyjnych z Unią Europejską. – Jakiś czas temu byłoby to nie do pomyślenia, ze względu na trudne kwestie dotyczące rybołówstwa – ocenia Piotr Szymański. – I można się zastanawiać, na ile członkostwo w Unii byłoby traktowane przez nich jako inwestycja w bezpieczeństwo. Rozumiane szerzej, nie tylko militarnie.

POZIOM ATLANTYKU | Jeśli zaś idzie o zagrożenie klimatyczne: niedawno Rada Bezpieczeństwa Narodowego Islandii po raz pierwszy zajęła się tym problemem i uznała go za zagrożenie egzystencjalne dla kraju. Chodzi o możliwe załamanie się systemu prądów oceanicznych na Atlantyku.

Gdyby do niego doszło, skutkiem byłoby ekstremalne obniżenie zimowych temperatur w Europie Północnej i podniesienie się poziomu mórz. Może do niego dojść pod koniec tego stulecia, a dla Islandii skutki byłyby katastrofalne – i to dla każdej sfery życia: transportu, rybołówstwa, dostępu do żywności, infrastruktury.

„Wiemy, że klimat może zmienić się dziś tak drastycznie, że możemy nie mieć możliwości, aby się do tego przystosować. Krótko mówiąc, to nie tylko kwestia naukowa, ale kwestia przetrwania i bezpieczeństwa narodowego" – mówił islandzki minister środowiska Jóhann Páll Jóhannsson.

Islandczycy właśnie uznali, że muszą się przygotować. ©℗







Starlinki dla Artema



ARCHIWUM WOJCIECHA PIĘCIAKA x4

Od lewej: Ihor z koagulatorem; zespół ewakuacyjny ze starlinkami w Donbasie; członkowie kompanii medycznej z agregatem (obwód dniepropietrowski). Dołem: sanitariusze ze stacją zasilania oraz systemem do ogrzewania rannych i podgrzewaczami do infuzji (to dwie paczki z lewej). Ukraina, listopad 2025 r.

WOJCIECH PIĘCIAK Z UKRAINY

POMOC NA WOJNIE | Kolejny transport od czytelniczek i czytelników „TP” trafił do ludzi, którzy bronią swojej wolności.

Zmęczenie: gdyby szukać jednego słowa, aby określić stan ducha pod koniec czwartego roku inwazji, właśnie ono się narzuca. Zmęczenie indywidualne i społeczne. Potęgowane zimnem i brakiem snu – też w wymiarze społecznym. Bo Rosji w końcu może udać się to, co próbuje od chwili, gdy zaczęła naloty na elektrownie: odcięcie kraju od prądu i ciepła. Egzystencjalny charakter wojny sprawia jednak, że większość nie widzi innej opcji niż dalszy opór.

IHOR (SZPITAL) | Poznałem go, gdy dostarczyliśmy transport materiałów medycznych do Drohobycza. Był marzec 2022 r., tutejszy szpital miejski zaczynał pełnić funkcję szpitala „tyłowego”, do którego kieruje się ciężko rannych na dalsze operacje. Odtąd spotkaliśmy się kilkakrotnie i za każdym razem miałem wrażenie, że się postarzał. Jeśli Ihor, szef tutejszej chirurgii urazowej, czymś się ratuje, to pewnie stoickim, pogodnym usposobieniem.

Jego oddział otrzymał teraz nowoczesny aparat elektrochirurgiczny do operacji (koagulator). Kolejne trzy aparaty – wszystkie podarowane przez naszego czytelnika, który je produkuje – trafiły do szpitali „tyłowych” w Kijowie i Lwowie, a także do szpitala polowego koło Pawłohradu.

ARTEM (FRONT) | Ponad 1000 km dalej, w okolicy Pokrowska, dwudziestoparoletni Artem dowodzi zespołem ewakuacyjnym dronów naziemnych. Takie zespoły są już stałym elementem w ukraińskiej strukturze. Na froncie w powietrzu wisi tak wiele rosyjskich dronów, że transport autami rannych (i poległych) jest niemożliwy. Robią to więc naziemne roboty. Wcześniej sterowano je radiem, ale że Rosjanie skutecznie zakłócają sygnał radiowy, w użyciu są teraz starlinki mini – routery bezprzewodowe montowane na robotach. Są odporne na zagłuszanie.

Artem prosił o starlinki mini. Otrzymał cztery – kupione ze środków, które czytelniczki i czytelnicy „TP” przekazali współpracującemu z nami Stowarzyszeniu Inicjatywa Sąsiedzka.

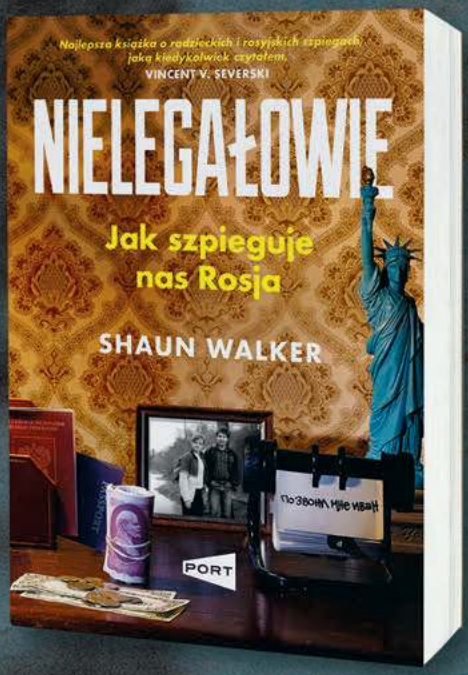
CAŁY ŚWIAT | Obok koagulatorów i starlinków w transporcie były (kupione za podarowane środki): dwa urządzenia do ogrzewania rannych w hipotermii, 10 podgrzewaczy do płynów infuzyjnych i preparatów krwi, 14 agregatów i stacji zasilania, ogrzewacze chemiczne do stóp i rąk. Ich odbiorcy to frontowe służby medyczne w obwodach donieckim i dniepropietrowskim: szpital polowy pracujący na kierunku pokrowskim, punkty stabilizacyjne, zespoły ewakuacyjne.

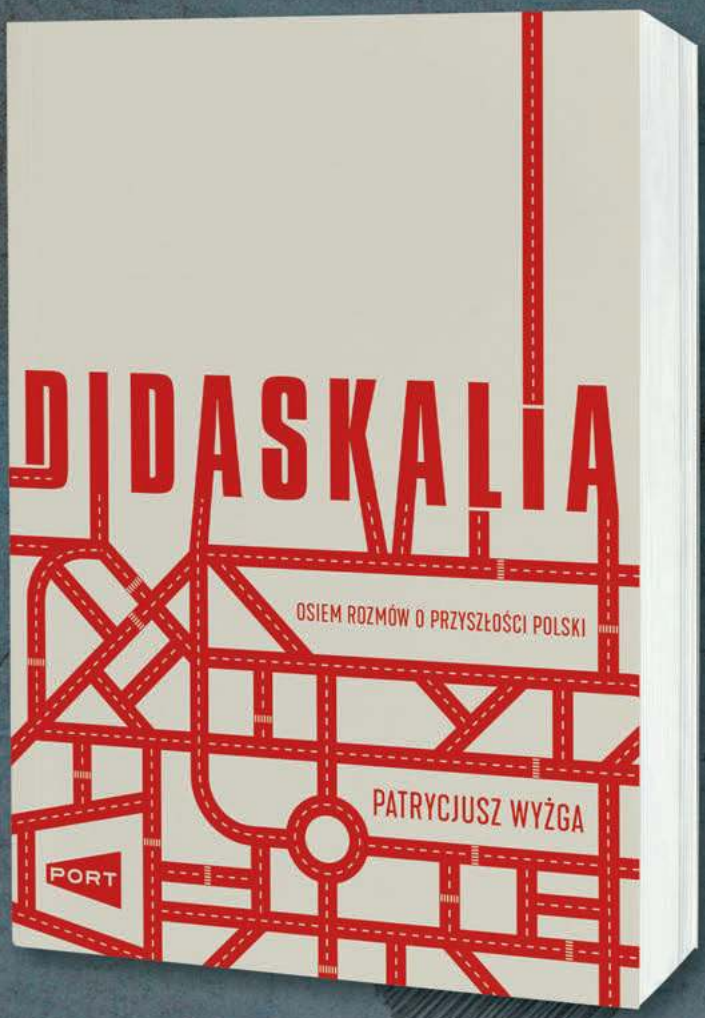
Ktoś powiedział: nie można zmienić całego świata, ale można zmienić świat niektórym ludziom. Staramy się to robić – nieść ulgę tym, którzy bronią swojej wolności. Koagulator, agregat czy „grzejki” to dla nich narzędzia do przetrwania. ©℗

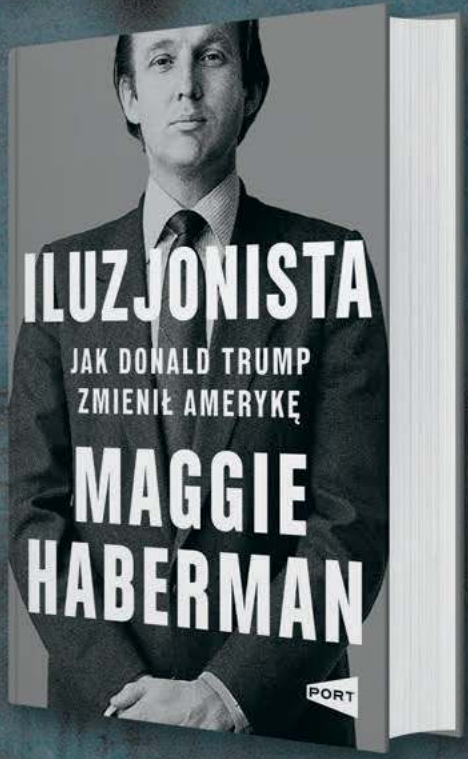
Nasza akcja trwa nadal, informacje o możliwości wsparcia na stronie: **inicjatywasasiedzka.org**

REKLAMA

WYDAWNICTWO PORT – TWOJE MIEJSCE NA MAPIE ŚWIATA!







www.wydawnictwoport.pl

PORT



WIARA

CZAS WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

Wstają o piątej rano i śpiesznym krokiem zmierzają na roraty. Dlaczego tak wielu upodobało sobie to nabożeństwo? Jakie duchowe potrzeby im zaspokaja?

MARCIN TUSIŃSKI



BARTOSZ SIEDLIK DLA „TP"

Roraty u dominikanów w Krakowie

Godz. 5.00. Magda Pawłowicz zrywa się z łóżka. Mąż ponagla. O szóstej nie będzie gdzie usiąść. Ciemno, zimno, głucho. Jeśli uda się pojechać samochodem – to będzie luksus. Wahanie. Może nie być gdzie zaparkować. – Śmiejemy się z mężem, że na krakowskich Plantach łatwo odróżnić wtedy ludzi idących „marszem roratnim". Cały strumień ludzi. Idą jakoś tak żwawiej niż ci do roboty – uśmiecha się Magda.

– Wlokę się przez śnieg w zgnuśniałym stanie. Kościół jeszcze w budowie. Gołe cegły. Minimalistyczny wystrój. Rozdrażnienie mija dopiero, gdy staję w ławce czekając na światło – to Jarema Piekutowski, socjolog, publicysta, analityk społeczny.

– Mniej ludzi w tramwaju, inny nastrój, panuje spokój. Miasto jeszcze nieprzebudzone. Na placu Wszystkich Świętych w Krakowie widać grupki idące w kierunku bazyliki dominikańskiej – mówi Weronika Pelczyk, studentka szóstego roku architektury. – W środku ciemność i zapach starego kościoła. Oczekiwanie.

6.00. Półmrok. Trzeba wytężać wzrok, żeby znaleźć wolne miejsce. Słychać jedynie dziecięce chichranie. Czasami ktoś zaszura krzesłem.

– Mamy swoje ulubione miejsce w kaplicy świętego Dominika, która jest bardzo piękna. Co roku spotykamy tych samych ludzi. Najpierw zaręczonych, potem ożenionych, teraz z dziećmi – mówi Pawłowicz.

Rzędy ławek powoli zalewa milczący tłum.

– Zaczyna się od pieśni. Serce bije szybciej. Dźwięk niesie pośród naw. Śpiewa jedna osoba – mówi Pelczyk – a potem wszyscy dołączają. Cały kościół połączony...

– Pieśń „Rorate caeli" albo ta, którą u nas śpiewała schola: „Otwórz się niebo pokryte chmurami i Sprawiedliwy ↦

↦ niech zejdzie z obłoków”... – to Piekutowski. – Specyficzne nastrojenie organizmu, myśli, serca. Po nocy to nowy początek, inny stan umysłu, przestrzeń w duszy.

– Z mroku wyłania się ciepłe światło. Chorał gregoriański niesie się przez Kościół. Wszystko z pietyzmem i miłością do liturgii – opisuje Magda Pawłowicz. Środkiem bazyliki dominikańskiej w Krakowie idzie procesja zakonników. Wokół nich ministranci. Świeca rozpala świecę. A ta kolejną. Symbol przekazania wiary. Na ołtarzu menora. Żydowski świecznik przypomina o naszych korzeniach. Woń kadzideł. – Zapach tego kościoła to dla mnie zapach domu. To jest tu, gdzie przynależę – kończy cicho Pawłowicz.

– Światło jest symbolem nadchodzącego narodzenia Boga – mówi Piekutowski. – To kontemplacja. Prowadzi do tego, co w tradycji wschodniej nazywa się bogoczłowieczeństwem, Theosis. Mówimy o przebóstwieniu, o życiu z poziomu głębi.

– Uwielbiam muzykę i śpiewanie w scholi. I słowa kapłanów, które wtedy lepiej do mnie trafiają. Podczas jednej z mszy poczułam bliskość Matki Bożej, że Ona jest żywą Matką Chrystusa i oczekuje na swojego Syna. A my oczekujemy z nią – mówi Weronika Pelczyk.

Pierwsze spotkanie

Wspomnienie. Bielany Wrocławskie. Weronika Pelczyk ma siedem lat i stoi w ciemności z lampionem. Czeka na czekoladki, które obiecał ksiądz. Po każdej mszy roratniej duchowny rozdaje dzieciom naklejkę za wytrwałość. Jedna po drugiej, gromadzą całość: wizerunek świętego. Za komplet czeka nagroda. Słodycz. – Bez tego nie chciałoby nam się wstawać przed szkołą – mówi Weronika. – Po mszy czekało jeszcze śniadanie przygotowane przez moją i inne mamy z parafii. Drożdżówki, pączki, kakao – to miłe wspomnienie.

Jarema Piekutowski pierwszy raz trafił na roraty w Szczecinie już jako dorosły. Po konwersji z luteranizmu odkrywał bogactwo rytuałów katolickich. – Wszystko było zatopione w kontemplacji. Miałem poczucie kontaktu z Bogiem i, jak to mówił Martin Heidegger, nastrojenia. To nabożeństwo dawało możliwość nastrojenia – wspomina. – Od ładnych paru lat nie mogę się wyrwać na roraty i mam poczucie, że moje życie duchowe jest przez



BARTOSZ SIEDLIK DLA „TP”

to słabsze. Gdy zaczynałem dzień od modlitwy i głębokiej medytacji, cały był nastrojony na dobro i spokój.

Magda Pawłowicz jest świecką dominikanką. Pierwsze roraty pamięta z dzieciństwa. Rytuał naturalnie wpisał się w jej kalendarz. Reguła świeckich zakonu kaznodziejskiego zobowiązuje ją do codziennej modlitwy brewiarzowej, różańca i mszy świętej. – Dlatego poranne roraty mi nie straszne – śmieje się.

Źródło

– Roraty to msza na cześć Matki Bożej. Wszystkie modlitwy są jej poświęcone. Rytuał przypomina, że Maryja przyniesie Chrystusa, jako Theotokos. To symbol przebudzenia duchowego, na jakie czekamy. Wszystko zaczyna się prośbą: niebiosa, spuśćcie rosę z góry. Jesteśmy jałową ziemią, na którą ten deszcz ma spaść – tłumaczy Jarema Piekutowski.

Ogień świec odpalanych w roraty przekazywany jest w Polsce z rąk do rąk już od XIII w. Ks. Dariusz Zbigniew Skrok pisał, że zwyczaj przywędrował nad Wisłę z Węgier, za sprawą żony Bolesława Wstydliwego – św. Kingi. Pierwsi wspominali o nim w swych zapiskach śląscy cystersi. Jego nazwa pochodzi od słów łacińskiej antyfony rozpoczynającej mszę: „*Rorate caeli desuper, et nubes pluant iustum...*”.

W XIV w. ceremonia zaczęła się rozprzestrzeniać na polskich ziemiach. Powstawały pierwsze „kapele rorantystów” i „bractwa roratnie”, popularne zwłaszcza na Warmii i w północno-wschodnich diecezjach kraju. Ludzie jednoczyli się wokół rorat, pisali śpiewniki roratnie, statuty bractw, tworzyli ceremonie, wspierali się nawzajem. I tak przez wieki. Jeziorany, Olsztyn, Elbląg, Pieniężno, Kraków, Warszawa, Szczecin... Ten sam płomień przekazywany z rąk do rąk aż do dziś. Ktoś mógłby zapytać: po co?

Odrodzenie

– Kazimierz Dąbrowski, znany polski psycholog, mówił, że ludzie mają naturalną potrzebę, by w grupie innych ludzi oddawać cześć czemuś czy Komuś większemu niż oni sami – mówi Jarema Piekutowski.

Tylko czy dziś rytuały religijne nadal służą pojmowaniu zawiłości życia i odkrywaniu Tajemnicy? Czy może już tylko wyznaczają rytm zakupów? Czy czcimy w nich „właściwego boga”?

– W dużych, zatomizowanych ośrodkach miejskich znaczenie rytuału wytarło się szybciej, choć tradycja w jakiś sposób odtwarza się na nowo – przekonuje Piekutowski. Roraty są tego dobrym przykładem. Co roku na długo przed świtem, szkołą, pracą, obowiązkami do kościołów ciągną tłumy. Tylko dlaczego właśnie wtedy?

– Stawiam taką tezę, że msza i nabożeństwa w polskich kościołach często nie dają ludziom elementu kontemplacyjnego. Mam wrażenie bylejakości w liturgii. Ona jest często barokowa w sposób, który rozprasza. Brakuje w niej piękna, ciszy, dbałości. Myślę, że te wszystkie elementy podczas rorat są dopracowane i przyciągają ludzi, którzy rytuału potrzebują. Bo taki jest porządek wnętrza ludzkiego – mówi Piekutowski.

– Jesteśmy w ciele i nasze ciało odbiera zmysłami świat. Jeśli liturgia pomaga odkrywać przez zapach, dźwięk, muzykę to

piękno, które jest spoza nas, to to jest dobre. Odpowiada na potrzebę, by dotknąć, poczuć, posmakować – dodaje Magda Pawłowicz.

– Podczas pandemii był taki moment w parafii Chrystusa Króla w Poznaniu, że poranne godziny rorat przywrócono na prośbę samych parafian. Ludzie zmęczeni lockdownem chcieli do kościoła przychodzić już rano. To był ich rytuał wspólnotowy po czasie totalnej izolacji – mówi Piekutowski. – Coraz częściej z roratami połączone jest śniadanie i wspólne przebywanie ludzi w parafii. To ich społeczny wymiar – kończy.

Rodzice rozmawiają przy kawie. Dzieci nagradzane są za wysiłek pączkami i czekoladą, jak kiedyś Weronika. Dziś dla niej najbardziej pociągające w roratach jest wspólne oczekiwanie na narodziny Chrystusa. – Codziennie jesteśmy bliżej tego święta i codziennie witamy dzień zadumą. Nasze myślenie sprowadza się do tajemnicy Bożego Narodzenia. To się nie zdarza w innych okresach roku – mówi.

Wschodzące słońce

– Jedynym źródłem światła jest ogień lampionów. Słowo liturgii i kapłanów słyszane rano, pozostaje ze mną przez cały dzień, wpływa na jego przeżywanie – to wciąż Pelczyk.

– Jest taki moment podczas mszy świętej, kiedy kapłan mówi: „abyśmy wolni od grzechu i bezpieczni od wszelkiego zamętu oczekiwali przyjścia...". Dla mnie roraty to wolność od zamętu – mówi Piekutowski. – W pracy mam różne stresy, obawy przed kontrolą, reakcją przełożonych czy zadrażnione relacje z kolegą z zespołu. Poprzez obcowanie z tym, co nadprzyrodzone, wielkie, największe, te lęki robią się malutkie i znajdują swoje miejsce w porządku świata. A zamęt wewnętrzny cichnie. Wychodzę spokojniejszy.

– To oczekiwanie na paruzję, powtórne przyjście Pana. Odpowiedź na nasze wewnętrzne pragnienie, żeby przyszło dobro, pokój, żeby zapanował Boży ład – mówi Magda Pawłowicz. – Podczas jutrzni śpiewamy hymn o oczekiwaniu na wschodzące słońce. My na to bardzo czekamy. Pragniemy tego.

© MARCIN TUSIŃSKI

Zapal świecę, zjedz czekoladkę

ŁUKASZ OSTRUSZKA

PROTESTANTYZM | Choć dla luteran autorytetem w kwestiach wiary jest Pismo Święte, a nie kościelna tradycja, to akurat w adwencie chętnie się do niej odwołują.

Świąteczne ozdoby, które już pojawiły się w witrynach sklepów i wnętrzach restauracji, mają jedno zadanie: wprowadzić nas w „klimat świąt". I pewne jest, że wśród skrzatów, mikołajów, reniferów czy choinek ze światełkami i bombkami znajdziemy też jodłowe wieńce. Być może zobaczymy na nich nie tylko czerwone wstążki i ozdoby, ale także świece.

Odliczając dni

Wypełniony gałązkami jodły wieniec nie jest zwyczajną, świąteczną dekoracją. To „wieniec adwentowy" – symbol o mocnym, duchowym ładunku. Jego historia sięga lat 30. XIX wieku (w niektórych opracowaniach znajdziemy nawet dokładną informację, że tradycja narodziła się w grudniu 1839 r.). Wszystko zaczęło się w ewangelickim domu pomocy dla sierot i ubogich dzieci w Hamburgu, którego założycielem był pastor Johann Hinrich Wichern. Gdy podczas jednego ze spotkań w sali modlitw zniecierpliwione dzieciaki pytały nieustannie, kiedy nadejdą święta, pastor ustawił na środku sali koło, na którym umieścił 24 świece – w tym cztery większe, niedzielne – symbol światłości Chrystusa. Każdego wieczoru dzieci zapalały jedną świecę, odliczając dni do Bożego Narodzenia. Z formy koła płynęło też dodatkowe przesłanie o równości wszystkich, którzy się wokół niego gromadzili. Z czasem zaczęto adwentowe koło ozdabiać jodłowymi gałązkami, tworząc wieniec.

Pastor wynalazca

Symbol ten początkowo pojawiał się jedynie w protestanckich domach dziecka, szkołach i kościołach. Później trafił do niemal każdego ewangelickiego domu, choć w wersji uproszczonej – tylko z czterema „niedzielnymi" świecami. Szybko też przekroczył granice państw i kontynentów (już na początku XX wieku znano go w USA). Domy rzymskokatolickie przekonały się do tej tradycji dopiero po II wojnie światowej – najpierw w Niemczech, ale z czasem wieńce w różnej formie spotkać można było niemal wszędzie, także jako ozdobę świąteczną. Warto wiedzieć, że pastor Wichern nie jest znany tylko z tego, że „wynalazł" wieniec adwentowy. Do historii przyszedł jako pedagog (twórca nowatorskiej formuły domu dziecka, w którym wychowankowie wraz z opiekunami tworzyli „rodziny", ucząc się w nich samodzielnego życia i przygotowując do podjęcia pracy w różnych zawodach), działacz społeczny i reformator więziennictwa. Założył też tzw. misję wewnętrzną (domową), czyli ruch odnowy w protestantyzmie, wzywający do służby wobec bliźniego i edukacji w oparciu o naukę Jezusa z Nazaretu.

Boża obietnica

Zgodnie z nauką reformatorów, Kościół może świętować tradycję, o ile nie jest ona sprzeczna z Pismem Świętym i prowadzi ludzi do Boga. Dlatego tworząc samodzielnie wieniec (często podczas parafialnych warsztatów) albo zapalając kolejne świece, powinniśmy myśleć nie o abstrakcyjnym „duchu świąt", ale starać się poznać Jezusa.

Adwent jest oczekiwaniem w podwójnym sensie: z jednej strony przypomina historię przychodzącego do świata Zbawiciela, z drugiej wskazuje na obietnicę ↦



DANNY LAWSON / PA / EAST NEWS

Zawieszenie wieńca adwentowego w anglikańskiej katedrze w Yorku. Anglia, listopad 2022 r.

↦ Jego powtórnego przyjścia. I nie ma znaczenia, że cztery tygodnie adwentu, Wigilia i samo Boże Narodzenie to daty i wydarzenia dość umowne. Bo przecież nie chodzi o astrologiczną precyzję, tylko o kalendarz duchowy, który pomaga nam znaleźć czas na oczekiwanie. Może mieć on różne formy. Dla jednych adwent będzie wezwaniem do naprawy życia, osobistej reformy albo pokuty zgodnie z wezwaniem proroka Izajasza, czytanym w trzecią niedzielę adwentu, by „przygotować na pustyni drogę Pańską". Każdy z nas ma swoją „pustynię". Dla innych adwent to przede wszystkim czas radości, wyjścia z ciemności i głośnego świadectwa własnej wiary. W drugą niedzielę adwentu czytamy, że powinniśmy się „wyprostować i podnieść głowy, bo zbliża się odkupienie".

Wieczność i czekoladki

Adwent zaczyna u ewangelików nowy rok kościelny (podobnie jak u katolików – nowy rok liturgiczny). Poprzedza go „niedziela wieczności", która przenosi nas w tematykę przemijania, śmierci oraz prowadzi do rozmowy o zbawieniu i życiu wiecznym. Wymieniamy wtedy w kościołach nazwiska osób, które zostały przez Boga „odwołane z doczesności do wieczności". Myślimy też o tych, którzy w minionym roku się narodzili i będą dopiero odkrywać swoje życie. Mistyka oczekiwania na przyjście Chrystusa wpisuje się w tę drogę. Adwent to czas odkrywania niespodzianek.

Adwentowy wieniec i kalendarz z czekoladkami to nie jedyne ewangelickie zwyczaje, które się rozpowszechniły i skomercjalizowały.

To nie jedyne ewangelickie tradycje w naszych domach i parafiach (nie wspominając już o ozdabianiu choinki, który to zwyczaj również przypisuje się protestantom, choć jego korzenie sięgają dużo głębiej). Wspomnijmy jeszcze o kalendarzu adwentowym, którego pierwsze projekty pojawiały się już w drugiej połowie XIX wieku. Na rynek wprowadził je w 1908 r. pewien protestancki wydawca z Monachium, monetyzując domowy zwyczaj. Dziś kalendarze adwentowe przybierają różne formy – najbardziej rozpowszechnioną jest pudełko z 24 okienkami wypełnionymi czekoladkami. Można w nich zresztą umieszczać i inne atrakcyjne niespodzianki, z czego chętnie korzysta biznes. Choć nie tylko. W wielu ewangelickich domach praktykowana jest duchowa forma kalendarza – w okienkach zamiast słodyczy ukryte są wersety biblijne i zadania, które mają zbliżyć do siebie rodzinę. Zwyczaj ten zaczyna się rozprzestrzeniać w wielu miejscach, bez względu na wyznanie.

© ŁUKASZ OSTRUSZKA

Autor jest dziennikarzem, wydawcą internetowym i pastorem – proboszczem krakowskiej parafii ewangelicko-augsburskiej.



JUANJO MARTIN / EPA / PAP

Hiszpańska piosenkarka Rosalía na placu Callao w Madrycie. 20 października 2025 r.

Rosalía z Katalonii

MARTYNA LESZCZYŃSKA

WIARA I POP | Choć artystka twierdzi, że jest osobą wierzącą, trudno nie doszukiwać się w jej kreacji strategii marketingowej. Czy popkultura będzie coraz częściej sięgać po wizerunki świętych?

Wielbiciele artystki wyczekiwali nowej płyty aż trzy lata. I oto 20 października, w dzień obchodów Diwali – hinduistycznego święta światła – Rosalía niczym papieżyca w papamobile (w jej przypadku był to biały Nissan GTR) wjechała do centrum Madrytu, zatrzymując się przy placu Callao. Potem wysiadła z auta i pobiegła w stronę rozentuzjazmowanych tłumów.

W kulminacyjnym momencie happeningu na ekranach budynków wyświetlono okładkę albumu „Lux" (światło). Artystka stoi ubrana na biało, w sukni przypominającej habit, z welonem zakrywającym włosy. Dla kontrastu, na okładce poprzedniego albumu pozowała kompletnie naga, w kasku motocyklowym.

Nowa mistyczna estetyka wywołała w Hiszpanii spore poruszenie, ale kto śledzi twórczość artystki od początku, ten wie, że prowokacyjna zabawa konwencjami to jej specjalność. Rosalía od lat konsekwentnie buduje wizerunek twórczyni, która nie boi się eksperymentować. Dlaczego tym razem wybrała obraz świętej?

Na Spotify

Rosalía Vila Tobella zadebiutowała na hiszpańskiej scenie muzycznej w 2017 r. jako śpiewaczka flamenco. Pierwszy jej album – „Los Ángeles" – był zresztą najbliżej gatunkowej ortodoksji. Wybór trzynastu utworów, prezentujących zróżnicowane style flamenco (tzw. *palos*), skupionych wokół powtarzalnego w poetyce andaluzyjskich Romów motywu śmierci, był nie tylko wyrazem muzycznej wrażliwości Rosalíi, ale także popisem jej umiejętności wokalnych.

Nieustanne negocjowanie granic gatunkowych i obalanie dogmatów stanowi istotny aspekt performatywnej strategii artystki. Do tego bogata intertekstualność, która wymaga od słuchacza ciągłej gotowości do eksploracji nawarstwiających się w utworach odniesień – wszystko to sprawia, że Rosalía zaskakuje, nie pozostając wierna zdobytemu raz odbiorcy i nie zważając na ryzyko jego utraty.

Jak do tej pory, nieźle jej się to zresztą udaje – w pierwszym tygodniu premiery ↦



MATERIAŁY PRASOWE

Rosalía na okładce albumu „Lux”

↦ (czyli od 7 listopada) „Lux” był najczęściej odtwarzanym albumem na świecie, wyprzedzając tym samym „The Life of a Showgirl” amerykańskiej królowej muzyki pop, Taylor Swift. Pobił też rekord Spotify: w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin od premiery nabił ponad 42 mln odtworzeń – tyle nie miała jeszcze żadna hiszpańskojęzyczna wokalistka.

Przed ślubem

Album „Lux” inspirowany jest hagiografiami kobiet wywodzących się z tradycji wielu kręgów kulturowych. Jedną z nich jest imienniczka artystki – święta Kościoła katolickiego – Rozalia z Palermo, która na dzień przed zaślubinami uciekła przed narzeczonym, wybierając życie w czystości. Schroniła się w pobliskiej jaskini, gdzie wiodła życie pustelnicy.

Artystkę łączy z nią historia ucieczki ze ślubnego kobierca: niedawno zerwała zaręczyny z portorykańskim wokalistą Rauwem Alejandro. W najnowszym albumie dedykuje mu zresztą utwór „Perla”, odwołując się tym samym do muzycznej tradycji wyśpiewywania publicznie postzwiązkowych animozji, których niekwestionowanymi królowymi w ostatnich latach były Swift i Shakira.

Rosalía ma niezwykłą odwagę artystyczną
– sięga po rozwiązania, które łączą pozornie odległe światy.

Zaręczyny pary też zresztą były wydarzeniem muzycznym, ponieważ fani dowiedzieli się o nich z teledysku do utworu „Beso”. Rosalía i Rauw wydali wówczas wspólny minialbum zatytułowany „RR”, na który składają się trzy utwory – tryptyk w hołdzie nieszczęśliwej, jak teraz już wiemy, miłości. Zresztą, kto zna się na niej lepiej niż sama Rosalía, która już w 2018 r. poświęciła zjawisku cały drugi album studyjny, zatytułowany „El Mal Querer”, po polsku „Złe kochanie”.

Dla flamenco

Płyta sprzed siedmiu lat, wieńcząca studia magisterskie w prestiżowym katalońskim konserwatorium (Escola Superior de Música de Catalunya – ESMUC), stała się motorem napędowym szybko rozpędzającej się kariery Rosalíi. Album, uznany za jeden z najważniejszych masowych fenomenów ery cyfrowej w Hiszpanii, w symboliczny sposób przywrócił tradycyjnym melodiom flamenco należne im miejsce w krajobrazie współczesnej muzyki popularnej.

Nasycony symboliką singiel „Malamente” zapewnił artystce dwie statuetki Latin Grammy w kategoriach Najlepszy Utwór Alternatywny i Najlepsza Fuzja/ /Interpretacja Música Urbana. Pomimo pojawiającej się krytyki ze strony środowisk romskich, które zarzucały piosenkarce przywłaszczenie kulturowe oraz używanie słów i symboli, które „do niej nie należą”, Rosalía zręcznie wymijała ataki, twierdząc, że flamenco nie jest niczyją własnością.

W „Motomami”, kolejnym utworze na dyplomowej płycie, asertywnie odpowiada na krążące wokół jej twórczości kontrowersje: „Jestem śpiewaczką flamenco niezależnie od tego, czy mam na sobie dres Versace, czy strój tancerki (*Soy igual de cantaora con un chándal de Versace que vestíita de bailaora*)” – śpiewa w utworze „Bulería”.

W mlecznym barze

Sukces „El Mal Querer” postawił poprzeczkę niezwykle wysoko. Ale gdy w 2019 r. Rosalía zajęła piąte miejsce na liście BBC Sound – w organizowanym co roku brytyjskim plebiscycie, wyłaniającym najbardziej obiecujące nowe talenty muzyczne – w Polsce wciąż była artystką niszową. Mimo to jeszcze w tym samym roku pojawiła się na Open’erze (był to też jedyny jak do tej pory jej koncert w Polsce).

Co ciekawe, to właśnie tutaj powstawał teledysk do pierwszego singla z albumu „Lux”, zatytułowany „Berghain”. Realizacja miała miejsce w Warszawie, skąd artystka pochwaliła się światu zdjęciami w praskim barze mlecznym „Rusałka”. Polska od kilku lat jest na radarze światowych wytwórni muzycznych,

coraz częściej realizuje się tu duże międzynarodowe projekty.

– Nie słucham na co dzień tego typu muzyki, więc po prostu nie zdawałam sobie sprawy, że chodzi o jedną z największych współczesnych gwiazd światowej sceny muzycznej – mówi Milena Lange, koordynatorka tego projektu oraz dyrektor Impresariatu Artystycznego MS Promotion i Warsaw Impressione Orchestra. – Rosalía to wykonawczyni, która ma niezwykłą odwagę artystyczną – sięga po rozwiązania, które łączą pozornie odległe światy.

„Lux" ponownie zdaje się testować granice tradycyjnych podziałów gatunkowych między sztuką wysoką a popularną. Tym razem Rosalía bierze na artystyczny warsztat muzykę klasyczną. Gdy pytam Lange o to, co jako profesjonalistka uważa na temat łączenia muzyki klasycznej i rozrywkowej, odpowiada bez wahania, że to bardzo potrzebny kierunek.

– Tego typu projekty sprawiają, że muzyka orkiestrowa i chóralna zaczynają funkcjonować w nowym kontekście i docierają do odbiorców, którzy na co dzień nie mają z nimi kontaktu. Jako osoba, która zawodowo zajmuje się projektami łączącymi różne gatunki i estetyki, bardzo cenię tego rodzaju podejście. Dzięki takim artystom muzyka klasyczna przestaje być postrzegana jako coś elitarnego czy hermetycznego – mówi Lange.

Sceny z klipu, na których Rosalía prasuje ubrania pośród grającej orkiestry, a ta towarzyszy jej później nawet w komunikacji miejskiej i pędzi za nią ulicami Warszawy, sugestywnie zbliżają do siebie to, co wzniosłe, z tym, co zwykłe. W sztuce Rosalíi *sacrum* i *profanum* przenikają się, jak w codziennym życiu.

Kwiaty mistyczek

Gdy na początku XVII w. okolice Palermo nękała epidemia dżumy, zdarzył się cud. Pewna kobieta ujrzała we śnie, gdzie należy szukać ciała pustelnicy Rozalii. Rozpoczęto poszukiwania, dzięki którym w grocie odnaleziono ludzkie kości zespolone z wapienną skałą. Wieść szybko rozeszła się po okolicy, a miejscowa ludność zorganizowała uroczystą procesję ulicami miasta, niosąc relikwie dziewczyny. Niedługo później chorzy zaczęli w niewytłumaczalny sposób odzyskiwać zdrowie, a Rozalii zaczęto wznosić pomniki. Jej kult zyskał szczególną popularność w kilku miejscach na Sycylii.

Imię, które nosi hiszpańska artystka, wyrasta z symboliki dwóch kwiatów: róży, symbolu życia pokutnego, oraz lilii – symbolu czystości. W jej liryce pojawia się jednak inny motyw – magnolie, o które prosi w ostatnim utworze z nowego albumu. Zainspirowana obrazami z kwiecistego pogrzebu hinduskiej mistyczki Anandamaji Ma, Rosalía snuje surrealistyczną opowieść o własnym pochówku.

Nietrudno dostrzec tu paralelę – święte i artystki łączy bezgraniczne oddanie powołaniu oraz otaczająca je mistyczna aura uwielbienia. Obie figury są obiektem adoracji, idealizowane i stawiane za wzór do naśladowania. Kanonizacja – wejście do kanonu sztuki – gwarantuje ocalenie od zapomnienia. To rodzaj świeckiego zbawienia.

Strategie sprzedaży

Choć artystka twierdzi, że jest osobą uduchowioną, a w wywiadach przytacza biografie niezwykłych kobiet, które wyrzekły się dóbr życia doczesnego, ciężko nie doszukiwać się w tym wszystkim znakomitej strategii marketingowej, w której echem odbijają się motywy poruszane wcześniej przez innych artystów (chociażby rapera Kanyego Westa). „Lux" to jednak ciekawa płyta, która – jak wskazują liczby odsłuchów na całym świecie – łączy ponad podziałami.

Być może ten intensywny trend w muzyce jest odpowiedzią na wyblakłą, pogrążoną w konfliktach codzienność, w której główną rolę gra nieumiarkowana konsumpcja? Może dlatego potrzebujemy powrotu do dawnych autorytetów? Na ironię zakrawa fakt, że w ten sposób nasza duchowość staje się kolejnym produktem na sprzedaż.

© MARTYNA LESZCZYŃSKA

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **SŁUPSK,** czwartek, 27 listopada, godz. 17.00, spotkanie z luterańskim teologiem Jerzym Sojką (prof. ChAT), „Sola scriptura? O katolickim i protestanckim czytaniu Pisma Świętego", Miejska Biblioteka Publiczna (ul. Grodzka 3)
- **LUBLIN,** piątek, 28 listopada, godz. 17.00, spotkanie z red. Jarosławem Kurskim, „Fatalizm historii czy farsa? O wiecznym powrocie faszyzmu", prowadzenie: Mariusz Zajączkowski. Aula Klasztoru oo. Dominikanów (ul. Złota 9)
- **WARSZAWA,** piątek, 28 listopada, godz. 17.30, rozmowa z Sylwią Chwedorczuk, autorką książki o Annie Kowalskiej. „Ta od Dąbrowskiej", cykl „Czytelnia »Między stronami«", prowadzenie: Magdalena Macińska. Międzypokoleniowa Klubokawiarnia DKŚ (ul. Anielewicza 3/5)
- **KATOWICE,** piątek, 28 listopada, godz. 18.00, spotkanie z prof. Barbarą Chyrowicz i dr. Przemysławem Bukowskim wokół książki „Tischner. Rozmowy z mistrzem". „Józef Tischner – człowiek dobrego słowa", sala Feliksa Netza, Biblioteka Śląska (Plac Rady Europy 1)
- **BIELSKO-BIAŁA,** sobota, 29 listopada, godz. 11.00, śniadanie z siostrą prof. Barbarą Chyrowicz, „Kwestia stylu" (jeszcze o Tischnerze), Punkt 11 (ul. 11 Listopada 24)

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

ZUZANNA

Radzik: *Życie psiecka*



Noe jest właścicielem tego statku – tłumaczę dwuletniemu synowi koleżanki, nie wdając się w biblijne szczegóły. Kto by przewidział, że na naszym sekularyzującym się kontynencie Arka Noego będzie wszechobecnym motywem zabawek dla dzieci? Nasza arka wydaje odgłosy zwierząt i mówi wierszyki, ale jest zupełnie bezcelowa, bo wszystkiego jest po jednym egzemplarzu. Jeden Noe, koń, krowa, żyrafa, słoń i lew. Projekt skazany na zagładę.

Pluszowa arka, którą widzieliśmy u znajomych, jest już bardziej zgodna z oryginałem, zawiera pary maleńkich pluszaków. Tylko Noego brak. Rozumiem jednak urok tej konwencji, pozwala połączyć zwierzęta egzotyczne i domowe w jednej zabawce, jak nic innego. I tak biblijny mit wylądował w każdym niemal sklepie z zabawkami jako milusi zwierzyniec. Właściwie czemu nie? I tak już był z recyklingu, gdy trafił do naszej świętej księgi.

Oprócz arki, w produktach dla dzieci natrętnie występuje świnka taplająca się w błotku. Tego już nie rozumiem i o ile sobie przypominam, sama nigdy nie widziałam świnki radośnie tarzającej się w błotnistej kałuży. Tymczasem w książeczkach dla dzieci nie można się od nich opędzić. Bardziej realistyczne byłoby, gdyby nasze miejskie dzieci poznały kota, psa, gołębie i szczury oraz ewentualnie kaczki i łabędzie, bo są w parku. Rozumiem jednak, że gdzieś zostało postanowione, iż na tym etapie życia trzeba poznać katalog zwierząt bliskich naszym przodkom i zgłębić odgłosy całego atlasu zwierząt.

Gdy zdarzy mi się zająć czymś innym niż dziecko i gdy nie muszę od szóstej rano wielokrotnie śpiewać tej samej piosenki o pająku, którego deszcz wypłukał z rynny, w wieściach z matczyzny dociera do mnie, że dzieci i zwierzęta są na kolizyjnym kursie. Według uczestników Marszu Niepodległości i prawicowych publicystów, posiadanie przez kobiety psa lub kota zagraża demografii. Albo masz psiecko, albo dziecko – zdają się uważać.

Winne są oczywiście bezdzietne kobiety, nie mężczyźni. Nawet na okładce „Polityki” umieszczono kobietę z pustym becikiem. I macie odpowiedź, w czym problem: jeśli kobieta sama ma się tym dzieckiem zajmować, to może go wcale nie chcieć mieć. Jeśli miałaby mieć je sama, to by się na to przygotowała. Gorzej mieć dziecko z pozorem obecności ojca, który potem albo znika i nie wywiązuje się z alimentów, albo okopuje się w pracy lub męskiej roli, która nie pozwala mu zająć się dzieckiem, domem czy kuchnią.

Demografowie zresztą mówią, że Polacy chcą mieć dzieci i mają je, gdy stworzą parę. Tylko trudno im stworzyć pary, bo kobiety i mężczyźni mieszkają gdzie indziej i myślą inaczej. A gdy już mają dziecko, to kobiety po jednym mają dość, inaczej niż mężczyźni. I to właśnie zapewne wskazuje, czyim kosztem ma się dzieci.

Tak, to ostatecznie kobiety angażują w posiadanie dzieci swoje ciało, zdrowie i kawał życia. Moje życie dziecko też zmieniło nieproporcjonalnie bardziej, mimo sytuacji dość luksusowej: świetnie gotującego ojca dziecka, który może wrócić z pracy, żeby zrobić i zjeść ze mną obiad. Nie bywam sama z niemowlęciem bez przerwy przez 10 godzin. Ale i tak, gdy zdarzyło mi się jedno trudniejsze popołudnie, zastanawiałam się na serio, jak to się stało, że gniew młodych matek zostawionych samych w domach z niemowlętami nie podpalił jeszcze świata.

Gdzie tu zatem wina psów i kotów? Wina wyobrażona przez ludzi, którzy nie mają chyba pojęcia o tym, jak wygląda życie ze zwierzakiem i opieka nad nim. O tym, że opieka nad zależnym od ciebie życiem, które trwa kilkanaście do dwudziestu lat, ćwiczy ten sam mięsień troski, czułości i rezygnacji ze swoich planów, który przydaje się przy dzieciach. A przebywanie z psem czy kotem wyrabia umiejętność komunikacji z niewerbalnym ssakiem, bardzo przydatną przy niemowlaku. Ba, dzieci szybciej się usamodzielniają.

Nie wiedziałam jeszcze, jak bardzo to prawdziwe, kiedy do rozmów koleżanek o dzieciach wtrącałam się komentarzem: „To zupełnie jak Bluma”. Co poradzić, podobieństwa się narzucały, nawet jeśli było im to nie w smak. Bo Bluma była kotką. Zgarniętą z jerozolimskiego ulicznego śmietnika, charakterną towarzyszką trzynastu panieńskich lat mojego życia. Neurotyczna, agresywna wobec obcych i z czasem coraz cięższej chora, co pochłaniało w kryzysowych momentach spore sumy. Życie z nią obnażało wiele moich wad i zalet, gdy chodzi o odpowiedzialność za drugie życie.

Gdy zostałam matką, któraś z koleżanek spytała, czy nie wstrząsnęło mną to, że trzymam w ramionach życie, za które jestem odpowiedzialna. Długo myślałam o tym, dlaczego nie. Chyba właśnie dlatego, że rozmaite psie i kocie życia, porzucone przez innych, przyjęte u nas i ukochane, trzymałam w ramionach od dziecka. Czasem musząc podjąć też trudne decyzje w obliczu cierpienia i chorób. Czuję w sobie mięsień czułości i troski, który wtedy wyćwiczyłam, gdy dziś pielęgnuję innego bezradnego, niewerbalnego ssaka. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

O. WACŁAW

Oszajca:
Błogosławieństwo czasu



Jezus powiedział do uczniów, że jeszcze za ich życia spełni się wszystko, o czym im mówił. Zastrzegł jednak, że o tym, kiedy dokładnie to się stanie, „nikt nie wie: ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec". Nie pierwszy to raz, kiedy Jezus czegoś nie wie, nie może, przed czymś ucieka. Matce synów Zebedeusza, proszącej Jezusa o intratne stanowiska w Jego królestwie, odpowiedział: „Nie do Mnie należy przydzielić miejsce po mojej prawej i lewej stronie. Zajmą je ci, dla których mój Ojciec je przygotował". Kłócący się z bratem o spadek, i chcący w ten spór wciągnąć Jezusa, usłyszał: „Człowieku, któż Mnie ustanowił sędzią albo rozjemcą nad wami?". Jezus wiedząc, że przeciwnicy czyhają na Jego życie, gdy „nie mógł już jawnie wejść do Miasta (...) przebywał w miejscach ustronnych". To wszystko jest jednak niczym wobec ostatnich słów wypowiedzianych przez Niego na ostatnim oddechu: „Boże mój, Boże mój, czemuś Mnie opuścił?".

Od tamtego czasu nie jedno pokolenie już przeminęło i można by powiedzieć, że obietnice Jezusa się nie ziściły, gdyby nie następne zdanie: „Niebo i ziemia przeminą, ale moje słowa nie przeminą". Mówiąc to, Jezus przesuwa spełnienie swoich, a tym samym Ojca, obietnic poza granice wyznaczane przez czas i przestrzeń. W tym splątaniu możliwego z niemożliwym dowiadujemy się, kim jest Jezus z Nazaretu, a tym samym, kim my jesteśmy. Jezus widzi i wie tyle, ile widzi i wie każdy z nas, ale coś jeszcze. Jezus wierzył, że we wszystkim, co się tutaj dzieje, dzieje się nieskończenie więcej niż jesteśmy w stanie ogarnąć i opowiedzieć.

„Mój Ojciec działa aż dotąd – mówi Jezus – i Ja działam (...). Ręczę i zapewniam was, Syn sam od siebie nie mógłby nic czynić, gdyby nie widział, że czyni to Ojciec; cokolwiek bowiem On czyni, to i Syn czyni podobnie. Bo Ojciec miłuje Syna i ukazuje Mu wszystko, co sam czyni, i – dla zadziwienia was – ukaże Mu dzieła jeszcze większe niż te". A skoro Ojciec Jezusa jest naszym Ojcem, to znaczy, że nasza niepewność jutra nie powinna nas przerażać – jesteśmy w dobrych rękach. Dlatego słowa Jezusa: „Czuwajcie, bo nie wiecie, którego dnia przyjdzie wasz Pan!" można odczytać jako zachętę: nie czekajcie, Ja Jestem i działam. Współdziałajcie ze Mną. Czas działa na waszą korzyść. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Spojrzenie



W Liturgii minionego tygodnia najbardziej uderzyło mnie jedno zdanie – z ewangelicznej perykopy opisującej spotkanie Jezusa z Zacheuszem (Łk 19, 1-10). I ja, i wy – wszyscy czytaliśmy ten tekst wielokrotnie, znamy go niemal na pamięć. A jednak jeden szczegół (prawdziwy „okruch") okazał się dla mnie zdumiewający i inspirujący. Chodzi o zdanie: „Gdy Jezus przyszedł na to miejsce [tzn. pod sykomorę, na którą wspiął się Zacheusz], spojrzał w górę i rzekł do niego: Zacheuszu, zejdź prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu" (w. 5).

Zdumienie przyszło ze sformułowaniem „spojrzał w górę". W greckim tekście występuje tu słowo *anablepō*. Może ono oznaczać: „patrzeć w górę" (jest to piękne, że nie patrzy na publicznego grzesznika „z góry" – jak większość świadków wydarzenia). Nieco dalszy kontekst podpowiada jeszcze inne tłumaczenie. Chodzi o poprzedzające bezpośrednio naszą perykopę spotkanie Jezusa z niewidomym pod Jerychem (zob. Łk 18, 35-43). Jezus go pyta: „Co chcesz, abym ci uczynił?". A ten odpowiada (dosłownie): „Panie, żebym widział znów" (grec. *hina anablepō*). Z tym tłumaczeniem zgadzają się wszyscy komentatorzy: ten człowiek kiedyś widział, i stracił wzrok. Nic dziwnego, że nosi w sobie dramatyczne pragnienie, by go odzyskać: chce widzieć ponownie! Jeśli tak, to być może także w przypadku spotkania Jezusa z Zacheuszem użyte przez Łukasza słowo *anablepas* można tłumaczyć: „spojrzał [na niego] ponownie"?

Już go kiedyś widział? No bo jak to jest, że zwraca się do niego po imieniu: „Zacheuszu, zejdź prędko"? Tekst nie sugeruje, że ktokolwiek zdążył poinformować Jezusa, kto wdrapał się na mijaną sykomorę... A może mamy tu do czynienia z sytuacją podobną do tej, którą św. Jan opisał w pierwszym rozdziale swojej Ewangelii, gdy Jezus mówi do spotkanego po raz pierwszy w życiu Natanaela: „Widziałem cię pod drzewem figowym" (J 1, 48).

Czy nie jest to naszym powszechnym doświadczeniem? Przeżyć moment, kiedy mamy poczucie, że Jezus od nowa na nas patrzy? Jeszcze raz spojrzał na mnie! Co za szczęście! Jaki wybór! Jakie zaufanie! Tak. Jezus „widział" Zacheusza pewnie wiele razy, ale teraz daje mu poczucie, że patrzy na niego jeszcze raz. I tym nowym spojrzeniem stwarza go na nowo: nawraca, powołuje i posyła. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.



GRZYBOWSKI / EAST NEWS

ESEJ

TISCHNER NA DZIŚ

Nie stworzył szkoły, nie zbudował systemu, nie opracował nowej metody myślenia. Jego sposób filozofowania jest nie do powtórzenia. Co więc zostało z myśli krakowskiego filozofa dramatu?

ARTUR SPORNIAK

W jednym z wykładów żartował, że zostanie po nim kilka dowcipów. Rzeczywiście, był przednim kawalarzem. Trudno nie wspominać tych niezwykłych chwil.

Wczesne lata 90. XX wieku. Wysoka amfiteatralna sala Kolegium Witkowskiego UJ co wtorek o 18.00 zapełniała się słuchaczami do ostatniego schodka. Ks. Józef Tischner prowadził wykład monograficzny o filozofii dialogu. Na jednym z nich mówił o Lévinasie – że w jego filozofii ważną rolę odgrywa słowo *jouissance*. Stwierdził, że na polski nie da się go precyzyjnie przetłumaczyć, bo oznacza coś pomiędzy przyjemnością a radością. Chwilę się zastanawiał. Aż pojawiła się ta zawadiacka mina... „Ale da się go przetłumaczyć na góralski" – powiedział i zagwizdał na palcach. Gdy ucichła salwa śmiechu i brawa, kontynuował wykład: „Wyobraźcie sobie juhasa pasącego owce i tak sobie gwiżdżącego na hali. To właśnie jest *jouissance*".

Ukryty skarb

Takim go pamiętamy. Ale co było dla niego naprawdę ważne? Chciał być zapamiętany rzeczywiście jako kawalarz? Mądry ksiądz z telewizji? Świetny publicysta komentujący na tych łamach wydarzenia czasu transformacji? Kaznodzieja i rekolekcjonista?

Gdyby móc go dziś zapytać, co ważnego nam zostawił, spodziewam się, że odpowiedziałby: filozofię dramatu. We wstępie do ostatniej filozoficznej książki – „Sporu o istnienie człowieka" opublikowanego w 1998 r., na dwa lata przed jego śmiercią – wprost mówi, że poświęcając czas publicystyce, a nie filozofii, przypominał ogrodnika, który kopał obok ukrytego skarbu.

Spróbujmy zatem ten skarb tischnerowski pokazać. Skoro jednak jego wartość była kwestionowana przez niektórych filozofów już w tamtych czasach, pojawią się też tu inne postacie.

Ale najpierw kontekst. Filozofia dramatu powstawała w latach 80. XX wieku. To był niezwykły czas dla myśli filozoficznej w Krakowie. W 1981 r. Jan Paweł II z kościelnego Wydziału Teologicznego utworzył Papieską Akademię Teologiczną. Władze PRL nie zaakceptowały tej decyzji, uważały, że Kościołowi powinny wystarczyć dwie istniejące katolickie uczelnie: lubelski KUL i warszawska ATK. Krakowska PAT mogła zatem działać tylko w ramach Kościoła – w przestrzeni publicznej był na nią zapis cenzorski. Skutkowało to m.in. tym, że gdy jej pracownicy naukowi publikowali w oficjalnych periodykach, pod ich nazwiskami zamiast afiliacji uczelnianej pojawiał się kwadratowy nawias z informacją: „Ustawa o kontroli publikacji z dnia...". Władze uczelni nie mogły także wywieszać na zewnątrz budynków żadnych tablic informacyjnych.

Tylko wtajemniczeni zatem wiedzieli, że do nieco zrujnowanego po trzydziestu latach funkcjonowania jako pustostan poaugustiańskiego klasztoru na krakowskim Kazimierzu wprowadził się Wydział Filozoficzny PAT.

Narnia na Augustiańskiej

Przekraczając te średniowieczne mury i wchodząc na krużganki z pozostałościami renesansowych fresków, wstępowało się do innego świata. Przypominało to trochę szafę z Narnii – tu nic myśli nie krępowało, oddychało się innym powietrzem (choć panował przenikliwy chłód, bo grube mury nie dawały się łatwo ogrzać).

W PAT dominowały wtedy dwa ośrodki twórczej myśli odzwierciedlające pluralizm obecny w filozofii w ogóle. Pierwszy tworzył zajmujący się filozofią nauki tandem Heller-Życiński i skupieni wokół obu uczonych sympatycy. Centralną postacią drugiego był ks. Józef Tischner, którego rozgłos z roku na rok wzrastał, co sprawiało, że jego krąg słuchaczy także się poszerzał.

Oba filozoficzne obozy charakteryzowały różne podejścia do filozofii. Księża Michał Heller i Józef Życiński cenili ścisłość wyrażania się i precyzję myśli. Ich podejście streszcza tytuł jednej z książek Życińskiego: „Język i metoda". Ks. Tischnera natomiast interesował świat wartości, ujawniający dramatyczny charakter ludzkiego losu. Używał języka swobodnego, zdarzało się, że wywód budował na skojarzeniach, często odwołując się do metafor, co niektórych gorszyło. Ale między tymi grupami nie było napięć, a tym bardziej wojny. Tischner robił swoje, specjalnie nie oglądając się na kolegów z Wydziału Filozoficznego. „Ścisłowcy" z ciekawością mu się przyglądali, dziwiąc się, skąd takie zainteresowanie filozofowaniem w „literackim" stylu. ↦

Józef Tischner, 1997 r.

↦ Poza środowiskiem PAT byli też tacy, którzy otwarcie kwestionowali wartość filozofii Tischnera.

Jak filozofować

Prof. Jerzy Perzanowski był logikiem, metodologiem i kognitywistą, który zasłużył się dla polskiej filozofii m.in. tym, że wprowadził nazwę „kognitywistyka" na interdyscyplinarne badania poznawczych funkcji umysłu, czyli tego, co po angielsku określane jest jako *cognitive science*. Miał świetne filozoficzne referencje, gdyż był uczniem Izydory Dąmbskiej, która z kolei terminowała u Kazimierza Twardowskiego, założyciela słynnej w świecie szkoły lwowsko-warszawskiej.

Pod koniec 1988 r. prof. Perzanowski zorganizował w Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego jednodniowe sympozjum „Jak filozofować?". Zgromadziło śmietankę krakowskich filozofów. Przed południem referaty wygłaszali „ścisłowcy", po południu „humaniści", m.in. Tischner, który w krótkim wystąpieniu przypomniał dwie wielkie metafory „początków filozofii": platońską jaskinię, wskazującą na możliwość iluzji, oraz metaforę złośliwego geniusza Kartezjusza, ostrzegającą przed możliwym zakłamaniem.

Dla Tischnera bardziej podstawową nieprawdą jest nieprawda kłamstwa i dopiero rozświetlenie relacji między człowiekiem a człowiekiem (ale też dialog filozofa z geniuszem kłamstwa i Bogiem prawdomówności) – czyli myślenie dialogiczne – „otwiera drogę do świata zewnętrznego". Tischner podsumował, że proponuje myślenie „z głębi metafory" (wielokrotnie zresztą już do tej formuły się odwoływał). Zatem – jak łatwo zauważyć – sprawy ludzkie, a nie badanie świata są dla niego najważniejsze.

W dyskusji po referatach Perzanowski dość bezpardonowo zaatakował Tischnera. „Osobiście bardzo podoba mi się, co Ksiądz mówił i do czego wzywał, ale czy wzywał do uprawiania filozofii?" – pytał i sugerował, że Tischnera można raczej nazwać mędrcem czy myślicielem, ale nie filozofem. „Wszyscy zgadzamy się, że filozof trudni się myśleniem. Niektórzy dopowiadali, że filozofować trzeba w sposób jasny i odpowiedzialny, że muszą być spełnione pewne warunki metodologiczne. Ksiądz Profesor Tischner mówił, że jego myślenie jest z wnętrza metafory, nie przedstawił jednak żadnych postulatów metodologicznych. Czy produkt takiego myślenia, nawet odpowiedzialnego merytorycznie, będzie dziełem myśliciela, czy filozofa?".

Zaatakowanego wziął w obronę jego uczeń – Tadeusz Gadacz. Wskazał, że rzeczywistość ważna dla człowieka wymaga mniej ścisłego podejścia: „Zasadnicze pytania filozofii człowieka dotyczą szeroko rozumianego ocalenia, a to wymaga głębokiego myślenia i niezależnie od tego, jak ono dotyka religii, teologii, Objawienia itd., ma inny charakter niż wtedy, gdy rozwiązuje się problemy logiczne, formalne".

Ciekawa była odpowiedź samego ks. Józefa Tischnera. Nie bronił się. Zauważył tylko, że filozofia jest w kulturze nieprzerwanym strumieniem myślenia. „Oznacza to, że człowiek chcący być filozofem w jakiś sposób musi włączyć się w ten strumień". Zatem filozofa usprawiedliwia to, w którym miejscu filozoficznej tradycji się odnajduje i jak się określa wobec innych filozofów.

W którym miejscu zaczął filozofować sam Tischner?

Wędrówka z filozofami

Wiedzieliśmy, że twórca filozofii dramatu odwołuje się do Kartezjusza, któremu filozofia zawdzięcza zwrot ku podmiotowi. Żyjąc w burzliwych czasach XVII wieku, kiedy na śmierć i życie walczyły ze sobą dwie prawdy religijne – protestancka i katolicka, Kartezjusz poszukiwał pewności. Nie znalazł jej na zewnątrz, tylko w sobie, w podmiotowym doświadczeniu myślenia („myślę, więc jestem").

Na początku XX wieku do kartezjańskiego odkrycia nawiązał niemiecki filozof Edmund Husserl – twórca fenomenologii (z której ks. Tischner pisał doktorat i zrobił habilitację). Husserl zauważył, że nie tylko myślenie, ale także doświadczanie rzeczywistości w podmiotowym akcie poznania będzie nieomylne w granicach, w jakich samo „źródłowo się prezentuje" w świadomości. Ale żeby do tego źródłowego doświadczenia przedmiotów (a raczej ich fenomenów) dotrzeć, trzeba odrzucić wszystko, co jest balastem – wszelką uprzednią wiedzę o danym przedmiocie, a nawet jego istnienie. W tak oczyszczonej w świadomości samej treści przedmiotu pomijamy wszystko, co nieistotne, i docieramy (w tzw. redukcji ejdetycznej) do istoty przedmiotu.

Tischner szukał drogi ocalenia dla człowieka. Odnalazł ją u filozofów dialogu. Jego filozofia dramatu jest oryginalną odmianą filozofii spotkania.

Husserl był przekonany, że w ten sposób odkrywamy prawdy absolutne. Bez względu na późniejszą krytykę tej teorii ważne jest, że zawsze jesteśmy skazani na jakiś opis doświadczenia i byłoby pożądane, aby był on maksymalnie obiektywny, nawet jeśli jest doświadczany w subiektywnej świadomości. Dlatego też metoda fenomenologiczna nie straciła na aktualności, mimo że nigdy nie była całkowicie obiektywna i absolutnie pewna, jak łudził się Husserl.

Najbardziej wpływowym uczniem Husserla był Heidegger, który jednak szybko poszedł własną drogą. Zainteresował go sposób bycia podmiotu, i to nie tyle jako podmiotu poznającego, co egzystującego w świecie. Można się domyślić, że jeśli sam „podmiot" uczynimy „przedmiotem" fenomenologicznej analizy, to otworzymy puszkę z licznymi paradoksami. Heidegger niespecjalnie się tym przejął, zaczął po prostu eksperymentować z językiem. Podmiot to jest „bycie tu oto" *Dasein)*, rzucone w świat i zanurzone w czasowości – dotkliwie tego doświadczamy, zmierzając ku śmierci. Analizując te ludzkie „egzystencjały" (czyli istotne cechy *Dasein*), Heidegger stał się prekursorem egzystencjalistów.

Tischner zapożyczył od Husserla metodę fenomenologiczną, ale stosował ją bardzo swobodnie. Egzystencjaliści stali mu się bliscy ze względu na poruszaną tematykę (wolność, tragizm ludzkiego istnienia), ale nie odpowiadał mu ich pesymizm. Szukał drogi ocalenia dla człowieka. Odnalazł ją dopiero

u filozofów dialogu, zwłaszcza u Lévinasa – i dopiero wśród nich poczuł się jak u siebie. Oni pokazali, że to, co istotne, dzieje się w spotkaniu/dialogu dwóch podmiotów. Tak dochodzimy do filozofii dramatu – tischnerowskiej odmiany filozofii spotkania.

Filozofia dramatu

W 1950 r., czyli w czasach głębokiego stalinizmu, metropolita krakowski książę kardynał Adam Sapieha zlikwidował zakon augustianów. Miał istotny powód – prowincjał wsparł nową władzę i zasilił szeregi księży patriotów. Mury klasztoru na Augustiańskiej w Krakowie były więc świadkami dramatu zdrady.

W latach 80. XX wieku za długą salą nad augustiańskimi krużgankami, zwaną aulą, w której wykłady głosił Tischner, znajdowała się mniejsza sala, gdzie odbywały się seminaria. Jej okna wychodziły na klasztorny ogród, a dalej – na majestatyczny kościół na Skałce. Według historycznych podań w tym miejscu w 1079 r. z ręki króla Bolesława Śmiałego zginął biskup krakowski Stanisław. Kolejny dramat w zasięgu wzroku.

Oba te miejsca znajdują się na Kazimierzu, przed wojną dzielnicy żydowskiej. Cały ten obszar to świadek trudnej do pojęcia tragedii Holokaustu.

Tischner, obcując z tymi miejscami, dotykał ludzkiego dramatu w różnym wymiarze. Ale nie tu zrodziła się jego filozofia, tylko po drugiej stronie krakowskich Plant, na ulicy Staszewskiego, w murach Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Można zaryzykować twierdzenie, że – paradoksalnie – nieco przypadkowo. W 1980 r. filozof otrzymał propozycję poprowadzenia tam wykładu monograficznego. Temat narzucił się sam – skoro wykład ma być w szkole teatralnej, postanowił popatrzeć na rzeczywistość przez pryzmat teatru.

„Być istotą dramatyczną znaczy: przeżywać dany czas, mając wokół siebie innych ludzi i ziemię jako scenę pod stopami" – pisze Tischner we wstępie do wydanej po raz pierwszy w 1990 r. „Filozofii dramatu". Do sceny mamy stosunek uprzedmiotawiający. A do innych ludzi? Krakowski filozof pisze zaskakująco: „Wbrew rozpowszechnionym poglądom nie widzę ich, nie słyszę, nie dotykam i w ogóle nie spostrzegam. To bowiem, co spostrzegam, jest tylko *zewnętrznością*, a nie człowiekiem jako człowiekiem, innym jako innym. Inny człowiek jako człowiek może pojawić się dopiero wtedy, gdy nie wykluczając całej »zewnętrzności« – stanie przede mną jako uczestnik mojego dramatu". Uczestnictwo w dramacie objawia istotę człowieczeństwa i wymaga całkiem innego otwarcia niż empiryczny stosunek do sceny.

Nawróceni na Tischnera

Jednym z bardziej zdumiewających owoców filozofowania Józefa Tischnera było to, że jego filozoficzni adwersarze zaczęli w końcu sami uzasadniać perspektywę, z której patrzył na rzeczywistość.

Jednym z nich był Alfred Gawroński (zmarły w 2021 r.), filozoficzny samouk i wnikliwy krytyk Tischnera. Urodził się we włosko-polskiej rodzinie. Jego ojciec, Jan Gawroński, był polskim dyplomatą, mama, Luciana Frassati, to siostra niedawno kanonizowanego przez Leona XIV Pier Giorgia Frassatiego. Dziadek ze strony matki zakładał jeden z najważniejszych włoskich dzienników – „La Stampa".

Potrafił przetłumaczyć na góralski trudne pojęcia filozoficzne, jak Lévinasa „jouissance". **Czym wzbudzał na wykładach powszechną wesołość.**

Gawroński kupił kiedyś przypadkowo w Rzymie antologię tekstów brytyjskiej filozofii analitycznej. Stał się jej niestrudzonym propagatorem – zwłaszcza w późnej wersji, zajmującej się językiem potocznym. Publikował na ten temat w Polsce już w latach 70. – były to jedne z pierwszych artykułów o filozofii lingwistycznej, która problemy filozoficzne próbuje rozwiązywać poprzez analizę języka. Z tekstów tych powstała opublikowana w 1984 r. bardzo dobrze w środowisku przyjęta książka „Dlaczego Platon wykluczył poetów z Państwa?" (gdy Gawroński przygotowywał się do kolokwium doktoranckiego na Uniwersytecie Warszawskim, jedna z profesorek, nie zwracając uwagi na jego nazwisko, poleciła mu lekturę jego własnej publikacji).

Końcowy rozdział książki Gawrońskiego zatytułowany jest „Zmierzch formacji kartezjańskiej". Autor wykazuje liczne błędy w analizach Kartezjusza, zwłaszcza u Husserla. Niemiecki filozof zignorował fakt, że dążąc do czystej świadomości cały czas posługuje się językiem, który przecież zawiera w sobie silną kategoryzację rzeczywistości, więc czysta świadomość jest utopią. Dostaje się też Tischnerowi, głównemu w Polsce przedstawicielowi formacji kartezjańskiej.

Na początku lat 90. u Gawrońskiego następuje ciekawa wolta. W periodyku „Znak Idee" (4), tym samym, który publikował materiały z sesji „Jak filozofować?", znalazł się jego artykuł „Kształcenie filozoficznej wizji". Tekst ten opublikowany został na końcu numeru, świetnie puentując spory z auli Collegium Novum UJ.

Gawroński doszedł do wniosku, że w filozofii zawsze mamy do czynienia z dwoma źródłami poznania: refleksją i wynikającą z niej racjonalną argumentacją oraz z jakąś wizją rzeczywistości, czyli „wykształconą umiejętnością dostrzegania tego, czego człowiek nie wyrobiony zobaczyć nie potrafi". Autor zauważa, że wiąże się z tym inna strategia uzasadniania „odwołująca się do obrazów i modeli rzeczywistości narzucających się przez swoją oczywistość".

Ks. Michał Heller, kontynuując tę refleksję w artykule „Przeciw fundacjonizmowi", powie, że każda propozycja filozoficzna zbudowana jest ze składowej „hermeneutycznej" i składowej „analitycznej". Filozofie różnią się różnymi proporcjami tych składowych.

Pisząc to, obaj zapewne mieli na myśli Tischnera, choć żaden z nich o nim nie wspominał. Ale ich rozróżnienia doskonale uzasadniają jego filozofię.

Wizja

Tischner nie stworzył szkoły, nie zbudował systemu, nie opracował nowej metody myślenia. Jego sposób filozofowania jest nie do powtórzenia, gdyż wrażliwość, która się za nim kryje, była zbyt oryginalna, a kunszt literacki zbyt wielki. Co zatem zostało? Wizja. Dająca wiele do myślenia. ©℗ ARTUR SPORNIAK



DOMENA PUBLICZNA

Prezydent Finlandii Carl Mannerheim (pośrodku w mundurze) odwiedził synagogę w Helsinkach, aby oddać hołd poległym żołnierzom narodowości żydowskiej. 6 grudnia 1944 r.

Żydowskie Żelazne Krzyże

ALEKSANDER R. MICHALAK

FINLANDIA | Żydzi walczący podczas II wojny światowej ramię w ramię z Niemcami? Owszem, taka sytuacja miała miejsce: broniąc swego kraju przeciw sowieckiej agresji, fińscy Żydzi za sojusznika mieli Wehrmacht.

Finlandia była jedynym demokratycznym sojusznikiem Hitlera. Nie przystąpiła co prawda do paktu trzech (Niemcy-Włochy-Japonia), ale podpisała pakt antykominternowski i dzieliła z Wehrmachtem wysiłki w wojnie z Sowietami, a na jej terenie przebywało ok. 200 tys. niemieckich żołnierzy – choć nie od początku wojny.

Była też jedynym sojusznikiem III Rzeszy, gdzie nie było antyżydowskich ustaw. Nie było tu Holokaustu – Niemcy nie zamordowali żadnego spośród fińskich Żydów. Niemiecki ambasador w Helsinkach z goryczą donosił Berlinowi, że żadna organizacja polityczna – poza niszowymi wyjątkami – nie ma w programie haseł antyżydowskich.

KONTEKST | W przedwojennej Finlandii mieszkało 2 tys. Żydów. Wiodło im się dobrze, choć ostatnio niektórzy fińscy badacze próbują udowadniać, że ich kraj nie był wolny od antysemityzmu.

Jako przykład podaje się Abrahama Tokaziera: w 1938 r. ten Fin żydowskiego pochodzenia wygrał minimalnie (przed trzema innymi zawodnikami) bieg na stadionie w Helsinkach. Jednak sędziowie przyznali mu czwarte miejsce – zapewne chcieli przypodobać się przedstawicielom III Rzeszy wśród publiczności.

Zdarzenie to przypomniano w 2013 r., gdy opisał je pewien fiński pisarz. W efekcie Stowarzyszenie Sportów Amatorskich przeprosiło rodzinę Tokaziera i przyznało, że to on wygrał.

Fińscy badacze mają pełne prawo odbrązawiać swoją historię. Ale na tle przedwojennej Europy niewątpliwie Finlandia należała do tych krajów, gdzie antysemityzm był znikomy.

WOJNA ZIMOWA | W 1939 r., gdy Finowie gotowali się już na sowiecki atak, żydowski komitet w Helsinkach zebrał pół miliona fińskich marek i przekazał ministrowi obrony jako wkład w obronę kraju.

Służba wojskowa była tu obowiązkowa dla wszystkich mężczyzn. Fińscy Żydzi czy też Finowie żydowskiego pochodzenia (rozgraniczenie często jest trudne), w liczbie 260 żołnierzy, walczyli w wojnie zimowej na przełomie 1939-40 r. przeciw Armii Czerwonej. Podczas tej kampanii Niemcy, związane paktem Hitler-Stalin, zachowały jeszcze neutralność.

W wojnie zimowej, która zaczęła się 86 lat temu, 30 listopada 1939 r., Finowie stawili twardy opór, a dla fińskich Żydów udział w obronie ojczyzny był istotny. Jeden z nich mówił: „Wojna zimowa dała nam głębszą świadomość bycia Finami i przynależności do Finlandii, niż jakikolwiek wcześniejszy okres w naszej historii".

POLOWA SYNAGOGA | O ile udział w wojnie zimowej nie nastręczał fińskim Żydom problemów ideowych, inaczej było podczas tzw. wojny kontynuacyjnej z lat 1941-44. Wówczas to Finlandia, zaatakowana znów 25 czerwca 1941 r. przez Armię Czerwoną, najpierw odparła atak, a potem stała się sojusznikiem Niemiec.

Fińscy Żydzi kontynuowali walkę w szeregach armii, a wiele fińskich żydowskich kobiet należało do ochotniczej służby obrony. Podobnie zachowali się wtedy fińscy Tatarzy, Romowie, Lapończycy, a nawet fińscy Rosjanie.

Walcząc na froncie wschodnim w Karelii, Żydzi mieli tam polową synagogę; mieściła się w namiocie. Isak Smolar wspominał: „Spotykaliśmy się tam w każdą sobotę. Oficjalny rozkaz przychodził do wszystkich żołnierzy wiary mojżeszowej, przypominając im, że mają możliwość uczestniczyć [w modlitwie] poprzez uzyskanie zwolnienia ze służby na ten czas. Było wielu obecnych, których rzadko widywało się w synagodze w Helsinkach. Siedzieliśmy, czytaliśmy Torę i przeprowadzaliśmy pełne nabożeństwo".

Smolar wspominał, że w synagodze bywali fińscy oficerowie-luteranie, by okazać szacunek rodakom. Brakowało im jedynie rabina-kapelana. Niemcy byli świadomi istnienia synagogi – stacjonowali w okolicy. Nie dochodziło jednak do incydentów.

ODZNACZENIA | Jeden z fińsko-żydowskich żołnierzy, medyk Leo Skurnik, którego oddział walczył ramię w ramię z dywizją Waffen SS, ocalił wielu rannych Niemców. Ci przyznali mu Żelazny Krzyż. Skurnik odmówił. Za pośrednictwem swego dowódcy poprosił o wyjaśnienie Niemcom, że jest Żydem, i dodał: „Wycieram sobie tyłek Żelaznym Krzyżem". Rozwścieczeni Niemcy żądali wydania Skurnika, ale jego fiński dowódca odmówił.

Także fińska Żydówka Dina Poljakoff, sanitariuszka, która zajmowała się niemieckimi żołnierzami, otrzymała Żelazny Krzyż – i też go nie przyjęła. Jej kuzynka Chaje, także sanitariuszka na froncie, prowadziła album, w którym znalazły się liczne wpisy wdzięcznych za opiekę Niemców. W tym miłosny wiersz pewnego Rudiego, zadedykowany *Meinem Liebling* (Mojemu Kochaniu).

Fińsko-żydowski oficer Salomon Klass doświadczył kurtuazyjnej wizyty niemieckiego pułkownika. Niemiec chwalił jego odwagę. W pewnym momencie zwrócił uwagę na niemczyznę Klassa, która przypominała mu tę z krajów bałtyckich. Klass powiedział o swoim pochodzeniu i znajomości jidysz, który wyewoluował ze średniowiecznej niemczyzny. Niemiec podał mu dłoń i powiedział, że osobiście nie ma nic przeciw Żydom. Potem uniósł rękę, rzucił „*Heil Hitler!*" i opuścił namiot.

Jedno z rzadkich świadectw o negatywnym stosunku Niemców do żydowskich towarzyszy broni pochodzi od Salomona Steinbocka, oficera armii fińskiej. Jadał on w kantynie oficerskiej, gdzie stołowali się też Niemcy.

Zauważyli jego „żydowski wygląd" i oświadczyli Finom, że nie będą jeść razem z Żydem. Fińscy koledzy Steinbocka odparli, że Niemcy mogą zatem pójść zjeść na zewnątrz. Steinbock był poruszony tą solidarnością kolegów.

WIZYTA | Pozostając sojusznikiem Niemiec w walce z Sowietami aż do lata 1944 r. (wtedy Helsinki zawarły rozejm z Moskwą), Finowie byli zależni gospodarczo od Niemiec – w kwestii dostaw ziarna. Bez niego doszłoby do głodu. Dla Niemców dostawy były też narzędziem politycznego nacisku.

III Rzesza interesowała się ludnością żydowską w Finlandii, podobnie jak interesowała się nią wszędzie w Europie. Jeden z uczestników konferencji w Wannsee ze stycznia 1942 r., gdzie podjęto decyzję o „ostatecznym rozwiązaniu", pisał do ambasadora w Helsinkach, że ten powinien prowadzić działalność uświadamiającą Finów, iż walka przeciw bolszewizmowi jest tożsama z walką przeciw „żydostwu".

Fińscy Żydzi mieli też powody do obaw, gdy w lipcu 1942 r. Finlandię odwiedził Heinrich Himmler. Był to czas, gdy polscy Żydzi ginęli już masowo w Bełżcu i Sobiborze. Szef SS miał podczas tej wizyty wyrazić „zainteresowanie" ludnością żydowską w Finlandii.

Ówczesny fiński premier Johan Wilhelm Rangell twierdził po wojnie, że pytany o sytuację Żydów, miał odpowiedzieć wtedy Himmlerowi:

„W Finlandii jest około dwóch tysięcy Żydów – porządnych rodzin i ludzi, których synowie walczą w naszej armii tak jak reszta Finów, i którzy są równie szanowanymi obywatelami jak cała reszta. *Wir haben keine Judenfrage*" [U nas nie ma czegoś takiego jak kwestia żydowska – red.].

Nie ma pewności, czy Rangell rzeczywiście odpowiedział tak kategorycznie. Jednak faktem jest, że fińscy Żydzi nie byli niepokojeni.

WYDANI | Inaczej sprawa miała się z żydowskimi uchodźcami z innych państw, którzy schronili się w Finlandii. Niemcy żądali ich wydania, razem z innymi poszukiwanymi uchodźcami.

W 1942 r. fińska policja, mając zgodę szefa MSW, przekazała Gestapo grupę 27 uchodźców różnych narodowości, obywateli Związku Sowieckiego i Estonii. Wysłano ich statkiem do Tallinna. Było wśród nich ośmioro Żydów (część z nich była oskarżona o drobne przestępstwa kryminalne). Tylko jedna osoba przeżyła wojnę.

Deportacja miała zostać utrzymana w tajemnicy, ale wiadomości o tym dotarły do fińskiego społeczeństwa i zostały przyjęte negatywnie. Wielu duchownych i polityków ją potępiło. Niemiecki ambasador słał alarmujące raporty, że może to źle wpłynąć na relacje obu państw, i że pozycja proniemieckiego szefa MSW jest zagrożona. Decydenci odpowiedzialni za deportację zarzekali się, że ich decyzja nie miała przesłanek rasowych.

Więcej takich akcji nie było, a ze 150 żydowskich uchodźców przyznano fińskie obywatelstwo 110 osobom – wyjątkowy gest wśród krajów współpracujących z Hitlerem.

Finowie wydawali za to Niemcom jeńców sowieckich, wśród których było co najmniej 79 Żydów. Nie wydawano ich z powodów rasowych, choć odpowiedzialni za to mogli mieć świadomość, co ich czeka.

6 listopada 2000 r., w 58. rocznicę deportacji ośmiorga Żydów, premier Paavo Lipponen zwrócił się do społeczności żydowskiej z prośbą o wybaczenie.

PÓŹNIEJ | Na wojnie z Sowietami poległo 23 fińskich Żydów. Podczas obchodów Dnia Niepodległości 6 grudnia 1944 r. Carl Mannerheim, prezydent i naczelny wódz, odwiedził synagogę w Helsinkach i złożył wieniec ku ich czci.

Po wojnie ocalała w Europie społeczność żydowska patrzyła z niechęcią na fińskich weteranów, uznając, że dopuścili się zdrady wobec tych Żydów, którzy zginęli. Szczególnie krytyczni byli Żydzi z Norwegii, okupowanej przez Niemców, gdzie zginęła bardzo duża część społeczności żydowskiej.

Finowie, w tym fińscy Żydzi, walcząc ramię w ramię z Niemcami, wiedzieli o deportacjach Żydów i radykalnym antysemityzmie III Rzeszy, ale nie mieli wiedzy o ludobójstwie. Po wojnie fińscy Żydzi wyjaśniali, że lojalnie bronili kraju przeciw wspólnemu wrogowi – Związkowi Sowieckiemu. Podobnie argumentowali politycy i społeczeństwo.

Finlandia nie ma swoich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata – choć są informacje, że fińscy chłopi na północy ukrywali norweskich Żydów, którzy przekroczyli granicę. Fińscy historycy wciąż spierają się o ocenę swego rządu podczas tej wojny. Jednak, niezależnie od ich ocen, pozostaje faktem, że – poza poległymi na froncie – społeczność fińskich Żydów w całości przetrwała czas Zagłady. ©

NAUKA

TECHNO-TYRAN NADAL CHCE NAS ZBAWIĆ

Jego Microsoft skomputeryzował świat, jego fundacja go zaszczepiła. Od dekady ostrzegał przed zmianami klimatycznymi. Czy Bill Gates, najbardziej wpływowy człowiek ostatniego półwiecza, przeszedł do obozu populistów?

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI



Do ogłoszenia kolejnego wielkiego triumfu Donald Trump wybrał swoją ulubioną platformę. „Ja (MY!) wygraliśmy wojnę z klimatycznym oszustwem. Bill Gates w końcu przyznał, że całkowicie się mylił w tej kwestii. Wymagało to odwagi i za to wszyscy jesteśmy wdzięczni" – napisał amerykański prezydent na Truth Social. W ten sposób w świat poszła wiadomość, że założyciel Microsoftu i jeden z najsłynniejszych filantropów świata skapitulował.

Czy rzeczywiście Bill Gates w sprawie ochrony klimatu zmienił zdanie, a może – jak wielu innych bogaczy z Doliny Krzemowej – w imię biznesowych układów podlizuje się amerykańskiemu prezydentowi? Kiedyś to drugie nikogo by nie zdziwiło, bo Gatesa powszechnie uważano za korpodrapieżnika, który budując swoje imperium, bezwzględnie miażdżył konkurencję. Od przeszło 20 lat miliarder konsekwentnie budował jednak wizerunek filantropa i technokratycznego mędrca, którego słowa coraz chętniej chłonęli przywódcy państw, intelektualiści i dziennikarze. Teraz ta gładko zszyta opowieść mocno trzeszczy w szwach.

Zwrot klimatyczny

Memorandum, które Gates opublikował na swojej stronie internetowej z okazji szczytu klimatycznego COP30 w Belém, wywołało euforię Donalda Trumpa i innych klimatycznych płaskoziemców, ale także konsternację aktywistów i naukowców. Miliarder, który niegdyś wzywał świat, by „innowacjami wydostać się z katastrofy", teraz zdaje się obniżać poprzeczkę i przekonuje, że globalne ocieplenie „nie doprowadzi do zagłady ludzkości", a świat powinien koncentrować się na rozwoju i dobrostanie ludzi, a nie na celach temperaturowych czy emisyjnych.

W odpowiedzi klimatolog Michael Mann zarzucił mu naiwny technologiczny optymizm. Al Gore w wywiadzie dla „Guardiana" był znacznie dosadniej-



KATIE GODOWSKI / ASSOCIATED PRESS / EAST NEWS

Bill Gates przemawia podczas konferencji Clinton Global Initiative. Nowy Jork, 24 września 2024 r.

szy: „Gdy Trump został ponownie wybrany, Bill zwolnił większość swego zespołu klimatycznego, poszedł do Białego Domu, obsypał Trumpa pochwałami, a potem opublikował serię oświadczeń, które zszokowały wszystkich naprawdę zaniepokojonych kryzysem. Jedyną entuzjastyczną recenzję wystawił mu Trump. Może właśnie o to chodziło".

„To zupełne niezrozumienie mojego tekstu" – odpowiada Gates. Twierdzi, że nie zmienia stanowiska, a jedynie przesuwa akcenty, by podkreślić wagę walki z biedą, konieczność poprawy zdrowia publicznego i długofalowych innowacji technologicznych. Dla aktywistów miliarder stał się jednak tym, który przeszedł na ciemną stronę, choć jego megafundacja miała być szansą na lepszą przyszłość.

Niegdyś najbogatszy człowiek świata konsekwentnie i w dużej mierze skutecznie od 2000 r. budował wizerunek „dobrego miliardera". Człowieka, który swoją fortunę przeznacza na poprawę warunków życia najbiedniejszych. Gates Foundation, powołana przez niego i jego ówczesną żonę Melindę, dysponuje ponad 77 mld dolarów (to budżet wyższy niż PKB 113 państw świata). Wydaje pieniądze na walkę z biedą, chorobami i zmianami klimatu. Za działalność charytatywną na bezprecedensową skalę Gatesowie w 2005 r. otrzymali od magazynu „Time" tytuł ludzi roku.

Tyle że siwy geek w okularach ze szkłami grubymi jak denka od butelki, który opowiada o tym, jak bardzo troszczy się o ludzkość, to Bill Gates 2.0, a nie oryginał. Wielu młodszych czytelników ma prawo nie pamiętać, że jeszcze kilkanaście lat temu tego samego człowieka powszechnie uważano za diabła wcielonego.

Imperium z garażu

Zaczęło się od komputera w szkole. Rodzina przyszłego miliardera należała do lokalnych elit Seattle. Matka była energiczną liderką organizacji charytatywnych, ojciec znanym prawnikiem. W rodzinnych wspomnieniach powraca obraz chłopca skrajnie upartego, zamkniętego w sobie, reagującego na proste polecenia irytacją lub milczeniem. Gdy wylądował ↦

↦ u psychologa, ten miał doradzić rodzinie, by pozwoliła mu rozwijać zainteresowania i kierować własnym czasem.

Trafił do drogiej, prywatnej szkoły Lakeside. Było tam coś w latach 60. XX w. praktycznie nieosiągalnego dla nastolatków. Komputer. Rodzice uczniów zrzucili się na terminal Teletype i blok czasu na komputerze General Electric. To właśnie tam Gates poznał późniejszego wieloletniego wspólnika Paula Allena. I to właśnie w Lakeside chłopcy zaczęli programować. Szybko trafili jednak na barierę: limit czasu nałożony przez firmę udostępniającą szkole urządzenie. Więc chłopcy zaczęli ją obchodzić. A przy okazji szukali innych luk w zabezpieczeniach i analizowali systemy. Znaleźli sposób na obejście ograniczeń czasowych, ale to skończyło się zawieszeniem im dostępu. Gdy firma C-Cubed odkryła, że nastolatkowie potrafią wykrywać błędy lepiej niż jej własny zespół, zaproponowała im... współpracę. Odtąd mieli wyszukiwać usterki systemu w zamian za darmowy czas komputerowy.

Fundament rewolucji

Drogi Gatesa i Allena ponownie się skrzyżowały w 1975 r. Paul przerwał studia i pracował jako programista, natomiast Bill dostał się na Harvard, gdzie w równym stopniu co z pracowitości słynął z nocnych sesji pokera. Pewnego dnia Allen wpadł do niego z egzemplarzem „Popular Electronics", na okładce którego błyszczał Altair 8800 – pierwszy komputer osobisty. Obaj wiedzieli, że muszą coś z tym zrobić. Gates rzucił Harvard. Allen rzucił pracę. Założyli Micro-Soft (tak oryginalnie nazywała się ich wspólna firma). Chcieli razem zrobić „coś". Stworzyli imperium. Ich systemy operacyjne – najpierw MS-DOS, potem Windows – stały się *de facto* fundamentem, na którym zbudowano komputerową rewolucję lat 80. i 90.

Rewolucje oglądane „od środka" rzadko wyglądają jednak tak dobrze, jak w opowieściach ich zwycięzców. Wczesny Microsoft był w równym stopniu chaotyczny, ekscytujący i toksyczny. Gates potrafił do późna sprawdzać, kto jeszcze jest w pracy, a kto wyszedł „za wcześnie", a w soboty objeżdżał parking pod siedzibą firmy i zapamiętywał tablice rejestracyjne samochodów pracowników. A ci opowiadali później, że zarządzał nimi jak programista, który patrzy na ludzi jak na błędy w kodzie.

Monopolista

Jeden z najbardziej dramatycznych rozdziałów tamtej epoki dotyczył relacji Gatesa z Paulem Allenem. Choć to Allen przyszedł z pomysłem założenia firmy, a później negocjował dla niej pierwsze zlecenia, Gates zaczął przesuwać granice udziałów tak, by to on miał głos decydujący. Z pierwotnego układu 60:40 zrobiło się 64:36, czego Allen ponoć nigdy do końca mu nie wybaczył. Gdy w 1982 r. zdiagnozowano u niego chłoniaka, przypadkowo usłyszał, jak Gates z jednym ze współpracowników dyskutuje, jak pozbyć się go z firmy albo przynajmniej zmniejszyć jego udziały. Gates twierdził, że „nie pamięta tego w ten sposób", ale relacje świadków z tamtych lat sugerują, że nie była to jedyna sytuacja, w której potrzeba kontroli prezesa wygrywała nad lojalnością.

W latach 90. Gates był – bez wielkiej przesady – ucieleśnieniem całego zła sektora wysokich technologii. W popkulturze przedstawiano go jako cyfrowego tyrana, w prasie jako „najpotężniejszego monopolistę Ameryki", a w Dolinie Krzemowej uznawano za człowieka, który nie toleruje żadnych granic poza tymi, które sam sobie stawia.

Taka reputacja zapewne częściowo wynikała z zawiści. Microsoft rósł wtedy tak szybko, że wydawał się nie tyle firmą technologiczną, co żywiołem. Gates nie grał elegancko, budując swoje imperium i monopolistyczną pozycję Windows (Apple było na krawędzi bankructwa, a Linux był znany jedynie garstce zawodowców i maniaków). Brutalnie wycinał konkurencję dla swoich systemów operacyjnych, pakietu Office czy przeglądarki Internet Explorer.

W firmie funkcjonowało wtedy sformułowanie, które miało być jej całym *mission statement* (misją przedsiębiorstwa): „Embrace, extend, extinguish" (Przygarnij, rozwiń, wyeliminuj). Microsoft miał przyjmować cudze standardy, rozbudowywać je o własne, niekompatybilne funkcje, a potem, gdy użytkownicy byli już uzależnieni od zmodyfikowanej wersji, wypierać z rynku tych, którzy pierwsi je stworzyli. Na przykład podrzucając im świnię. Wystarczyło kilka fragmentów kodu, aby konkurencyjne oprogramowanie odpalone w Windowsach zaczęło wyświetlać ostrzegawcze komunikaty albo działać wolniej. Użytkownik nie wiedział, czy problem tkwi w jego komputerze, czy w firmie, która miała odwagę rzucić wyzwanie Microsoftowi.

W 1998 r. Departament Sprawiedliwości USA wytoczył firmie proces antymonopolowy. Gates nie zniósł tego dobrze. Podczas przesłuchań miliarder odpowiadał na pytania z wyraźną irytacją, sprawiając wrażenie człowieka, który nie potrafi przyjąć, że ktoś może go z czegokolwiek rozliczać. Wizerunek wybitnego programisty, który zbudował firmę w garażu, ustąpił miejsca obrazowi lidera, który stracił kontakt z rzeczywistością.

Z tortem na twarzy

To wtedy przytrafił mu się wypadek, który przypieczętował ten „imperialny" epizod w jego życiu. Podczas wizyty w Brukseli, gdy wysiadał z samochodu na spotkanie z przedstawicielami Komisji Europejskiej, niespodziewanie podeszło do niego trzech aktywistów. Jeden rzucił mu w twarz ciastem z bitą śmietaną. Chwilę później w okulary poleciało drugie. Potem trzecie. Całość trwała kilkanaście sekund. Chyba wystarczyło.

Nagranie pokazywało zaskoczonego miliardera, który nerwowo ociera oczy. Dla sprawców była to manifestacja, próba powiedzenia, że bogacz nie stoi ponad społeczeństwem. Jeśli proces antymonopolowy pokazał Gatesowi, że rząd Stanów Zjednoczonych może wymierzyć mu cios, to w Brukseli dowiedział się, że może to zrobić także zwykły obywatel. Tak, był potężny, ale nie był nietykalny.

Zapewne nie ma przypadku z tym, że wkrótce potem powstała jego fundacja, a on zaczął coraz częściej pojawiać się nie w laboratoriach Microsoftu, ale w salach konferencyjnych. Powoli wycofywał się z codziennego zarządzania firmą.

To podobno za podszeptem legendarnego inwestora Warrena Buffeta z technologicznego tyrana Gates postanowił się przeobrazić w globalnego dobroczyńcę. Decyzja ta mogła być jednak w równej mierze dyktowana względami etycznymi, co pragmatycznymi. Po dekadzie sądowych batalii, oskarżeń o praktyki monopolistyczne oraz ciosów wizerunkowych, Gates potrzebował nowej roli. Filantropia wydawała się roz-



STEVE SCHNEIDER / SIPA PRESS / EAST NEWS

Bill Gates i Paul Allen, założyciele Microsoftu, 1981 r.

wiązaniem idealnym. A do tego dawała mu coś jeszcze – możliwość działania na skalę nawet większą niż w roli prezesa Microsoftu.

Już w 2000 r. fundacja Gatesów zaangażowała się w tworzenie GAVI, globalnego sojuszu na rzecz szczepień. Prywatne pieniądze popłynęły na strategie poprawy zdrowia publicznego w skali, jakiej dotąd świat nie widział. Dla wielu państw w Afryce, Azji czy Ameryce Południowej Gates stał się architektem ich systemów zdrowotnych.

W kolejnych latach fundacja rosła jak wszystko, czego dotykał miliarder. Zaczęto mówić, że jej roczny budżet jest większy niż w WHO. A nazwisko Gatesa otwierało drzwi prezydentów, premierów, szefów agencji międzynarodowych.

Oczywiście, że nie wszystkim się to podobało. Krytycy zarzucali fundacji, że wspiera rozwiązania zgodne z logiką rynkową, nawet jeśli takie podejście nie zawsze służy interesowi publicznemu. Dziennikarze pytali, czy miliarder powinien decydować, jakie choroby są priorytetowe. Toczyły się debaty, czy fundacja nie przekształca globalnego zdrowia w wielką platformę projektów, wskaźników i „optymalizacji". Gates odpowiadał, że celem jest skuteczność, nie popularność.

Nie sposób jednak odmówić mu efektywności. Światowe wskaźniki zachorowań na polio, odrę czy rotawirusy spadały szybciej niż kiedykolwiek. GAVI, według własnych wyliczeń, uratowało miliony ludzi.

Niebezpieczny związek

Historia o odkupieniu techno-tyrana ma jeszcze jeden zwrot. Jeśli lata 2000–2015 były okresem wizerunkowej odbudowy Gatesa, to późniejsze śledztwa i publikacje pokazały, że filantropia, nawet na tak wielką skalę, nie wygumkuje błędów przeszłości. Jednym z najbardziej kontrowersyjnych wątków jest relacja miliardera z Jeffreyem Epsteinem. Nie chodzi jednak o to, że Gates został kiedykolwiek oskarżony o udział w przestępstwach Epsteina. Problem jest inny: Gates spotykał się z człowiekiem, który już wtedy był zarejestrowanym przestępcą seksualnym.

Gates poznał go około 2011 r., trzy lata po tym, jak Epsteina po raz pierwszy skazano za przestępstwa wobec nieletnich. Ich rozmowy dotyczyły – według wersji Gatesa – filantropii i możliwości pozyskania funduszy od ultrabogatych znajomych Epsteina na rzecz globalnych projektów zdrowotnych. Pedofil twierdził, że „ma dojścia". Melinda French Gates, wówczas jeszcze żona Billa, od początku miała być przeciwna tym kontaktom. Po latach przyznała, że jej sprzeciw wynikał z „intuicji moralnej" i „niezwykle niepokojącego pierwszego wrażenia", jakie zrobił na niej Epstein. Nie była jedyna.

Gdy w 2019 r. Epstein został aresztowany po raz drugi, a niedługo później znaleziono go martwego w celi, media zaczęły się przyglądać jego kontaktom, kalendarzom, listom lotów. Nazwisko Gatesa wypłynęło szybko i choć liczba spotkań nie była długa, to wystarczyło, by rozpętać burzę. Świat zadał sobie pytanie, jak to możliwe, że człowiek o takiej pozycji, takiej inteligencji i takiej wrażliwości na PR nie rozpoznał, że Epstein próbuje kupić sobie wiarygodność jego nazwiskiem?

Melinda w jednym z wywiadów powiedziała, że kontakty z Epsteinem były „czymś, czego nie mogła zaakceptować", i „powodem, który przyczynił się do rozpadu małżeństwa". Bill w 2021 r. przyznał, że „popełnił błąd", „żałuje spotkań" i „nie powinien był nigdy się z Epsteinem kontaktować". Nikt nie wie, czy to szczery żal, tak jak nikt nie wie, czemu uważał, że w ogóle Epsteina potrzebuje. A w rozwianiu wątpliwości nie pomaga, że byłe pracownice Microsoftu i fundacji zaczęły opowiadać o – szczerze mówiąc dość niezgrabnych – zalotach żonatego szefa. Melinda wystąpiła o rozwód, który został sfinalizowany w 2021 r., po 27 latach małżeństwa.

Trzecie zbliżenie z Trumpem

Memorandum przed COP30 to nie pierwszy raz, gdy Gates znalazł się w orbicie Donalda Trumpa. Po wyborach w 2016 r. Gates był jednym z miliarderów, którzy odwiedzili przyszłego prezydenta w Trump Tower. Po wyjściu stamtąd Gates mówił, że przyszły gospodarz Białego Domu to szansa na „nowe podejście do innowacji" i „na połączenie energii sektora prywatnego i rządu".

Trump natychmiast wykorzystał tę deklarację, mówiąc: „Bill naprawdę rozumie, co robię". W kolejnych miesiącach widzieli się jeszcze dwa razy. Trump ogrzewał się w powszechnej sympatii dla miliardera, a Gates – przynajmniej tak wynika z jego deklaracji – chciał zapobiec szkodom, jakie Trump może wyrządzić globalnym programom zdrowotnym i klimatycznym. Wydarzenia kolejnych lat pokazały, jak niewiele wskórał.

Teraz amerykański prezydent znów gra w tę samą grę. W sprawie memorandum klimatycznego Gatesa usiłował pokazać, że są po tej samej stronie. Głos miliardera nie przebija się jednak przez kakofonię poklaskujących Trumpowi zwolenników. A wkrótce sytuacja może się powtórzyć po raz trzeci w związku z planowanym ujawnieniem kolejnych dokumentów dotyczących Epsteina, gdzie oba nazwiska potężnego polityka i potężnego biznesmena znów mogą pojawić się obok siebie.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Poznajcie finalistów nagrody B( )NUS

TYGODNIK POWSZECHNY

Kilka tygodni temu ogłosiliśmy listę nominowanych do nagrody BONUS. Chcemy ją wręczyć osobom, które w przestrzeni publicznej stawiają na sens zamiast sensacji, na dialog zamiast podziałów, na budowanie wspólnoty zamiast jej rozbijania.

Dziś przedstawiamy **finałowe trójki w każdej z pięciu kategorii.** To dziennikarze i twórcy, społeczni liderzy i innowatorzy, którzy swoją pracą pokazują, że inny sposób mówienia o ważnych sprawach jest możliwy. Że można być wiarygodnym, nie rezygnując z pluralizmu. Że można być odważnym, nie padając ofiarą polaryzacji.

BONUS – tak właśnie po łacinie brzmi słowo „**dobry**" – to nagroda dla tych, którzy łączą zamiast dzielić, rozmawiają zamiast krzyczeć i tworzą przestrzeń porozumienia tam, gdzie najłatwiej o konflikt.

Pięć kategorii, pięć przestrzeni wspólnego dobra.

Finaliści w kategorii KULTURA

Wyróżniamy ludzi kultury, którzy przez swoją twórczość otwierają przestrzeń dla różnorodnych perspektyw, dla różnych głosów, żadnego nie uciszając, nie lekceważąc ani nie unieważniając.

DOROTA OGRODZKA – za budowanie w ramach spektakli i warsztatów teatralnych wspólnoty opartej na słuchaniu i wzajemnym uznaniu; za pokazywanie, że kultura może być narzędziem spotkania; za wrażliwość na drugiego człowieka, który jest w centrum procesu twórczego; za dzielenie się dobrymi praktykami poprzez wiele sieci współpracy.

DANIEL RYCHARSKI – za wprowadzanie sztuki współczesnej w przestrzeń wiejskiej codzienności, za wpływ, jaki jego prace mają na współczesną prozę, za włączanie osób LGBTQ+ w obręb Kościoła i za poważne traktowanie zarówno wiary, jak i praw mniejszości.

ARJUN TALWAR – za opowiadanie głosami imigrantów o Polsce, która nie jest krajem dwubiegunowym, albo spod znaku Marszu Niepodległości, albo Parady Równości; za oddawanie głosu zwykłym–niezwykłym ludziom, ich tęsknotom, przemianom i różnicom, które, jak się okazuje, aż tak bardzo nie dzielą.

Finaliści w kategorii MEDIA

Nagradzamy twórców mediów, którzy nie pogłębiają polaryzacji i odważnie stawiają na pluralizm i dialog. Którzy nie ulegają dyktaturze klikbajtu i sensacyjnych nagłówków. Którzy nie boją się wskazywać, że rzeczywistość jest złożona i taka właśnie pozostanie.

JAKUB DYMEK i **MARCIN GIEŁZAK**, autorzy podkastu „Dwie Lewe Ręce" – za pokazywanie, że posiadanie poglądów nie zamyka dyskusji. Za publicystykę, która przebija bańki, oraz za rozmowy o ideach, do których bieżące wydarzenia z życia politycznego Polski i świata są jedynie pretekstem. Za tworzenie medium, wokół którego zbiera się społeczność, ucząca się nawzajem dialogu i krytycznego myślenia.

JUSTYNA SUCHECKA – za dziennikarstwo pełne empatii, nadziei, wzajemnego zrozumienia i szacunku, w którym młodzi są podmiotem, a nie przedmiotem debaty publicznej. Za szukanie tematów, których inni nie potrafią dostrzec. Za bycie ambasadorką dzieci i młodzieży; za budowanie dialogu między pokoleniami.

KAROLINA WIGURA – za myślenie i publicystykę ponad stereotypami i podziałami politycznymi. Za opisywanie życia społecznego na przekór polaryzacji, łączące refleksję intelektualną i historyczną z empatią i szacunkiem. Za opisywanie rzeczy po ludzku najbliższych w taki sposób, który otwiera możliwość rozmowy.

Finaliści w kategorii DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA

Honorujemy tych, którzy przyczyniają się do budowania wspólnot i odbudowywania wspólnoty, których działania sprawiają, że nawet różniąc się gwałtownie, zaczynamy mieć chęć i przestrzeń na dialog.

PIOTR M. A. CYWIŃSKI – za bycie strażnikiem pamięci. Za to, że w dobie fake newsów, negacjonizmu, ale też holokaustowego kiczu pozwala mówić faktom, uznając zarazem z pokorą, że istnieje taki wymiar prawdy o Auschwitz, wobec którego słowa są bezradne. Za bycie wzorem służby publicznej: za to, że nawet będąc podwładnym ministrów, nie kieruje się doraźnymi interesami polityki historycznej polskiego państwa. Za przypominanie, że naszą wspólnotę – przekraczającą tożsamości narodowe, religijne, genderowe – łączą zobowiązania wobec Umarłych i Ocalałych.

ANNA KRAWCZAK – za bycie orędowniczką rodzinnej pieczy zastępczej jako mama zastępcza i adopcyjna, a także badaczka. Za rzecznikowanie najsłabszym – dzieciom w trudnych sytuacjach rodzinnych. Za bycie przykładem, za dodawanie sił i nadziei, ale też popularyzowanie rzetelnej wiedzy; za pokazywanie, że sprawy nigdy nie są tak proste, jak się wydaje. Za to, że jej głos, wyważony i oparty na faktach, stanowi wzór komunikacji, która łączy, a nie dzieli.

CECYLIA MALIK – za angażowanie siebie i nas w sprawy, które bolą, straszą i przejmują beznadzieją – jak zniszczone środowisko naturalne czy systemowa krzywda społeczna. Za akcję „Siostry Rzeki", podczas której w gronie dzieci, matek, babć, koleżanek, sąsiadek pokazuje, że rzeki są naszym obywatelskim dziedzictwem i zasobem. Za jej sztukę – w działaniu krytyczną, a przy tym radosną i afirmatywną. Za nazywanie kryzysu, przy równoczesnym przekonywaniu, że razem możemy naprawić świat.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Finaliści w kategorii TECHNOLOGIA

Wyróżniamy twórców innowacji technologicznych, które służą włączaniu, a nie wykluczaniu ludzi ze wspólnoty, które wspomagają budowanie porozumienia, umożliwiają dostęp do rzetelnych informacji – a poprzez to wzmacniają więzi społeczne.

EWA PRZEBINDA – za aplikację MÓWik – technologię, która dosłownie daje głos osobom z autyzmem, afazją i innymi zaburzeniami mowy; za narzędzie przełamujące jedną z najbardziej dotkliwych barier wykluczenia: niemożność porozumienia się. Za pokazanie, że najważniejsze innowacje to te, które włączają w rozmowę tych, którzy dotąd nie mogli w niej uczestniczyć.

PRZEMYSŁAW KUŚMIEREK – za aplikację Migam.org – technologię, która przełamuje mur ciszy, oferując tłumaczenia na polski język migowy, słownik PJM online oraz narzędzia edukacyjne – za innowację, która realnie zmienia życie tysięcy osób głuchych. Za wzmacnianie więzi społecznych i przeciwdziałanie marginalizacji poprzez zapewnienie dostępu do rzetelnych informacji w naturalnym języku społeczności Głuchych. Za pokazanie, że włączanie zaczyna się od zrozumienia, że nie wszyscy mówimy tym samym językiem.

RAFAŁ MODRZEWSKI – za technologię, która patrzy z góry, by chronić tych na dole. Za zbudowanie w ramach firmy ICEYE największej cywilnej konstelacji satelitów radarowych obserwujących Ziemię – i za służenie w jej ramach ochronie społeczności i ratowaniu życia (dane firmy wspierają zarządzanie kryzysowe podczas klęsk żywiołowych, dostarczając informacji tam, gdzie dezinformacja może kosztować życie). Za demokratyzowanie technologii wcześniej dostępnych tylko dla supermocarstw; za pokazanie, że te najbardziej zaawansowane mogą służyć nie podziałom, ale ochronie każdego z nas.

Finaliści w kategorii LIDER/LIDERKA

Nagradzamy przywódczynie i przywódców za wybitne dokonania w życiu publicznym. Osoby budujące wspólnotę, inspirujące i pociągające za sobą innych. Budujące w życiu publicznym dobro wspólne.

BASIL KERSKI – za budowanie mostów tam, gdzie historia wykopała rowy; za tworzenie przestrzeni polsko–niemieckiego porozumienia. Za to, że jako dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności i redaktor naczelny dwujęzycznego „Magazynu DIALOG" łączy pamięć o powikłanej historii z budowaniem wspólnej przyszłości. Za pokazanie, że prawdziwe przywództwo to nie pełnienie funkcji, lecz tworzenie warunków do spotkania. Za pamiętanie o konfliktach, bez podsycania ich na nowo.

BARTOSZ PILITOWSKI – za stworzenie – w ramach Fundacji Court Watch Polska – systemu monitoringu sądów: innowację społeczną, która demokratyzuje kontrolę nad wymiarem sprawiedliwości. Za to, że zamiast dzielić Polaków w sporze o sądy, zbudował narzędzie pozwalające obserwować, jak naprawdę działają sale rozpraw. Za udowodnienie, że prawdziwe przywództwo obywatelskie nie polega na głośnym manifestowaniu, lecz na cierpliwej budowie instytucji dających obywatelom realny wpływ na jakość demokracji.

MARTA TITANIEC – za pokazanie, że można być głęboko zakorzenioną w Kościele i jednocześnie otwartą na tych, których Kościół zranił. Za budowanie mostów tam, gdzie wydają się niemożliwe: między ofiarami nadużyć a hierarchią kościelną, między Żydami i chrześcijanami, między polskimi rodzinami a syryjskimi uchodźcami. Za styl kierowania Fundacją Świętego Józefa i bycie współinicjatorką Inicjatywy „Zranieni w Kościele": za udowodnienie, że można walczyć o zmianę w instytucji, nie niszcząc jej; za pokazanie, że najsilniejsze przywództwo rodzi się z gotowości do słuchania tych, z którymi się nie zgadzamy.

Laureatów poznamy podczas gali wręczenia nagród 28 listopada 2025 o godz. 19.00 w Muzeum Manggha (ul. Marii Konopnickiej 26) w Krakowie.

ORGANIZATOR

80! TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER STRATEGICZNY

blik

PARTNER GŁÓWNY

Kraków

PATRONI MEDIALNI

tvn24

Trójka POLSKIE RADIO

PARTNERZY

Mazowsze. serce Polski

HERBEWO CITY S.A.

mpec kraków

GDAŃSK

Fundacja PRB

WODOCIĄGI Miasta Krakowa

za KS sprzyjamy wyobraźni

WSPÓŁPRACA

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

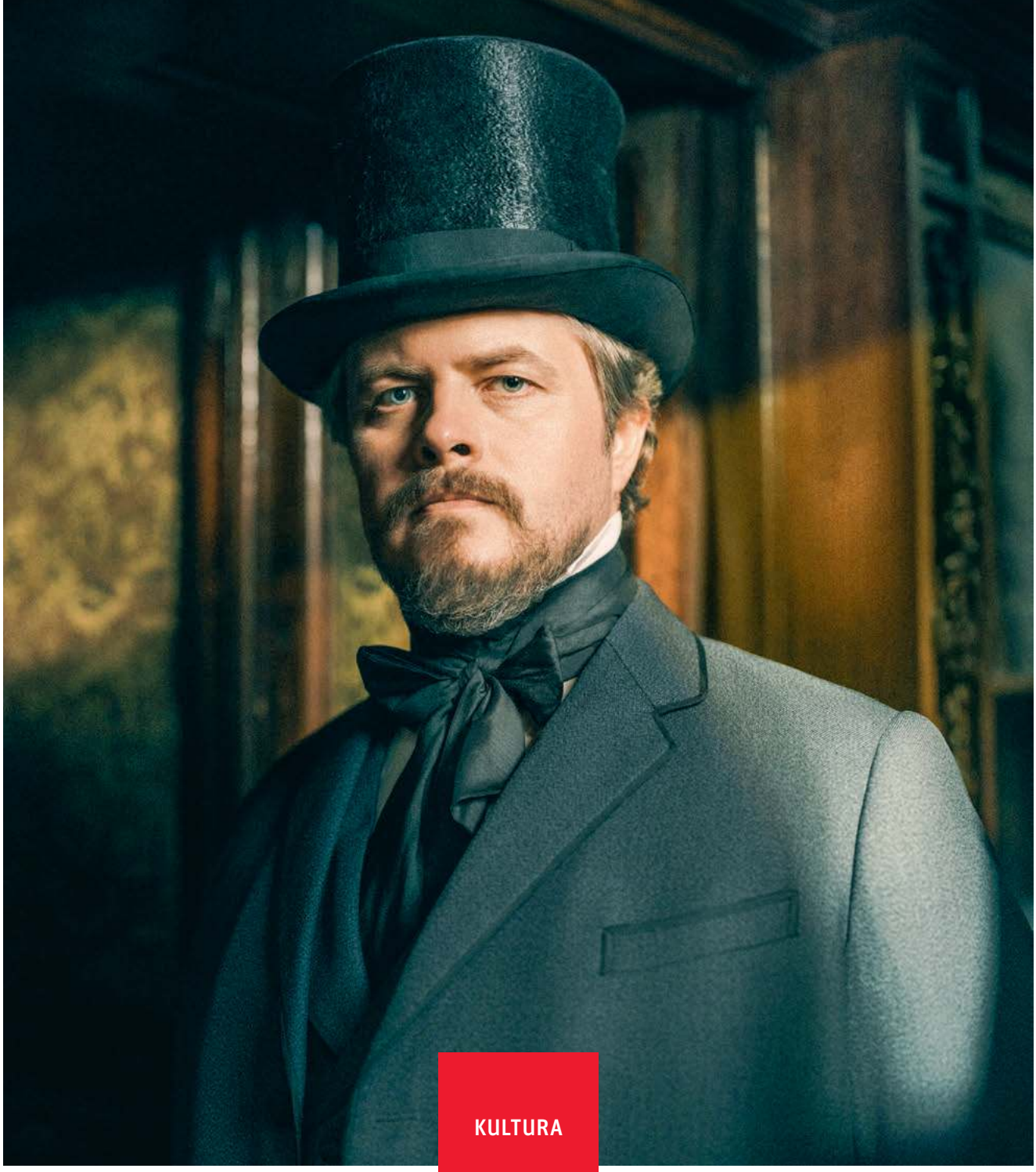
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWE CENTRUM KULTURY

Projekt zrealizowany we współpracy z Narodowym Centrum Kultury

Więcej informacji **bonus.TygodnikPowszechny.pl**



MICHAŁ KLUSEK / NETFLIX

Tomasz Schuchardt na planie „Lalki”...

KULTURA

MIŁY GOŚĆ

Tomasz Schuchardt mógł zostać filmowym amantem.
Jego role szybko wpisały się jednak w debatę o nowych wzorcach męskości.

MICHAŁ WALKIEWICZ



PAWEŁ TYBORA // LUCKY BOB & WARNER BROS

...w „Domu dobrym" Wojciecha Smarzowskiego...

Od czasów offowej komedii Abelarda Gizy „W stepie szerokim" (2007), w której wcielił się w postać złodzieja samochodów, Tomasz Schuchardt zagrał ponad sześćdziesiąt ról. Tylko w zeszłym roku na wielkim ekranie oglądaliśmy go pięciokrotnie, a na małym – czterokrotnie. W 2025 r. aktor powtórzył ten wynik, lecz pamiętajmy, że do świąt daleko. Pomiędzy chwilą, w której piszę niniejszy tekst, a datą jego publikacji Schuchardta zobaczycie jeszcze w „Domu dobrym" Wojciecha Smarzowskiego oraz serialu „Heweliusz" Jana Holoubka.

Nadchodzące miesiące to oczywiście wielka literacko-filmowa gala MMA, czyli pojedynek „Lalek" pod sztandarami Netfliksa oraz TVP. W czerwonym narożniku Marcin Dorociński, którego, przyznam szczerze, trudno mi sobie wyobrazić jako Wokulskiego, choć może to po prostu kwestia jego nowej hollywoodzkiej aury. W niebieskim – Tomasz Schuchardt, czyli Wokulski, którego widzę. Tańczy z duchami Mariusza Dmochowskiego z filmu Wojciecha Jerzego Hasa oraz Jerzego Kamasa z ekranizacji Ryszarda Bera, a z romantyka-pozytywisty wyciąga to, co istotne: idealizm spleciony z pragmatyzmem, podskórną wrażliwość i pozorną nieprzystępność.

Koleżanka po piórze śmieje się, że każdy polski reżyser ma dziś bliźniaczą strategię artystyczną: „jebnie się Schuchardta i będzie git". To parafraza mema, w której wyniszczony bezsenną nocą lisek woła o kawkę na pobudzenie. Schuchardt jest właśnie taką „kawką na pobudzenie" dla naszej kinematografii, choć ja dostrzegam w nim bohatera jeszcze innego słynnego żartu. Tego o facecie próbującym zakleić plasterkiem cieknący dystrybutor z wodą. Facet to polski reżyser, baniak to rodzima kinematografia, plasterek zaś... Cóż, plasterek to Tomasz Schuchardt.

Kim jest aktor

W rozmaitych wywiadach Schuchardt mówi pięknie o małżeństwie, byciu facetem, dojrzewaniu, złych wyborach oraz atakach paniki. Słowem – o wszystkim, co niedoskonałego człowieka zamieniło w doskonałego aktora. Galopująca społeczna nieufność wobec przedstawicieli środowisk artystycznych uderzyła we mnie rykoszetem. Odkąd dzięki mediom społecznościowym mieszkam z celebrytami dwadzieścia cztery godziny na dobę, opowieści o aktorstwie z biograficznym kluczem przestały mnie interesować.

Dlaczego? Myślę, że są nieuczciwe – i wobec aktora, i wobec czytelnika. Lepiej skupić się na warsztacie, którego, cóż, jak typowy krytyk filmowy, nie rozumiem. Bez względu na to, czy mówimy o generalnym medialnym dyskursie, czy o dziennikarstwie filmowym, aktorstwo funkcjonuje w społecznej świadomości jako zajęcie z pogranicza alchemii i woltyżerki. Nawet pomimo tego, że branża się profesjonalizuje i coraz częściej deklinujemy przez wszystkie przypadki słowo „rzemiosło". Świetny film „Utrata równowagi" (2024) Korka Bojanowskiego tematyzuje tę optykę i wpisuje ją w szerszy kontekst romantycznych przesądów w polskiej kulturze.

Jako że kontekstem dla tej akurat ekranowej historii są niemoralne uczynki przemocowców ze słynnych szkół filmowych, Schuchardt wciela się w postać uznanego reżysera, który terroryzuje swoich podopiecznych w imię – jakżeby inaczej – Szekspira. To facet, który wierzy, że prawdziwa sztuka jest tożsama z ceremoniałem samospalenia, a przykręcanie śruby to jedyna pewna metoda dydaktyczna.

W tym szaleństwie jest metoda, a konkretniej – metoda Stanisławskiego. Jacek, którego gra Schuchardt, prezentuje jej ekstremalną, wynaturzoną wersję, aktor zaś – z wełnianą czapką na głowie i dłońmi wsuniętymi w kieszenie – porozumiewawczo mruga do widza okiem: bez gwałtownych ruchów, sztuka wymaga poświęceń. Istnieją ludzie, z którymi chętnie poszlibyście na kawę, mimo iż buzującą toksynę skrywają za cieniutką, niemal przezroczystą membraną luzu. Schuchardt jest w takich rolach niezrównany.

Gdzie on gra

Dwie z moich ulubionych tradycji aktorskich w polskim kinie to „aktorzy, którzy grają wszędzie" oraz „aktorzy, którzy widzieli wszystko". Doświadczenie tej pierwszej grupy najlepiej wyraża pamiętna scena z „Kilera" (1997) Juliusza Machulskiego, w której Olaf Lubaszenko (w roli samego siebie) wchodzi w sam środek ulicznej strzelaniny. „Co tu się dzieje?" – pyta zdziwiony. „Film kręcą" – uspokaja go jeden z gangsterów. Lubaszenko jest w szoku: „To dlaczego ja nie gram?".

Pod koniec lat 90. takie pytanie mogli zadać Cezary Pazura, Bogusław Linda i Michał Żebrowski. W kolejnych dekadach – Tomasz Kot, Andrzej Grabowski, Robert Więckiewicz i Janusz Chabior. Temat rynku wysyconego przez trzech przyjaciół z boiska nie jest w Polsce nowy, ale istnieje też inna tradycja.

Jej źródeł należy upatrywać w tym, że niewiele kręci się u nas kina gatunkowego, awangardowe wycieczki można policzyć na palcach jednej ręki, a środowisko pozostaje stosunkowo niewielkie. Sprawia to, że w zawodowych losach niemal każdego aktora i aktorki średniego pokolenia odbija się całość doświadczenia rodzimej kinematografii w XXI w.

I Schuchardt nie jest wyjątkiem. Choć zaczął późno, załapał się na niemal wszystkie punkty węzłowe ewolucji polskiego kina w ostatnich dwóch ↦



MICHAŁ CHARYTON / NEXT FILM

...w „Ministrantach" Piotra Domalewskiego...



ŁUKASZ BĄK / DISNEY

...i w serialu „Breslau"

↦ dekadach. Moment, w którym pieniądze z PISF-u zaczęły na siebie pracować, etap pokoleniowej zmiany wśród reżyserów, fazę dużych międzynarodowych sukcesów, wreszcie – streamingową i serialową rewolucję.

Kogo gra najczęściej

Nie wiem, czy od czasu Zbigniewa Cybulskiego mieliśmy nad Wisłą jakichś „polskich Jamesów Deanów", ale na początku kariery Tomasz Schuchardt zapowiadał się na jednego z nich. Tak mówiono o nim po „Chrzcie" (2010) nieodżałowanego Marcina Wrony, czyli filmie, w którym (późny) Jean-Pierre Melville szedł pod rękę z (wczesnym) Władysławem Pasikowskim [rozmowę z reżyserem znajdziecie na kolejnych stronach – przyp. red.]. Wiecie, dobro i zło, moralność społeczna i egoizm, wadzenie się z Bogiem w świecie bez Boga i tak dalej. Opowieści o przyjaciołach uwięzionych w gorsecie męskich rytuałów, splecionych w klinczu niewysłowionych pretensji.

Schuchardt zagrał jednak swojego bohatera tak, jakby obrano go do czyściutkiego instynktu. Przypominał zwierzę gotowe do ataku i ucieczki, rozsadzał kadr charyzmą i prezencją. Nic dziwnego, że z festiwalu w Gdyni wyjechał z nagrodą.

Zanim pojawił się u Wrony, zagrał syna Bogusława Lindy w serialu „Ratownicy" (2010). Mignął też w „Yumie" (2012) Piotra Mularuka, „Wymyku" (2011) Grega Zglińskiego i wpadł na kilka festiwali razem ze świetną krótkometrażówką „Kawaler" (2012) Karola Starnawskiego. W tej ostatniej samodzielnie ocalił przed śmiesznością najnudniejszy typ polskiego bohatera – chłopaka, który nie potrafi ruszyć z życiem, więc, zafiksowany w ciągłej introspekcji, odbija się od ściany do ściany.

Wieńcząca ten etap kariery rola w biografii zespołu Paktofonika „Jesteś Bogiem" (2012) Leszka Dawida scementowała status Schuchardta jako, przepraszam za wyrażenie, „obiecującego aktora młodego pokolenia" (co w Polsce zazwyczaj obejmuje okres od 15. do 40. roku życia). Z perspektywy dziennikarza lubię jego Fokusa bardziej niż prawdziwego rapera, bo jednak coś tam bulgocze za kamiennym obliczem. Rzeczywisty Wojtek Alszer przypomina beznamiętny monolit, który przeleciał właśnie przez kosmos i wbił się w ziemię tuż przed rozmówcą.

Jako Adrian „Blondyn" u Małgorzaty Szumowskiej („W imię", 2013) przypominał z kolei bohaterów Xaviera Dolana. W roli porucznika „Kobry" z „Miasta 44" (2014) Jana Komasy nosił fachową skórę, wyrażając naczelną zasadę estetyczną filmu: powstanie warszawskie to, czy tego chcemy, czy nie, wielkie repozytorium popkulturowych tropów.

Na wojnę wrócił w „Karbali" (2015) Krzysztofa Łukaszewicza. Z kolei do Marcina Wrony – w nakręconym po latach „Demonie" (2015). To horror, który przestraszył się własnej gatunkowej proweniencji i skończył na mieliznach Wielkich Tematów, z Pogromem na czele.

Kogo lubi grać

Wątek Schuchardta jako magicznego młoteczka, którym da się wyklepać nawet kiepski film, nie jest nowy. Młoteczkiem stukano w „Chemii" (2015) Bartosza Prokopowicza, a także w telewizyjnej biografii Eugeniusza Bodo, gdzie Schuchardt zagrał tytułową rolę. No i w „Jednej duszy" (2023) Łukasza Karwowskiego, czyli pogrobowcu Śląskcore'u, który najlepiej streścić nieśmiertelnym passusem z „Między nami dobrze jest" Doroty Masłowskiej: „Rzecz dzieje się w Polsce, w Łodzi lub Wałbrzychu lub w familokach na Dolnym Śląsku. Bohater Jasiek mieszka w radioaktywnym bloku. Pewnego dnia pijany ojciec górnik zataczając się na poniemiecki kredens z witrażykami, łamie

obie ręce i obie nogi. Dla rodziny Jaśka zaczynają się ciężkie czasy".

Niewiele obrazków z polskiego kina oraz telewizji ostatniej dekady zostało pod moimi powiekami na dłużej. Jednym z nich na pewno jest wicewojewoda wrocławski Jakub Marczak brodzący po pas w powodziowej brei w serialu „Wielka woda" (2022): bezradny, pozbawiony insygniów władzy, zamieniony w kłębek sprzecznych altruistycznych i egoistycznych impulsów.

Schuchardt lubi grywać takich facetów i mam nieodparte wrażenie, że jego dorobek wpisuje się w gorącą dyskusję o przewartościowywaniu współczesnych modeli męskości. Jego chandlerowscy detektywi („Breslau", 2025), przyparci do muru ojcowie („To się nie dzieje", 2025), a nawet czarne charaktery (drugi sezon „Odwilży", 2024) poddani są wielokierunkowej presji: oczekiwaniom bliskich, naciskom środowiska, podszeptami instynktu.

W bardzo dobrym „Doppelgängerze. Sobowtórze" (2023) Jana Holoubka owe podszepty nie pozwalają facetowi najzwyklejszemu ze zwykłych prowadzić spokojnego życia. Z kolei „Mur" (2014) Dariusza Glazera to rzecz z cyklu „w domach z betonu nie ma wolnej miłości" i nie najlepszy film, ale z kolejną świetną rolą Schuchardta oraz przekonującym portretem kruszejącej męskości. Ja też odrobinę kruszałem, gdyż ekipa filmowa rozłożyła się pod wejściem do mojej klatki i przez dwa tygodnie wchodziłem do domu oknem.

Kim jest naprawdę

Konkluzja, iż aktorstwo Schuchardta „jest pełne kontrastów", może być rozczarowująca. Ale może jest tak, że zazwyczaj trwonimy ją na artystów o znacznie węższej emocjonalnej skali. Casus „Domu dobrego" (2025) Wojtka Smarzowskiego przypomina, że da się na podobnych kontrastach wznieść całą narracyjną strukturę filmu. Bohater Schuchardta najpierw uwodzi swoją partnerkę obietnicą cieplutkiej, wyrozumiałej i „zreformowanej" męskości. Później zaś objawia swoje przerażające oblicze w coraz brutalniejszych aktach przemocy domowej.

Współpraca aktora z reżyserem Piotrem Domalewskim („Hiacynt", „Ministranci", „Cicha noc") uzmysławia, że nie potrzeba wysokich tonów, by zasygnalizować tego rodzaju sprzeczności. Schuchardt zagrał we wszystkich filmach Domalewskiego, choć nigdy nie pojawił się przed jego kamerą w głównej roli. Nie szkodzi. Zazwyczaj wystarczy mu jedno spojrzenie albo skrawek dialogu, by osadzić nas w życiu fikcyjnej postaci – jej bolesnej przeszłości albo nudnej teraźniejszości.

Last but not least, Tomasz Schuchardt to miły gość. Na ekranie tymczasem wygląda jak ktoś, kto najchętniej dałby ci w twarz, ale powstrzymuje go przed tym gorset społecznych zakazów, moralnych imperatywów oraz wypracowanej w pocie czoła samokontroli. Zagrać kogoś takiego to wielka sztuka. Uczynić z tego wizytówkę – jeszcze większa.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

REKLAMA

WE WTOREK, 2 GRUDNIA W „WYBORCZEJ"

wyjątkowy kalendarz astronomiczny na 2026 rok



- Zorze polarne, zaćmienie Księżyca, Droga Mleczna, komety...
- Kalendarium obserwacji nieba
- Niezwykłe zjawiska i kosmiczne zdjęcia

GAZETA wyborcza



MATERIAŁY PRASOWE

Maciej Stuhr w serialu „Glina. Nowy rozdział", reż. Władysław Pasikowski

Szron na głowie, w sercu maj

WŁADYSŁAW PASIKOWSKI, REŻYSER:

Wulgarny język ani seks już nie prowokują widzów. Kościół jeszcze tak, ale najbardziej kręci nas polityka.

HUBERT SOSNOWSKI: Co wyróżnia polski kryminał? Swego czasu Pana „Glinę" porównywano do filmów skandynawskich. Słusznie?

WŁADYSŁAW PASIKOWSKI: Z kryminałami skandynawskimi nigdy nie czułem pokrewieństwa. Tak się składa, że mam rodzinę w Szwecji – to jest inny kraj. Chłodny i północny. Jeszcze na długo przed „Wallanderem" byli tacy pisarze jak Sjöwall i Wahlöö, którzy nie silili się na skandynawski chłód, tylko pisali bardziej po anglosasku. Ich „Śmiejący się policjant" był mi drogowskazem przy realizacji „Gliny" już od pierwszego sezonu. Czyli w sumie Pan trafił.

Filmy, które kręcił Pan potem, różnią się od tych z lat 90. Są mniej zaczepne.

Ja jestem taki sam zaczepny, ale percepcja widzów daleko się przesunęła. Dawniej, gdy ktoś mówił słowo na „k", to zwracał uwagę. Dziś, gdy ktoś nie przeklina, jest wyjątkowy. Język nie prowokuje, seks nie prowokuje. Kościół prowokuje, ale to już musi być naprawdę coś na skalę biblijną. Najbardziej prowokuje duopol, ale ten temat zostawiam innym.

W „Zamachu na papieża" nie odpuszcza Pan polskiemu klerowi. Będzie Pan wracał do tego tematu?

Nie będę wracał, bo publiczność domaga się, żebym, jako dziaders, poszedł na emeryturę, i zamierzam jej posłuchać. To ciekawe, jeśli Pan pozwoli na prywatę, że ci, którzy zarzucają mi na przykład mizoginizm, bez mrugnięcia okiem piętnują mnie z powodu wieku.

A Pan, jako reżyser, czuje jakieś ograniczenia?

Oczywiście. Niewielu jest doskonałych reżyserów, a i tym nielicznym nie wszystkie filmy wychodzą. Scorsese ma nieudane filmy, Coppola, a Spielberg ostatnio to już bez liku. Błąd szalenie łatwo popełnić na każdym etapie: wyboru tematu, pisania scenariusza, poszukiwania producentów, obsady etc. A jeden popełniony błąd, choć wydaje się niewinny, implikuje następne.

Ja przy jednym z projektów wybrałem producenta, który zapewniał wystarczające środki, ale musiałem z nim zawrzeć kompromis obsadowy. To pociągnęło za sobą dramatyczne skutki, których nie przewidziałem. Nie jestem wszystkowiedzący. Ale za wszystko odpowiadam i nie mogę zwalić winy na producenta. Ktoś powie: było się nie godzić. Dlatego tak trudno jest zrobić dobry film.



MATERIAŁY PRASOWE

WŁADYSŁAW PASIKOWSKI (na zdjęciu po lewej) urodził się w Łodzi w 1959 roku. Absolwent kulturoznawstwa na Uniwersytecie Łódzkim oraz Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Teatralnej i Telewizyjnej w Łodzi. Wyreżyserował słynne „Psy" (1992), które razem z „Krollem" (1991) zdefiniowały obraz polskiego kina sensacyjnego na ponad dekadę. Lata 90. upłynęły twórcy na wypuszczaniu obrazów, które gromadziły tysiące widzów („Psy 2: Ostatnia krew", „Demony wojny według Goi", „Słodko-gorzki", „Operacja Samum"). Wyreżyserował dwa pierwsze sezony „Gliny" (2004-2008) dla TVP, uczestniczył w pracach nad scenariuszem „Katynia" Andrzeja Wajdy. W 2012 r. wrócił do kin z „Pokłosiem", a w 2014 – z opowiadającym o pułkowniku Kuklińskim „Jackiem Strongiem". W 2025 r. ukazał się „Zamach na papieża". Twórca odpowiada też za kilka odcinków „Gliny. Nowego rozdziału", a dla Netfliksa przygotowuje serialową kontynuację „Psów".

„Zamach na papieża", jak i „Psy 3" nie spotkały się z przychylnymi recenzjami.

„Reich" z jeszcze gorszymi, ale po latach zyskuje swoją widownię i to jest dla mnie pocieszające – koniec końców miałem rację.

A czy podejście do krytyki jakoś się u Pana przez lata zmieniało?

Kiedyś mi to latało koło tyłka. Recenzje po „Psach" były miażdżące, nawet pan Andrzej Wajda początkowo był oburzony... Teraz, całkiem niedawno, „Psy" trafiły do kanonu dziedzictwa filmowego RP. Łaska krytyki na pstrym koniu jeździ. Tak więc spokojnie zaczekam, aż „Psy 3" i „Zamach..." zapracują na należną im, w moim przekonaniu, pozycję w kinematografii polskiej.

Jak się Panu wracało do bohaterów „Gliny" po latach?

Mamy z producentem, Dariuszem Jabłońskim, tony doświadczenia. Na realizację „Pokłosia" czekaliśmy osiem lat, a on się jeszcze cztery czy pięć lat później włóczył po sądach, aby dojść sprawiedliwości. Na kontynuację tego serialu czekaliśmy lat 17, choć byłem pożegnany i z „Gliną", i z „Psami". Ale, warto zaznaczyć, to nie jest zmartwychwstanie, nie mamy do czynienia z zombie. To raczej powrót dawnych znajomych, przyjaciół, rodziny nawet. Żywych ludzi. Jeśli ich Państwo lubili, to czeka Państwa duża przyjemność i niespodzianka.

Czyli było warto?

Tak i mam nadzieję, że publiczność podzieli naszą opinię. Po drugie – to powrót jakby do ojczyzny po latach emigracji przymusowej. Jedni są, innych nie ma, wszystko się zmieniło – technika, możliwości, świat, my sami. Szron na głowie, nie to zdrowie, a w sercu ciągle maj... To była czysta przyjemność. Wszyscyśmy nie mogli się nadziwić, że jeszcze nam za to płacą...

Jak bardzo okres nieobecności na ekranie zmienił Gajewskiego, Banasia, Jóźwiaka i spółkę?

Są dziesiątki filmów o młodym i starym gliniarzu, kiedy ten młody, w trakcie dwugodzinnej opowieści, dojrzewa i w efekcie jest innym człowiekiem. To bardzo fajny motyw, tylko niestety prawie nigdy wystarczająco przekonujący.

Nam dane było wykorzystać tych samych aktorów w tej samej opowieści, tylko dwie dekady starszych. Banaś jest dojrzałym facetem, zdecydowanie innym od chłoptysia z początkowych odcinków. To cudownie widać, gdy się obejrzy wszystkie sezony w tydzień. Nikt by tego nie zagrał, żadne CGI by nie pomogło. Tylko czas mógł to uczynić i życiowe doświadczenia aktorów, którzy nie wahali się przenieść je na ekran.

O czym zatem jest „Glina"?

Zbrodnia ubrudzi każdego i ta uniwersalna cecha zła mnie wciąż porusza. Najbardziej zaś poruszają mnie sprawy w kręgu rodzinnym, dramaty w zaciszu domowym. No bo jak w pierwszej połowie trzeciego sezonu mamy białoruską siatkę szpiegowską infiltrującą polskie ministerstwo obrony, to stawka ma wymiar geopolityczny. Jest to po prostu wojna prowadzona innymi środkami i ofiary są w pewnym szczególnym sensie „umotywowane". Ale żeby bratu łeb rozbić o ścianę, bo się człowiek zadurzył w jego żonie... To jest ludzkie zło, najbardziej dojmujące.

© Rozmawiał HUBERT SOSNOWSKI



MARTA SZYPULSKA / HAIART

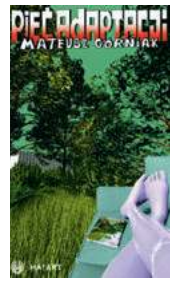


RAFAŁ KOMOROWSKI / ARTRAGE



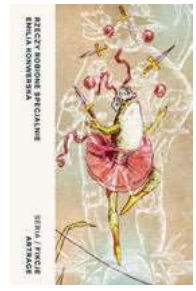
ARCHIWUM AUTORKI

Ich troje



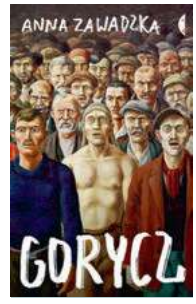
Mateusz Górniak
PIĘĆ ADAPTACJI
Ha!art, Kraków 2025.

obok: Mateusz Górniak



Emilia Konwerska
RZECZY ROBIONE SPECJALNIE
ArtRage, Warszawa 2025.

obok: Emilia Konwerska



Anna Zawadzka
GORYCZ, *Czarne, Wołowiec 2025.*

obok: Anna Zawadzka

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

KSIĄŻKI | Do księgarń trafiły ciekawe książki młodych autorek i autorów. Świetnie pokazują, że literatura wciąż potrafi sabotować świętości.

Najnowsza historia Polski wyrosła z transformacji ustrojowej i mocno wpłynęła zwłaszcza na dzieje Polek i Polaków niedostosowanych do dynamiki kapitalizmu, karmionych niepokojami epoki, samotnych w zmaganiach z napierającą na nich rzeczywistością. Jeśli dzisiejsza literatura ma wobec tamtego czasu jakieś zobowiązania, z pewnością nie powinna wzmacniać naszego osamotnienia, ani polegać na narcystycznym pielęgnowaniu traum.

Nie może też zadowalać się rolą podręcznej terapii. W „Rozbieżnych emancypacjach" Przemysław Czapliński przekonuje, że nurt emancypacyjny polskiej literatury ostatniego półwiecza (opowiadający m.in. historie ludowe i historie mniejszości) został zagarnięty przez konkurujący z nim prąd terapeutyczny. Pierwszy dochodzi do ściany w kampanii o równościową wyobraźnię społeczną. Drugi neutralizuje cierpienia człowieka w kapitalizmie, ale nie stawia im oporu.

Nie brakuje jednak autorów, którzy przekraczają tę dychotomię. Nie projektują dla bohaterów ładu wewnętrznego, a ich niezgoda na świat wyraża się w ironii, grotesce lub gniewie. Ich rewolta jest drobna, przygodna, skryta, ale wytrwała. Do księgarń trafiły właśnie trzy takie książki o małej dywersji.

JAK DEBIUTOWAĆ | Emilia Konwerska jest poetką, krytyczką literatury i sztuki oraz kuratorką. Za książki poetyckie „112" (2021) oraz „Ostatni i pierwszy kajman" (2023) była nominowana do Nagrody Literackiej Gdynia. Wiersze zaczęła pisać, mając 35 lat. W ojczyźnie Baczyńskiego i Poświatowskiej to dość późno. Po co jej jeszcze wkraczanie na terytorium prozy? Powód jest zapewne bliski temu, który sprawił, że została poetką.

„Kiedy zaczęłam pisać wiersze, w których mogłam umieścić w krótkiej formie cały świat, scenkę, historię, opowieść, w końcu, po wielu latach pisania publicystyki odkryłam wolność" – wyjaśniała w rozmowie z Arkadiuszem Gruszczyńskim dla „Wysokich Obcasów". Proza daje jeszcze więcej swobody i pozwala zwrócić się do szerszej publiczności, która lubi być zaskakiwana. Wiek autorki nie ma tu nic do rzeczy. Może tylko sprawia, że wreszcie czuje się gotowa na konfrontację.

Z okładki „Goryczy" Anny Zawadzkiej spoglądają grubo ciosane twarze robotników-rewolucjonistów z obrazu „Die Internationale" Ottona Griebela z 1930 r. W ich gniewnych obliczach autorka widzi swoje odbicie. Zawadzka jest naukowczynią, zajmuje się antysemityzmem i antykomunizmem jako wzorami polskiej kultury. Od początku lokowała się na obrzeżach środowiska, realizując właściwie antykarierę akademicką. Dziś jako gastarbeiterka, emigrantka i pracownica fizyczna, lubi siebie bardziej – tak twierdzi w wywiadach. Choć, mówiąc oględnie, nie spotyka się to ze zrozumieniem. „Gniew" jest spojrzeniem bez dystansu na własną ewakuację z akademii.

Mateusz Górniak zdążył już zaznaczyć swoją obecność na polu prozatorskim. Trzy lata temu opublikował „Trash story". Został zauważony i doceniony, zgarniając nominacje do nagród Nike, Gdyni i Conrada. W kolejnych książkach nie poszedł wcale na układ z bardziej umiarkowanymi gustami czytelników. „Dwie powieści ruchu" (2023) oraz „Ćpun i głupek" (2025) są ściekiem świadomości antybohaterów, na których polska proza nie czekała, ale powinna się cieszyć z tego, że ich otrzymała. Dla Górniaka nie ma świętości. I dobrze, literatura nie jest od tego, żeby święcić, ale żeby świętości sabotować.

JAK SIĘ MŚCIĆ | Górniak wyszedł z teatru i cały czas tam wraca. O ile w „Trash story" oddawał narrację w ręce przedmiotów i śmieci, o tyle w tekstach monodramatycznych zebranych w wydanych właśnie „Pięciu adaptacjach" głos przejmuje... sama narracja. Górniak zrywa z wieszaka płaszcz kulturowy, zagląda pod podszewkę symboli, którymi zagracona jest Polska, a następnie je rozpruwa. Zupełnie puste figury łączy w asamblaże, które ujawniają zrazu absurd i śmieszność, a zrazu głęboką mądrość. Nieprzypadkowo książka miała premierę 11 listopada.

W otwierającej tom „Adaptacji serialu" Mickiewicz przekłada Goethego, a Górniak Mickiewicza. „Wezwanie do Neapolu" łączy z wyimkami z preambuły do Konstytucji RP. Skoro narracja chce udowodnić swoją polskość, to zamiast cytryn i pomarańczy na kraj zwany Ojczyzną spada deszcz jabłek: szarych renet, szampionów, malinówek, papierówek, ligoli, idaredów i wszystkich innych odmian, jakie kiedykolwiek spadały na polską ziemię.

I nagle spod gradu polskich jabłek wybiega Hanka Mostowiak, bardziej polska niż Zosia z „Pana Tadeusza", która jednak jest trochę z Litwy. Czyniąc z bohaterki popularnego serialu „M jak miłość" narodową mścicielkę, Hankę na czarnym koniu, narracja polska upomina się o światowość. Przypominając memiczną śmierć Hanki w 862. odcinku serialu, Górniak mruga jednym okiem do moralnej katastrofy z „Rechnitz" Elfriede Jelinek, a drugim do wielkich narracji modernizacyjnych, bo w „M jak miłości" jest wszystko – od historii internetu wchodzącego do polskich domów, po wchodzącą do nich Unię Europejską w postaci sympatycznego, ale cokolwiek niepokojącego Niemca Steffena.

JAK BYĆ PARÓWĄ | Brawurowa i intymna jest egzegeza rzeźby Katarzyny Kozyry „Piramida zwierząt", zamknięta w mikrokosmosie pierwszoosobowej narracji artystki. Kim zresztą jest artystka? – pyta Kozyra w wykonaniu Górniaka. Składa się z chorego ciała, doczepionego papierosa, zadyszki i autokreacji. Zdradzają ją koszmary o zwierzętach zabijanych przez pociąg, którym jedzie, a z którego nie może się wydostać. Górniak każe Katarzynie odpowiadać na serię głupich i natrętnych pytań. Czy to są pytania fana, stalkera czy terapeuty? Górniak odrzuca terapię jako sposób na opowiedzenie życia w formie scenariusza.

Kiedy wydaje się, że Górniak spoważniał i uderza w wielkie sprawy epoki, jak wyzysk entuzjazmu artystów, mizoginia wpisana w ekonomię czy międzygatunkowa solidarność, to w czwartej części idzie w groteskę, adaptując pastiszowy dramat Filipa Matwiejczuka pt. „Pleśń i keczup". Parówa, główna bohaterka opakowana w foliowy flak, nie występuje w sielskiej reklamie Berlinek, ale w polskiej tragedii. Na domiar złego żyje w lodówce marki Siemens, a dobrze wie, co Siemensowie robili za Hitlera. Jest parówą żyjącą w Siemensie, cierpi i nie może domagać się reparacji wojennych, a plamka pleśni, którą zauważa na swoim mięsie, wydaje się wybawieniem.

Zanim ty, wypalona pracą czytelniczko, i ty, stłamszony rzeczywistością czytelniku, zaczniesz spisywać protokół różnic i podobieństw między tobą a parówą, Górniak leci dalej i serwuje parodię autofikcji. Zgniata symboliczne imaginarium polskości na miazgę, a potem robi z niej okłady. Jest dywersantem, który kocha i nienawidzi to, co sabotuje. Robi wszystko, żebyśmy po kilku stronach wydobywających się z niego zlepków politycznych, klasowych i bombastycznych bzdur, mieli go dosyć. I ma się go dosyć, i chce się więcej.

JAK STRASZYĆ MĘŻA | Emilię Konwerską nie interesuje płaszcz kulturowy, ale ciało nim okryte. Anegdota o szukaniu powodów rozpadu małżeństwa stanowi pretekst do realizacji właściwego celu „Rzeczy robionych specjalnie". Jest nim dążenie do nierównowagi w zbyt sztywno trzymającym się świecie. Metodę badania niestabilności bohaterka krótkich i luźno powiązanych ze sobą opowiadań testuje na sobie. Diagnozuje niekontrolowane ruchy i żyjące własnym życiem kończyny, strzela z nieprawidłowo zrośniętej szczęki, niepokoją ją rozszerzające się, tak jak kosmos, ramiona.

Konwerska jest nieodrodną wnuczką Leonory Carrington i jej surrealnych wypraw do rzadko odwiedzanych zakamarków codziennej wyobraźni. Kolekcjonuje dziwny sztafaż codzienności i zamienia w literaturę bardzo współczesne zblazowanie, godne bohaterki „Mojego roku relaksu i odpoczynku" Ottessy Moshfegh.

Bohaterka Konwerskiej wychodzi bowiem z założenia, że nie ma takiej kruchości, której nie można zamienić w coś innego, na przykład w test dla lepiej ogarniętych obywateli. Nie wiem, czy autorka czytała bestseller „Antykruchość" Nassima Nicholasa Taleba oraz inne wydawnictwa o modnej dziś rezyliencji i odporności, ale jej książka jest niewątpliwym sabotażem tych nośnych pojęć.

Niewielkie odwety stają się dla bohaterki momentami maleńkiego triumfu. ↦

↦ Macierzyństwo sabotuje pragnieniem, by przyszły syn jako kryminalista trafił do poprawczaka. Konkuruje ze staruszkami o to, kto lepiej wgramoli się do tramwaju. Odkłada brudną łyżkę w przypadkowych miejscach w biurze, czym zaburza korporacyjne feng shui. Śledzi idące do szkoły dziecko (własne) i dentystę. Mówi domownikom i przypadkowym ludziom okrutne rzeczy. Zdarza jej się udawać martwą, żeby nastraszyć męża.

JAK ZMYŚLAĆ | Nie wszystko tu jest śmieszne jak skecze Monty Pythona. Relacje bohaterki z mężczyznami mają przemocowy smak, a działania społeczne są intencjonalnie autodywersyjne. „W tamtym czasie, kiedy zawierałam jakąś nową znajomość, od razu szukałam powodu, żeby ją zerwać. (...) Żegnałam się z nowymi mieszkaniami już w momencie wnoszenia rzeczy i wstawałam o szóstej do pracy, kiedy kładłam się spać" – czytamy. Dni zajmuje jej siedzenie na kanapie, leżenie na materacu i wyobrażanie sobie życia. Jest więc książka Konwerskiej opowieścią o pochwale chaosu czy o potrzebie kontroli?

Odpowiedzi można szukać w tym, jak bohaterka autonomizuje ciało. To na nie projektuje lęki i utrapienia, kontroluje je, karząc za poczucie rozpadu. „Od jakiegoś czasu faworyzuję prawą stopę. Zaczęło się klasycznie. To zawsze lewa dostawała dziurawą skarpetkę, taką, w której otwór pod koniec dnia powiększa się na palcu i coraz boleśniej uwiera. (...) Zastanawiałam się oczywiście, skąd u mnie taka niesprawiedliwość. Zaczęłam szukać przyczyn w nodze, ale przecież wiedziałam, że to ona jest silniejsza, to właśnie na niej mogłam polegać" – wyznaje.

Konwerska wymyśla pisanie będące połączeniem groteski i wschodnioeuropejskiej melancholii. Ta pierwsza rozbija mieszczańskie pragnienie bycia kimś normalnym. Ta druga rozpracowuje nasze obawy, że wszelki kamuflaż i najlepsza maska nie zdadzą się na nic. Zdradzi nas nasza osobność, samotność i brak znaczenia. „Byłam tą osobą, która pojawia się za oknem i znika, kiedy tylko skierujesz na nią wzrok" – mówi bohaterka, zanim całkiem rozpłynie się w zimnym morzu istot ludzkich.

JAK SIĘ UTRZYMAĆ | „Gorycz" Anny Zawadzkiej można ujmować w ramę gatunkową autofikcji, ale ta książka będzie się z tej ramy wysuwać. To pisany zmęczeniem manifest albo, idąc tropem Mateusza Górniaka, osobista adaptacja serialu „Breaking Bad" – od bycia dobrą imigrantką w Niemczech, wdzięczną za szansę na zmianę bytu, do przeistoczenia się w złą imigrantkę, pałającą gniewem. Pierwszy akt prozatorskiego monodramu Zawadzkiej sięga roku 2018, kiedy mieszka w Warszawie, jest adiunktką w Polskiej Akademii Nauk i zarabia dwa tysiące złotych netto.

Ich rewolta jest drobna, ale wytrwała.
A niezgoda na świat wyraża się w ironii lub gniewie.

Wyjeżdża do Niemiec, gdzie znajduje pracę w firmie dbającej o zieleń miejską. Główną przyczyną emigracji jest bieda, o której pisze bez ogródek, łamiąc środowiskowe tabu. Wykształcona, młoda i pracująca kobieta nie może zapłacić za czynsz, utrzymać siebie i kota. To nie jest stan umysłu, ale efekt strukturalnych nierówności. Nie, nie ma szans na kredyt. Tak, może zmienić pracę – ale nie w Polsce. Kurtyna.

W drugim akcie pojawia się Berlin jako galaktyka złożona z planetodzielnic zamieszkałych przez Niemców z dziada pradziada i zniemczonych imigrantów. Zawadzka rozpisuje ich na głosy mizogina, mobbera, podlizujących się szefom „starych" imigrantów, aktywistycznych kobiet-czołgów równających z ziemią niedopasowaną społecznie siostrę. Jest tu też postać bogatego faceta, który nie jest w stanie udostępnić pracującym wiele godzin ogrodnikom toalety, oraz współlokatorów, którzy korzystając z modnego modelu *Wohngemeinschaft* (współdzielenia mieszkania z ludźmi z castingu), ustawiają mniej „białych" (czytaj: mniej niemieckich) sublokatorów po kątach, wyjadają ich jednogarnkowe dania, podbierają pamiątki po dawnych życiu i wysysają z człowieka duszę. A jednocześnie mają moralnie alibi – przecież nie są rasistami, skoro pozwolili Polce siedzieć na ich krzesełku i jeść z ich miseczki.

JAK ZADAĆ BÓL | Nie, to wcale nie miało zabrzmieć jak pastisz. W przeciwieństwie do groteskowego tomu Konwerskiej, u Zawadzkiej te opisy to sugestywny horror życia niefikcjonalnego. Bohaterem zbiorowym jest chór *Gute Menschen*, których irytuje to, że muszą z imigrantką rozmawiać po angielsku, mimo że są dla niej tacy dobrzy, bo pozwalają jej oddychać tym samym powietrzem. Jesteśmy świadkami tego, co Michał Buchowski nazywa wewnętrzną orientalizacją, czynieniem z części społeczeństwa obiektu kolonizowania i odbieraniem im kulturowej bieli. Test z niemieckiego staje się narzędziem ustawiania ludzi w hierarchii bytów. Nie mówisz – jesteś na dnie. Dukasz – jesteś szczebel wyżej, ale nadal w błocie. Mówisz, ale ze złym akcentem – odbiłaś się od dna, ale nadal śmierdzisz.

W akcie trzecim bohaterka wraca do Polski. Z dawnych przyjaźni wychodzi się bezpowrotnie, z długów – nigdy. Trzeba przeprosić się z ogrodnictwem, tym razem kopiąc i plewiąc ojczyznę. Znajomi nie wiedzą, jak rozmawiać z inteligentką pracującą fizycznie. „Znam to, też tak miałam" – słyszy od innych akademiczek. Dają jej rady, ale do mieszkania nie zaproszą i modlą się, żeby więcej nie poprosiła ich o pomoc. Kiedy czytałam o tym, że na emigracji narratorka uczyniła swój oręż z nowo nabytej tożsamości wschodniej Europejki, kusiło mnie, aby protekcjonalnie zakrzyknąć: „ja też tak miałam, jak mieszkałam w Wiedniu".

Nie, ja miałam zupełnie inaczej. Nie mam prawa do opowieści Zawadzkiej. Jeśli chce się tę książkę przeżyć, to trzeba zaufać autorce. Długo więziony krzyk zrywa się ze smyczy i rozrywa powierzchnię zadrukowanej słowami kartki. Nie jest kierowany do Niemców, do których pisała niewysyłane listy. Ten wrzask jest do ludzi urządzających się w kapitalizmie, którzy mają przywilej patrzenia z góry na „roboli" z Polski czy Ukrainy. To skarga na tych, którzy widzą, ale zamykają oczy. „Nienawidzę ludzi z dobrych domów" – pisze Zawadzka i wypuszcza strzałę. Tak, czytelniku i czytelniczko, ona leci prosto w ciebie.

Zamykam książkę, ale nie odkładam jej od razu na półkę. Podobnie jak książek Konwerskiej i Górniaka. Być może to właśnie oni będą nadawać ton polskiej prozie miotającej się między wolnością a terapią.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Co zostaje

KINGA PIOTROWIAK-JUNKIERT

PREMIERA | Książka noblisty to nie tylko zapis refleksji na temat współczesności, ale także głęboki namysł nad istotą literatury i bycia pisarzem.

W 2013 r. krytyk literacki Zsolt Bagi napisał na łamach „Műút", że ta książka jest „jednym z największych osiągnięć współczesnej węgierskiej myśli kulturalnej". Dwa lata później László Krasznahorkai dostał za nią Bookera. Do Polski trafia po 12 latach od premiery i pewnie zaskoczy czytelników znających „Szatańskie tango" czy „Melancholię sprzeciwu". Tym razem, zamiast dystopijnej i parabolicznej opowieści o węgierskiej prowincji, pisarz proponuje misternie skonstruowany obraz współczesnego człowieka.

Krasznahorkai należy do pisarzy nieustannie powracających do własnej twórczości. Czytając po kolei wszystkie tomy noblisty (czyli prawie 20 powieści i opowiadań), wyraźnie widzimy, że autor chętnie wykorzystuje te same tematy i strategie narracyjne. Nie jest to jednak literacki recykling, ale artystyczny głód ciągłego dopowiadania.

W najnowszym, znakomitym przekładzie Elżbiety Sobolewskiej znajdziemy rozbudowany traktat o kondycji ludzkiej, nieuchronnej klęsce wpisanej w odwieczne dążenie, a zarazem niechęć do osiągnięcia jakiejkolwiek całości. Pisarz przywołuje dziesiątki obrazów, w których przygląda się zachowaniu ludzi i zwierząt, mnoży podmioty (właściwie nie wiemy, ilu narratorów do nas mówi) i żongluje gatunkami (od anegdoty, przez monolog i wykład akademicki, aż po medytację).



László Krasznahorkai,
A ŚWIAT TRWA,
przeł. Elżbieta Sobolewska,
Czarne, Wołowiec 2025.

Krótkie historie pokazują przede wszystkim kruchość i bezradność człowieka, który odrzuca podszepty sumienia, wstydzi się i odracza działanie. „Żyć i być niesprawiedliwym to dokładnie to samo" – twierdzi jeden z narratorów.

W tej wielogłosowej fabule, czasami opowiadającej o danym zdarzeniu dwukrotnie, znajdziemy rytuały pogrzebowe w Waranasi, jeden z największych szanghajskich węzłów komunikacyjnych Nine Dragon Crossing, hiszpański kamieniołom, ulice Kijowa, 220 metrów nici z dzieciństwa, nielota z Okinawy, Ziemię widzianą przez Gagarina czy koło narysowane kredą obok świątyni Annapurny.

Każdy gest jest próbą medytacji nad losem i koniecznością wybrania właściwego momentu, by wśród „miliardów rzeczy natrafić na szczelinę, na jedną jedyną szczelinę". Szczeliną można opuścić świat i ruszyć dalej. Ten stan bycia w nieustającym procesie samsary towarzyszy nam do końca historii.

Krasznahorkai rozpoczyna książkę słowami: „Trzeba stąd odejść, to nie jest miejsce, w którym da się żyć i w którym warto zostać, to miejsce, gdzie ciężar tego wszystkiego, co nieznośne, niemożliwe do wytrzymania, zimne, smutne, śmiertelne i pozbawione życia, zmusza do ucieczki, złapania walizki".

„A świat trwa" nie jest jednak zapisem klęski ani kryzysu, ale próbą uchwycenia zasady kierującej światem i egzystencją: nie ma stałości, wszystko się porusza i zmienia. Pisarz często przywołuje głosy fikcyjnych bohaterów literackich i patronów myślenia o życiu jako stanie wahania i niepewności. Pojawiają się Fortynbras, Kafka, mistrzowie zen, Beckett, Wierchowieński i Nietzsche, szlochający na ulicach Turynu nad ubiczowanym koniem.

Czytam „A świat trwa" nie tylko jako zapis refleksji na temat współczesności, ale także jako głęboki namysł nad istotą literatury i bycia pisarzem. Krasznahorkai nie pozostawia wątpliwości, że to jeden z najważniejszych tematów tej książki. Wskazują na to chociażby jej śródtytuły – „Mówi", „Opowiada", „Żegna się" – oraz rozdział „Łabędź w Stambule (79 akapitów na pustych stronach)" poświęcony Konstantinowi Kawafisowi, którego treści możemy się jedynie domyślać, bo autor dołącza do pustych stron przypisy.

Wynika z nich, że nieistniejący tekst był poświęcony wspominaniu. Być może to ułomna natura pamięci generuje chęć nieustannego powtarzania. Zapisywanie obrazów dowodzi naszego głodu poznania, ale nigdy nie zaspokoi chęci stawiania nowych pytań. Właśnie dlatego Krasznahorkai nie unika mistrzowskich popisów i brawury. W finalnych scenach książki narrator odwołuje porządek świata stworzonego przez Boga. Kiedy znikają ramy moralne, zostaje tylko tekst – jedyny świat, który wciąż trwa. ©

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

Garden party



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Pierwszy amerykański film Jana Komasy nie odkrywa Ameryki. Pokazuje natomiast w domowej mikroskali różne oblicza radykalizacji.

Rodzina jako poligon wojen kulturowych to ostatnio wdzięczny temat przy rozbrajaniu politycznych min. Dobrze sprawdza się w konwencji komediowej, czego dowodem popularność polskich „Teściów". Jan Komasa w swoim amerykańskim filmie opowiada o tych domowych konfliktach językiem dystopii i zarazem psychologicznego thrillera – bo na tym poligonie miny czasem wybuchają wcale nie na żarty. Aczkolwiek wiele tutaj satyry i to wielosiecznej, która od żadnej ze stron nie bierze jeńców i pozostawia za sobą spaloną ziemię.

Kim właściwie jest Liz (Phoebe Dynevor), kiedy nieoczekiwanie zjawia się na imprezie swoich przyszłych teściów? Taylorowie, główni bohaterowie „Rocznicy", uosabiają znienawidzone przez populistów elity. Paul (Kyle Chandler) jest restauratorem, u którego stołują się prominentni politycy, zaś jego żona Ellen (Diane Lane) wykłada na Georgetown i słynie z liberalnych poglądów. Ich trzy córki wyglądają na typowe „lewaczki", na przykład jedna jest prawniczką zaangażowaną w ochronę środowiska, a inna polityczną stand-uperką i jawną lesbijką.

Nic dziwnego, że ich matka wpada w lekką panikę, kiedy w nowej dziewczynie syna, sztucznie ułożonej i fałszywie uśmiechniętej, rozpoznaje swą byłą studentkę – głoszącą ongiś skrajnie antydemokratyczne hasła. Ellen odrzuciła wtedy pracę dyplomową Liz; okazuje się jednak, że dziewczyna nie złożyła broni i pisze teraz książkę, która ma odmienić oblicze USA. Co gorsza, syn Taylorów (Dylan O'Brien), od lat niespełniony pisarz, zdaje się być pod jej dużym wpływem.

Czyżby więc Liz była niczym ów wąż, który wślizgnął się na to rajskie *garden party*, by wziąć odwet? Zwłaszcza że sama nie miała tak szczęśliwej rodziny. Scenarzystka Lori Rosene-Gambino nie szykuje pod tym względem wielkich niespodzianek. Poprzez skoki czasowe przyspiesza zachodzące w kraju zmiany, których aktywną sprawczynią staje się właśnie Liz i jej antysystemowy ruch o nazwie... Zmiana (czyżby aluzje do naszej „dobrej zmiany"?). Korporacyjny autorytaryzm ingeruje w wiele dziedzin życia, a ofiarami są oczywiście Taylorowie i im podobny „gorszy sort".

Podczas kolejnych rodzinnych uroczystości oglądamy kolejne etapy przykręcania śruby. Kraj coraz bardziej upodabnia się do państwa policyjnego, panoszą się w nim nowe elity i powiewa nad nim nowa flaga. Tymczasem Liz usiłuje zaistnieć w akademickim obiegu i wkręca się na dobre do rodziny. Próbuje też wkupić się w łaski niektórych jej członków, ani chybi realizując swój podstępny plan. Gdy nastroje w kraju radykalizują się jeszcze bardziej, znika nagle Anna (Madeline Brewer), jedna z córek Taylorów, ta od nieprawomyślnych stand-upów. Nad szczęśliwym domem zbiera się coraz więcej chmur – ale czy ta otwarta amerykańska rodzina była rzeczywiście okazem zdrowia?

Jednocześnie „Rocznica" należy do tych filmów, które próbują sprawiedliwie rozkładać racje czy dawać razy, lecz przez cały czas starannie zacierają konkrety. Efektem są daleko posunięte uogólnienia, które relatywizują polityczny przekaz. Czasem przynosi to ciekawe niuanse. Bo reakcja Ellen na pojawienie się w okolicy znaków nowego porządku była zdecydowanie zbyt gwałtowna i poniekąd zasłużyła na wiralowy filmik. I chociaż to Liz jest tutaj czarnym charakterem, także pani profesor potrafi być toksyczna, choćby w swojej miłości do syna, pomieszanej z literackimi ambicjami wobec niego.

Również ważkim pytaniom o fundamenty demokracji czy wolność akademii łatwo odwrócić wektor. Jednakże wszystkie te niejednoznaczne kwestie zostają podane na tyle dosłownie i zarazem tak generycznie, że osłabia to ich złożoność. Dlatego „Rocznica", jakkolwiek dobrze opowiedziana i zagrana, grzeszy przede wszystkim nazbyt upraszczającym scenariuszem. Przypomina on z grubsza poprzedni film Komasy, „Salę samobójców. Hejtera", czyli opowieść o trickster, który wnikając w dzisiejszą, zadowoloną z siebie „warszawkę", rozwalał ją od środka, stając się narzędziem mrocznych sił politycznych.

Ogarnięty resentymentem młody człowiek bez właściwości zamieniał się w polskiego Jokera. W amerykańskim filmie nie widać, niestety, całego procesu, który sprawił, że Liz stała się mocno zideologizowaną studentką, a w końcu twarzą eks-



MATERIAŁY PRASOWE

ROCZNICA
(„Anniversary") – reż. Jan Komasa. Prod. USA 2025. Dystryb. Monolith Films. W kinach.

Jan Komasa debiutował 20 lat temu przy nowelowym filmie „Oda do radości". Po sukcesie „Sali samobójców" (2011) nakręcił dokument „Powstanie Warszawskie" i fabułę „Miasto '44" (oba 2014). Potem było nagrodzone w Wenecji i nominowane do Oscara „Boże Ciało" (2019) i „Sala samobójców. Hejter" (2020). Przed debiutem w USA wyreżyserował polsko-brytyjski film „Dobry chłopiec".

Na zdjęciu: Kyle Chandler jako Paul i Diane Lane jako Ellen w filmie „Rocznica"

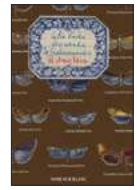
tremistycznej agendy i niszczycielką domowego miru. Również głoszona przez nią „zmiana" dokonuje się na ekranie z doskoku, bardziej „metodą salami" niż stopniowego i niedostrzegalnego „gotowania żaby".

Brakuje scen podobnych do tej przy rodzinnym stole, kiedy to Josh, będący już mocno zindoktrynowany przez małżonkę, zaczyna prowokować, a w końcu „grillować" nastoletniego chłopaka swej najmłodszej siostry. W takich momentach, pośród drobnych nadużyć i mikroagresji, a nie w kolejnych aktach państwowej czy rebelianckiej przemocy, objawia się prawdziwie demon tej „zmiany". Oto słaby Josh, korzystając z politycznej koniunktury, zaczyna występować z pozycji siły, także wobec własnego ojca.

Na szczęście „Rocznica" potrafi wypełnić te luki tragikomedią. Cudownie groteskowa jest Ellen, gdy z nożem w garści broni integralności swojej rodziny, ale robi się już mniej wesoło i bardziej topornie, kiedy miłość idzie na noże z ideologią (patrz: wątek aborcyjny). Bo największą ironią tego filmu nie jest wcale snobistyczny mit założycielski z obrazem Magritte'a (pod nim poznali się kiedyś Taylorowie), lecz to, jak łatwo można rozwalić swoją rodzinę pod sztandarami prorodzinnych wartości. Stąd w „Rocznicy" nie może być zwycięzców – wszak Liz, wychodząc za Josha i rodząc małych Taylorów, stała się nierozerwalną częścią niszczonej przez siebie familii.

Pierwszy amerykański film Komasy nie odkrywa zatem Ameryki, celowo wręcz rozmywa jej polityczne kontury, pokazuje natomiast w domowej mikroskali różne oblicza radykalizacji i jej samonapędzający się mechanizm. Z powodu tego rozmycia porównuje się film do „Civil War" Aleksa Garlanda; ja widzę w nim raczej rozbudowany odcinek „Black Mirror", w którym przyszłość to wojna domowa rozumiana jak najdosłowniej, w czterech ścianach. Szkoda jednak, że chwilami trochę nazbyt płasko i mechanicznie. Najwyższy czas, żeby pójść w tych jakże oczywistych diagnozach kulturowych gdzieś dalej. Dlatego ciesząc się z międzynarodowej i w pełni zasłużonej kariery Jana Komasy, życzmy mu po prostu lepszych, bardziej pogłębionych scenariuszy. ©

Lektor: *Podróż do Leca*



▪ *Lidia Kośka*
WYCIECZKA DO SZERSZENIOWIEC. W STRONĘ LECA
Posłowie Tomasz Lec. Noir sur Blanc, Warszawa 2025, ss. 304.

Dzięki „Myślom nieuczesanym" jest jednym z najbardziej znanych w świecie pisarzy polskich. Aforysta, satyryk, poeta. Od Goethego wiemy, że poetę najlepiej zrozumieć, odwiedzając jego krainę. Lidia Kośka, monografistka Stanisława Jerzego Leca (1909-1966) i edytorka jego dzieł, w esejach zgromadzonych w tej książce proponuje nam taką podróż – do ojczyzny Leca, rozumianej wielorako.

Tytułowa wyprawa do Szerszeniowiec, małej podolskiej miejscowości w zakolu Seretu, prywatnego raju czasu dzieciństwa i młodości poety, rzeczywiście się odbyła – w 2019 r., z inicjatywy Andrija Pawłyszyna, ukraińskiego tłumacza Leca, i zakończyła się rytualną nieledwie kąpielą w Serecie. Ale topografia tego życiorysu – więc Podole i Lwów, Czerniowce (skąd pochodziła babka Leca), Tarnopol (obóz hitlerowski), Wiedeń, Jerozolima i Warszawa – to tylko tło analizowanej przez autorkę przestrzeni. Którą przede wszystkim tworzy słowo, tak ważne w żydowskiej tradycji i tak starannie destylowane przez Leca. Co istotne – Lidia Kośka sięga także po utwory z szuflady, których poeta nie opublikował. I dokonuje na jego dziele pracy – jak to określa Tomasz Lec – archeologicznej, „jak każdy badacz eksploruje je dogłębnie, aż do calca, czyli do warstwy, w której jeszcze nikt nie grzebał".

Przestrzenią są także intelektualne powinowactwa czy przynajmniej sąsiedztwo z innymi środkowoeuropejskimi spadkobiercami c.k. świata. W „Spotkaniu pod Wieżą Babel" Lec staje się środkowym ogniwem trójcy „wiedeńskich ludożerców", otwartej przez Karla Krausa, a zamkniętej przez Thomasa Bernharda (który polskiego pisarza poznał podczas wizyty w Warszawie). A w „Rozmowie dwóch kopiących" współbohaterem staje się Paul Celan, czerniowczanin, wielki poeta Zagłady piszący w języku jej sprawców (*nota bene* aforyzmy Leca miał na półce). Lec był jednym z pierwszych polskich tłumaczy „Fugi śmierci"; drobiazgowa analiza „Fugi" i jej kilku polskich wersji to jeden z najbardziej wciągających fragmentów tej książki.

W tekście sporo jest ilustracji – nareszcie zobaczyłem prawdziwy podolski jar! Wśród nich podobizna autografu przekładu „Fugi". A dlaczego na okładce jest tyle motyli i jak można połączyć etymologię z entomologią, to już sami sprawdźcie. ©℗

GRUDZIEŃ W TEATRZE TELEWIZJI

Premiera *Wycinki Holzfällen* Thomasa Bernharda w reżyserii Krystiana Lupy odbyła się w październiku 2014 roku na Scenie im. Jerzego Grzegorzewskiego w Teatrze Polskim we Wrocławiu, w tamtym czasie jednym z najważniejszych, progresywnych, artystycznych teatrów w kraju. Okrzyknięty arcydziełem, spektakl szybko rozpoczął triumfalne tournée po największych krajowych i światowych festiwalach, jednak w tym samym czasie Teatr Polski we Wrocławiu zaczął pogrążać się w chaosie – nowy dyrektor błyskawicznie zdemontował wszelkie artystyczne ambicje placówki, zespół aktorski został zdziesiątkowany, a jeden z najgłośniejszych i najważniejszych spektakli, jakie powstały w polskim teatrze w XXI wieku, wkrótce zniknął ze sceny. Dziś na nią powraca, po blisko 10 latach wznowiony na potrzeby rejestracji w TEATRZE TELEWIZJI – podzielony na dwie części, zostanie pokazany w pierwsze dwa poniedziałki grudnia.

To wydarzenie wyjątkowe – zmartwychwstały spektakl, przedstawienie przywołane z teatralnego niebytu, wznowione po niemal dziesięciu latach niegrania na potrzeby telewizyjnej realizacji. Wznowione, dodajmy, w tej samej obsadzie (poza zmarłą w tym roku ś.p. Krzesisławą Dubielówną) – zespołu aktorskiego „starego" Teatru Polskiego we Wrocławiu, dziś rozrzuconego po różnych scenach w kraju.



Nieco starsi, zmienieni nabytymi doświadczeniami, powracają do dawnych ról – by raz jeszcze się do nich przymierzyć. Jak mówił po zakończonych zdjęciach Krystian Lupa:

> Okres prób i zapisu był niesamowitym zmaganiem oporu pamięci z nowymi intuicjami – z tym wszystkim, co osmotycznie przeniknęło do śpiących postaci przez 10 lat z dziwnej i trudnej do zrozumienia rzeczywistości, w jakiej żyjemy. Wyłoniły się nowe tematy, o których 10 lat temu nie mieliśmy pojęcia – tkwią rozproszone w różnych momentach naszego doświadczenia, w różnych miejscach zapisanego materiału.

Jest to więc ten sam spektakl i nie ten sam zarazem – pulsuje w nim dziś także czas, który upłynął od zdjęcia spektaklu z afisza.

Skrzący się od gwiazd zespół aktorski – w obsadzie m.in. Halina Rasiakówna, Jan Frycz, Ewa Skibińska, Piotr Skiba – raz jeszcze zasiada do wiedeńskiej „kolacji wybitnie artystycznej", rozpoczynając grę pozorów, frazesów, ambicji. Każdy próbuje tu każdemu zaimponować, każdy czegoś komuś zazdrości, ale zarazem nikt nie potrafi i nie chce dostrzec, że ich artystyczna bohema nieuchronnie chyli się ku upadkowi, a jej najwięksi bohaterowie to już od dawna puste, przeżarte samouwielbieniem figury. To bezlitosne, ostre spojrzenie na artystyczne i intelektualne elity – nie tylko te wiedeńskie – a także opowieść o iluzjach, którymi w obliczu trudów życia wolimy przysłaniać trudne prawdy o sobie samych. Ale *Wycinka Holzfällen* to także spektakl o artystach i o teatrze – o granicach wolności artystycznej, o skrywanych pod pozorną nonszalancją konformizmie i oportunizmie, ale też o artystycznych marzeniach oraz coraz rzadszym doświadczeniu autentycznego, szczerego, artystycznego przekazu.

Ponadto, w grudniowym repertuarze TEATRU TELEWIZJI m.in. **kultowy monodram Krystyny Jandy w reżyserii Magdy Umer, czyli *Biała bluzka***, na podstawie opowiadania Agnieszki Osieckiej i z jej najważniejszymi piosenkami, popularna ***Lalka* Bolesława Prusa zaadaptowana na musical przez Wojciecha Kościelniaka** (przedstawienie z Teatru Muzycznego w Gdyni), a także **przypominane z okazji upływającej w tym roku 45. rocznicy śmierci Idy Kamińskiej *Pożegnanie z Marią* Tadeusza Borowskiego**, spektakl z 1966 roku w reżyserii Jerzego Antczaka z Tadeuszem Łomnickim w roli głównej.

TEATR TELEWIZJI

REPERTUAR – GRUDZIEŃ

TVP1

Poniedziałki | 20:30

01.12 PREMIERA

WYCINKA HOLZFÄLLEN (cz. 1)
Thomas Bernhard
reż. Krystian Lupa

08.12 PREMIERA

WYCINKA HOLZFÄLLEN* (cz. 2)
Thomas Bernhard
reż. Krystian Lupa

15.12 PREMIERA

BIAŁA BLUZKA*
Agnieszka Osiecka
reż. Magda Umer

22.12

WIGILIJNA OPOWIEŚĆ (2000)
Adam Drabik
reż. Piotr Trzaskalski

TVP KULTURA

Wtorki | 20:00

02.12 TEATROTEKA

PRAWDA (2016)
Jarosław Jakubowski
reż. Adam Wojtyszko

09.12

MĄŻ I ŻONA (1997)
Aleksander Fredro
reż. Olga Lipińska

16.12

POŻEGNANIE Z MARIĄ (1966)
Tadeusz Borowski
reż. Jerzy Antczak

23.12

DIALOG O NARODZENIU (2022)
scen. Patryk Kencki
reż. Wawrzyniec Kostrzewski

30.12

LALKA (2010)
Bolesław Prus
scen. i reż. Wojciech Kościelniak

SZCZEGÓŁOWY REPERTUAR ORAZ BOGATE ARCHIWUM DOSTĘPNE NA:

TEATRTV.VOD.TVP.PL

TVP VOD

TEATR TELEWIZJI TVP

* Po emisjach oznaczonych spektakli premierowych zapraszamy na teatralne **POSTSCRIPTUM**, czyli rozmowę z twórcami.

Trwa druga edycja konkursu na scenariusz **NARRACJE NIEOBECNE.** Termin nadsyłania scenariuszy: 28 lutego.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

PAWEŁ

Bravo:

Koncentrat sumienia



Dwanaście i pół miliona. Liczone w dolarach to śmieszna kwota – tyle kosztuje jedno skrzydło myśliwca F35 albo kafelki do nowego hotelu, którym pewien amerykański gwiazdor kina postanowił uszczęśliwić zaciszną dzielnicę Krakowa. Jakby to miasto i tak już nie więdło, wysysane przez turystycznego tasiemca. Uzbrojonego w cztery kółka na każdą walizkę.

Ale jest pewien wymiar, w którym ta skromna suma daje honorowy sukces. Oto zrównaliśmy się z Włochami na rynku pomidorowym.

Ileż to już lipców i sierpni spędziliśmy tu razem z nożem nad deską do krojenia, umacniając się w wierze, iż pod względem smaku i rozmaitości naprawdę nie ma się co wstydzić. Jeśli wam bawole serca pękają z dumy, a lica kraśnieją na malinowo, powstrzymajcie się na chwilę. Bo sukces, o którym dziś mowa, na razie dotyczy koncentratu. Z Chin. Polska stała się właśnie największym w Europie jego importerem. Ale nie dlatego, żeby radykalnie zwiększyła zakupy, tylko że Włosi, prześcigający dotąd nas i całą resztę o kilka długości, zredukowali swój import.

Po co w ogóle Włochom, potędze pomidorowej, chiński surowiec i czemu nagle się to skończyło? Na pierwsze pytanie odpowiedź jest prosta jak rachunki w klasie pierwszej. Jedna trzecia światowych upraw pomidora znajduje się w Chinach i z wielu względów jest to wszystko o rząd wielkości tańsze. To właściwie konstans naszego doświadczenia zakupowego i tylko z rzadka jeszcze szokuje, jak w przypadku miodu: sprowadzany statkiem przez pół globu, na półkach naszych wielkich sklepów kosztuje za kilogram mniej niż wynoszą skromnie liczone koszty własne polskiej pasieki. Nie mamy podstaw prawnych, by wątpić, że jest to miód, skoro tak stoi w papierach, a powołane do tego inspekcje nie znajdują niczego zdrożnego. Pozostaje nam tylko dla obrony przed tym bezsmakowym syropem suwerenny rozum uzbrojony w wiedzę, jakiej dostarcza napis na zakrętce – bo w przypadku miodu pojawił się niedawno nakaz oznaczania kraju pochodzenia. Poczytajcie, niezła powtórka z geografii.

Co nie dotyczy jednak przetworów z pomidora i sprytni Włosi skrzętnie z tego korzystali. Sprowadzali skondensowany przecier, dolewali wody i dodawali soli, po czym pakowali to jako „włoską” passatę albo koncentrat. Potem to szło głównie na eksport z odpowiednim przebiciem, bo każdemu się lepiej kojarzy Sorrento niż Xinjang. Tak, dobrze pamiętacie, to region na wschodzie Chin zamieszkały przez Ujgurów represjonowanych i wyzyskiwanych w obozach



STEFANO GUIDI / GETTY IMAGES

pracy. Także w rolnictwie – bo właśnie w Xinjang rosną te chińskie pomidory.

O przecierowym procederze mówiło się w mediach od dawna. Włoskie lobby rolnicze co jakiś czas organizowało protesty i kampanie – często ginące w zgiełku innych, dotyczących np. zboża czy oliwy. Rok temu za temat wzięła się BBC – w tych dniach trochę głupio stawiać ją za wzór rzetelności, ale akurat tutaj zrobiła porządne śledztwo. Wynajęła laboratorium, które potrafi profilować związki chemiczne obecne w glebach różnych regionów, i posłała próbki „włoskich” koncentratów z wielkich supermarketów. Jedna trzecia z nich była chińska. Dziennikarze weszli potem *incognito* na teren fabryki, która wypadła wysoko w rankingu fałszywek, porobili trochę zdjęć, pogrzebali też w papierach celnych. Zrobiła się większa afera w paru krajach i duże sieci musiały ratować reputację. W końcu wizerunkowy balast okazał się za ciężki, zwłaszcza że wiedza o represjach wobec Ujgurów jest o wiele powszechniejsza niż parę lat temu.

Włosi w tym roku przestali więc kupować przecier z Chin. Co wcale nie znaczy, że surowiec z ich własnych (i egipskich – bo to tania alternatywa) pól jest z pewnością wolny od wyzysku. Ale to jest już temat znany, rozmawialiśmy parę razy o tym, jak gorliwymi ogrodniczkami są mafia i camorra.

W tej całej historii ciekawi mnie natomiast owo „surowcowe DNA”, które da się łatwo i niewielkim kosztem ustalić; ciekawe, czy rozdzielczość badań schodzi do poziomu regionów... Na pewno nie mówi nic o smaku i satysfakcji z jedze-



Każdego roku, między końcem lata a początkiem jesieni, wiele włoskich rodzin odnawia wiekową tradycję: przygotowywania domowego przecieru pomidorowego. Podczas Social Passata w Orti Generali, Turyn, 5 września 2025 r.

nia, tu wkraczają inne zupełnie spektrometry, kulturowe, a czasem, jak w przypadku Xinjangu, moralne.

Nie dalej jak tydzień temu brukselski europarlament rozwodnił proponowaną dyrektywę, która narzuca firmom obowiązek kontroli przyrodniczej i społecznej szkodliwości używanych surowców. Prace nad tym trwają już drugi rok i na każdym etapie standardy ulegały osłabieniu. Mądrość bowiem brukselskiego etapu polega teraz na „ułatwianiu życia" przedsiębiorcom, co ma pomóc rządzącym dotąd centrystom obronić się przed falą populizmów. Żeby jednak przepchnąć poprawki, dzięki którym nasi przetwórcy nie będą musieli się nikomu tłumaczyć z chińskiego przecieru, owi centryści (rodzina, do której należy nasza KO i PSL) połączyli siły z populistami, dotychczas otaczanymi tzw. kordonem sanitarnym. Wielkie, puste słowa. Za długo żyliśmy pod PO-PiS-em, który teraz jeszcze uśmiecha się do Konfederacji, żeby nas to dziwiło.

Musimy sami sobie utrudniać życie. W miarę możliwości portfela. Bo pomidorowej na samym czystym sumieniu się nie ugotuje. Macie słoiki z własnym przecierem i gwiżdżecie na obłudę polityki rolnej? Gratuluję, dam się zaprosić, a za tydzień znajdę wam w spiżarni inny powód do zgryzot.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Muffinki pomidorowe

Logika nakazywałaby, żebym teraz podał przepis na zupę pomidorową, ale zabilibyście mnie śmiechem i kto by za tydzień znów wam popsuł apetyt? Jedyne, co nieraz tu powtarzam: jeśli macie na to czas, zawsze lepiej wziąć całe pomidory z puszki, a nie siekany miąższ lub przecier w butelce – bo w ich przypadku przynajmniej widać, jakiej są jakości i możemy odrzucić „sos", do którego Bóg wie, co dodano.
Tymczasem zostawię wam przepis na wytrawne muffinki – mogą iść w parze ze słodkimi, które piekliśmy tydzień temu. Są o tyle „sezonowe", że ważną rolę pełnią w nich podpieczone pomidorki koktajlowe, a o tej porze roku tylko po obróbce termicznej nadają się do jedzenia. No i koncentrat. Jakość i cena ma znaczenie, w kuchni zawsze używam tzw. potrójnego, na polskim rynku praktycznie jest do zdobycia tylko jednej firmy, którą uważam za dobrą i bez żadnych podtekstów reklamowych.

SKŁADNIKI:
250 g mąki łyżka proszku do pieczenia 50 g tartego parmezanu 2 jajka 100 ml mleka 4 łyżki oliwy 3 łyżki koncentratu pomidorowego 250 g pomidorków 2 łyżki kaparów z soli 2 łyżki pestek słonecznika ▪ oregano ▪ ew. ostra papryczka

W dużej misce mieszamy mąkę, proszek, ser, sól, pieprz i oregano. W drugiej misce rozkłócamy jajka, dolewamy mleko, oliwę, i koncentrat pomidorowy, dokładnie mieszamy. Potem szybko łączymy mokre z suchym, dosypujemy przepołowione pomidorki, opłukane z soli kapary i prażone pestki słonecznika. Nakładamy do papilotek (10-12 szt), kładziemy na wierzch po połówce pomidorka, pieczemy w 180 stopniach ok. 20 minut. ©℗



M.STUDIO / ADOBE STOCK



NARCYZ WE MNIE

PROF. MARCIN ZAJENKOWSKI:

Narcyzm to kategoria, którą stereotypizujemy innych. Tymczasem doświadcza go każdy z nas. Walczymy o pozytywny obraz siebie, czasami nie zdając sobie sprawy, jak nas to zamyka na informacje, które by temu przeczyły.

MARCIN TUSIŃSKI: Nosisz w sobie narcyza?

PROF. MARCIN ZAJENKOWSKI: To czym się zajmuję, czyli cecha narcyzmu, jest taką właściwością człowieka, którą ma każdy z nas. Może występować w niskim, średnim lub wysokim stopniu. I rzeczywiście, im więcej zgłębiam temat, tym bardziej odkrywam w sobie różne elementy narcyzmu. Są momenty, w których możemy się czuć bardziej lub mniej narcystyczni, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Na przykład, gdy stoi się z Ig Noblem na scenie i cały świat patrzy?

Tak. Muszę przyznać, że po Ig Noblu mierzę się z dużym zainteresowaniem mediów. Może się łudzę, może tego nie widzę, ale na razie czuję, że nagroda dodała mi tylko energii, żeby jeszcze bardziej angażować się w badania. Czy to jest narcystyczne? Myślę, że nie, ale może...

Czujesz, kiedy to nadchodzi? Ten moment, kiedy „pompuje się balonik"?

Tak, czasami tak. Narcyzm tym się różni od wysokiej samooceny, że bazuje na porównaniach z innymi. Można pomyśleć: jestem dobry w tym, co robię. I to jest ok. Jeśli natomiast zaczynam się porównywać, choćby w myślach, to robi się niebezpiecznie.

Nie da się przed tym całkiem uciec, ale w psychologii mówi się, że gdy masz czegoś świadomość, to jest to klucz do sukcesu. Gdy zauważam, że przychodzą takie myśli, zadaję sobie pytanie: dlaczego je mam? Dlaczego ta osoba, z którą się teraz porównuję, wzbudza we mnie potrzebę rywalizacji? Dlaczego się z nią porównuję? Zazwyczaj dochodzę do jakiegoś wniosku i następnym razem łatwiej mi się tym nie przejmować.

Dostałeś nagrodę za badania dowodzące, że chwilowy stan narcyzmu można wywołać w każdym, chwaląc inteligencję danej osoby...

Definicja cech narcystycznych mówi, że jest to nadmierne skupienie na sobie, poczucie uprzywilejowania i wyjątkowości, ale także roszczeniowość. Poczucie, że należy mi się więcej niż innym tylko dlatego, że to ja. Skoro osoby narcystyczne myślą wielkościowo, a inteligencja i wszelkie jej pomiary wywołują współcześnie tyle emocji, to czy nie jest tak, że ma ona w sobie komponentę narcystyczną?

Mówiliśmy osobom badanym, że ich inteligencja jest powyżej średniej lub że jest niska. I okazywało się, że w pierwszej grupie chwilowy stan doświadczenia narcyzmu był większy niż w drugiej. Przekazanie komuś nieprawdziwej informacji na temat inteligencji mogło wpływać na chwilowe poczucie narcystycznej wyjątkowości.

To dowodzi, że można wywoływać chwilowy narcyzm poprzez informacje na temat inteligencji. Oraz że samo nazwanie kogoś mądrym lub głupim nie jest bezkarne, tylko pociąga za sobą konsekwencje. Np. poczucie wyższości. Kiedy mówimy, że jacyś ludzie są głupi, bo głosują na kogoś innego niż my, mówimy dużo więcej, niż nam się wydaje.

Michelangelo da Caravaggio, **NARCYZ**, *z kolekcji Gallerii Nazionale d'Arte Antica w Rzymie, 1597–1599*

To, co myślę i mówię o świecie, mówi więcej o mnie niż o świecie?

Można tak to ująć.

Kiedy miałem 12 lat, ojciec powiedział mi, że jestem głupi. Tylko ten jeden raz w życiu. Do dzisiaj pamiętam, bo zabolało.

Tak. Słowa mają konsekwencje rozwojowe i edukacyjne.

Jakie warunki kształtują przyszłą osobę narcystyczną?

Pojęcie narcyzmu jest bardzo stare. W psychologii już ma ponad sto lat. W psychoanalizie mówiono, że narcyzm rodzi się, gdy rodzice nieadekwatnie reagują na potrzeby dziecka. Nie odzwierciedlają potrzeb dziecka albo nie są wystarczająco empatyczni.

Wyobraź sobie przerażone dziecko. Rodzic może zareagować na ten bodziec dwojako. Zauważyć i nazwać lęk, powiedzieć: „widzę, że się boisz", przytulić. Oddać dziecku jego emocję w formie przetrawionej, do przyjęcia.

Jeśli natomiast rodzic skupi się na własnych emocjach, zacznie panikować, gdy dziecko odczuwa panikę, to nie będzie w stanie wczuć się w jego emocje, empatyzować. Powtarzalność takich sytuacji może doprowadzić do tego, że dziecko nie będzie miało odzwierciedlenia u rodzica. Będzie go zatem szukało przez resztę życia u innych.

Druga teoria mówi o tym, że do narcyzmu prowadzi postrzeganie dzieci jako nadzwyczajnych, wyjątkowych. Oczywiście każdy rodzic myśli tak o swoim dziecku, ale tutaj chodzi o przypadki, w których rodzice nie widzą żadnych wad, słabości, ograniczeń i żyją w przekonaniu, że ich pociesze należy się więcej niż innym. Próbują ten obraz wtłoczyć w głowę dziecka.

Czy to nie inna odsłona tego samego procesu? Rodzic nie dostrzega potrzeb dziecka, tylko projektuje na nie swoje lęki lub marzenia?

To jest bardzo podobny proces, te teorie się nie wykluczają. Chodzi o niewidzenie dziecka w adekwatny sposób. W obu przypadkach można powiedzieć, że dziecko zaczyna tworzyć fałszywy obraz siebie, bo nie zna własnych słabości ani ograniczeń. Używając języka psychoanalizy – nie czuje się odzwierciedlane.

Do tego dochodzą czynniki środowiskowe. Dobry przykład to edukacja. Wyniki badań pokazują, że mężczyźni uważają, iż są bardziej inteligentni niż kobiety, choć większość badań pokazuje, że nie ma takiej różnicy w ogólnej inteligencji. Ten efekt pojawia się już u nastolatków. Chłopcy szacują swoją inteligencję jako wyższą niż dziewczynki. Rodzi się zatem pytanie: czy narcyzm może być promowany w toku edukacji? Czy nie jest w tym okresie wywoływany lub wzmacniany?

Media społecznościowe, powszechne uzależnienie od dopaminy i lajków, manipulacje społeczne przy pomocy technologii. Czy żyjemy w czasach narcyzmu?

Kilka lat temu była taka hipoteza i wstępne badania na to wskazywały. Natomiast dalsze, bardziej zaawansowane badania metodologiczne, które analizują dane z ostatnich trzydziestu, czterdziestu lat, pokazują, że obecnie nie obserwujemy wzrostu narcyzmu w społeczeństwie. ↦

DOMENAPUBLICZNA

↦ Rozmawiam o tym ze studentami i zastanawiamy się, czy nie jest wręcz odwrotnie. W mediach społecznościowych trzeba się pokazywać w określony sposób, eksponować pozytywny wizerunek. I to może wywoływać poczucie nieadekwatności, bo nie zawsze mamy super pozytywne rzeczy, którymi chcemy się podzielić. Być może wzbudza to niechęć do eksponowania się? Być może ludzie wcale nie odnajdują się w lansowaniu siebie aż tak bardzo, jak mogłoby się wydawać?

Gdzie przebiega granica pomiędzy adekwatnym a nieadekwatnym dzieleniem się informacjami w mediach społecznościowych?

Chcę pokazywać to, co zrobiłem, żeby inni naukowcy i świat to zobaczyli, bo nauka ma być popularna i dla ludzi. Do jakiego stopnia to jest ok, a od którego momentu już nadmierne? Gdzie zaczyna się popisywanie? To jest pytanie, które sam sobie zadaję.

Skupiam teraz dużą uwagę mediów w związku z Ig Noblem, ale do tej pory czułem, że wszystkie moje interakcje były adekwatne, ponieważ mówiłem o swoich badaniach, o nauce. I czuję, że to jest w porządku. Ale gdybym zaczął być pytany o to, co myślę o świecie, dawał recepty, rady, jak rozwiązać problemy społeczne, byłby to już ten krok za daleko.

Czy narcyzm ma dobre strony?

Narcyzm ma różne twarze. Może pójść w stronę wielkościową – to taki prototypowy narcyzm z codziennych skojarzeń. Osoba, która się popisuje, demonstruje, że jest najwspanialsza, wszędzie jej pełno. Potrzebuje publiki, która będzie na nią zwracała uwagę. Ale jest i strona nadwrażliwa narcyzmu. To osoby, które także myślą o sobie wielkościowo, ale nie mają siły, żeby to promować. Czują się odrzucone, bo świat nie rozpoznał ich wielkości.

Dobrym przykładem nadwrażliwej osoby narcystycznej jest główny bohater filmu Todda Phillipsa „Joker" z 2019 r. Myśli, że jest ponadprzeciętnie uzdolnionym komikiem i zostanie kimś wyjątkowym. W rzeczywistości zarabia jako klaun i gardzi innymi klaunami. Żyje w takim świecie, ale nie ma na tyle siły, żeby zademonstrować tę swoją – urojoną – wyjątkowość. Próbuje, ale odnosi porażki. Jest tam scena, w której dziennikarz grany przez Roberta De Niro publicznie go wyśmiewa. Do Jokera dociera wstyd, który leży u podłoża narcyzmu wrażliwego – że obraz siebie, który stworzył, jest fałszywy. I wpada w furię.

Nadwrażliwy narcyzm wydaje się mieć mało pozytywnych stron. Wiąże się z depresyjnością i negatywnymi emocjami. Narcyzm wielkościowy natomiast ma złożoną dynamikę. Jego pierwsza twarz – aktywne zabieganie o uwagę, łączy się ze sprawczością, chęcią eksploracji świata, podejmowania ryzyka. Tacy ludzie szukają nagród. Wszystko jest w porządku, póki sprawy idą po ich myśli. To ich napędza. Czują się ze sobą dobrze. Takie osoby mogą się wydawać wspaniałe, charyzmatyczne, uwodzące, pociągające. Natomiast w momencie, w którym coś zaczyna iść nie tak, włącza się druga strona: agresja. W wysokim narcyzmie moment przyjmowania krytyki lub podważania opinii osoby narcystycznej może się skończyć agresją, niszczeniem drugiego tylko dlatego, że się z osobą narcystyczną nie zgadza.

Podczas wykładów pokazuję scenę z serialu o katastrofie w Czarnobylu. Diatlow, szef zmiany w momencie wybuchu, każe pracownikom przeprowadzić test reaktora. Oni wyraźnie sygnalizują, że coś jest nie tak. Pokazują raporty. Diatlow to neguje. Uważa, że wszystko jest w porządku. Wytrąca im te raporty z ręki. No i kończy się tragicznie. To jest moim zdaniem bardzo dobra metafora obrazująca działanie tej dynamiki. Ja wiem najlepiej, wy macie mnie słuchać i podziwiać.

63 proc. Amerykanów ma negatywny stosunek do swojego prezydenta, a on uważa, że jest najlepszym prezydentem w historii USA.

Tak, zaprzeczanie faktom, ignorowanie ich... Takie osoby ignorują niewygodne informacje, w ogóle ich nie zapamiętują. Utrzymywanie pozytywnego obrazu siebie, a nawet całego systemu, w którym żyjemy, jest kluczowe w narcyzmie wielkościowym.

Po czym poznać, że żyje się z narcyzem?

Narcyzm wielkościowy ma to do siebie, że ludzie o wysokim jego poziomie robią bardzo dobre pierwsze wrażenie. Drugie oblicze wychodzi na jaw dopiero w dłuższej relacji. Może przejawiać się agresją lub manipulacją. Bardzo trudno to rozpoznać. Czasami da się dopiero wtedy, gdy manipulacje stają się oczywiste, ale nawet i to da się maskować, używając subtelnych metod.

Narcyzm wielkościowy ma to do siebie, że ludzie o wysokim jego poziomie robią bardzo dobre pierwsze wrażenie. **Drugie oblicze wychodzi na jaw dopiero w dłuższej relacji.** Może przejawiać się agresją lub manipulacją.

W filmie „Gaslight" z lat 40. mąż usiłuje przekonać żonę, że ona jest w obłędzie, zagubiona, myli się w sądach. Bohater ściąga obraz ze ściany i go chowa, a następnie pyta żony, gdzie schowała ów obraz. Kobieta odpowiada, że nie wie. Kiedy wspólnie odnajdują obraz, on mówi: widzisz, znowu go schowałaś. Próbuje wzbudzić w niej poczucie, że jest szalona. Oczywiście, jest to pewne przerysowanie w fikcyjnej historii, działanie męża jest wyrachowane. W narcyzmie najczęstsza manipulacja polega na wzbudzaniu poczucia winy. Trudno to zobaczyć, od razu nazwać. Wymaga to czasu i wysiłku poznawczego, świadomości.

Jeśli ma się wątpliwości, warto sobie zadać pytania: dlaczego czuję się winna / winny? Skąd się te emocje biorą? Dlaczego ja się tak zachowuję? Zbadać i odnaleźć źródło dyskomfortu.

Gdzie przebiega granica pomiędzy narcystyczną cechą osobowości a zaburzeniem?

Obecnie w psychologii klinicznej pokazujemy, że to nie jest zero-jedynkowe. Nie ma takiego momentu, w którym



DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

PROF. DR HAB. MARCIN ZAJENKOWSKI jest pracownikiem Wydziału Psychologii UW, zajmuje się psychologią osobowości. Laureat nagrody Ig Nobel w 2025 r. za badania nad wpływem informacji zwrotnej dotyczącej poziomu inteligencji na chwilowy poziom narcyzmu. Autor licznych publikacji na temat inteligencji, osobowości i narcyzmu. Redaktor naukowy czasopism „Personality and Individual Difference" i „Journal of Personality".

powiemy: o, jesteś zaburzony, a moment wcześniej byłeś zdrowy. To jest pewne kontinuum.

Kiedy należy szukać pomocy?

Wtedy, kiedy cierpimy. Zwalniają nas z kolejnej pracy. Otoczenie mówi, że coś jest nie tak. Na bardzo wysokim poziomie narcyzmu, kiedy wkracza on w zaburzenie, wielkościowa forma może się przenikać z nadwrażliwą – z dołkiem. Te dwa typy mogą się nawzajem przenikać, fluktuować. W sytuacji wielkościowości rzadko szukamy pomocy. Dopiero w momencie, kiedy jesteśmy w dołku, przeżywamy wiele porażek i świat mówi, że robimy źle – możemy wpaść w dołek narcystyczny, nadwrażliwość. I kiedy człowiek poczuje, że cierpi, odczuwa dużo negatywnych emocji, zaczyna szukać pomocy. Ciężko jest postawić granicę pomiędzy cechą a zaburzeniem.

Czym jest narcyzm wspólnotowy?

Grupa badaczy skupionych wokół Constantine'a Sedikidesa stwierdziła, że narcyzm może się przejawiać w innej sferze niż egoistyczna i można ją nazwać wspólnotową. To przekonanie o własnej wyjątkowości w sferze społecznej. Przekonanie, że jest się najlepszym przyjacielem na świecie, najbardziej pomocną osobą w rodzinie. Żyły sobie dla wszystkich wypruwam. Daję z siebie wszystko dla wspólnoty, grupy, uczelni, redakcji... I wszyscy powinniście doceniać, jak się dla was poświęcam. To jest myślenie narcystyczne w domenie wspólnotowej. Kojarzy mi się to z mitem „białego zbawcy", który pomaga mieszkańcom Afryki, buduje szkoły i reformuje rządy, bez pytania o faktyczne potrzeby osób, którym „niesie pomoc".

Czy to się nie sprowadza do mechanizmu, o którym mówiliśmy na początku: jeśli rodzice cię kiedyś nie doceniali albo przeceniali, to w pewnym sensie niesiesz to obciążenie przez życie? Postrzegasz innych i ich potrzeby przez pryzmat siebie. Własnego wyobrażenia o świecie.

Tak, niewidzenie innych i brak zrozumienia perspektywy drugiej osoby wydaje się kluczowy we wszystkich zjawiskach narcyzmu. Narcyzm wspólnotowy jest tym samym narcyzmem, o którym rozmawialiśmy od początku, ale lepiej ukrytym. Można tym ładnie manipulować i szantażować: „Zobacz, ile ja dla ciebie robię, a ty mnie nie dostrzegasz...".

Z drugiej strony, nie każda akcja charytatywna jest przejawem narcyzmu wspólnotowego, choć może mieć w sobie narcystyczny komponent.

Czy narcyzm może odnosić się także do grupy?

Narcyzm kolektywny to przekonanie, że moja grupa społeczna jest wyjątkowa i należy jej się specjalne traktowanie. Czyli znowu: roszczeniowość, oczekiwanie wyjątkowego traktowania, ale w odniesieniu do grupy. To może być poziom narodowy.

My – katolicy, my – fani Wisły Kraków, my – niedoceniany naród polski...

...studenci Uniwersytetu Warszawskiego, którzy mogą myśleć, że są na najlepszym uniwersytecie i czuć się bardziej wyjątkowi niż ci „inni". To mogą być przeróżne wspólnoty, w których identyfikacja z grupą jest źródłem poczucia wyjątkowości.

A potem siedzimy przy wigilii i boimy się odezwać, żeby wuj miłujący Konfederację czasem nie zripostował?

Wrogość to nastawienie oparte na założeniu, że inni chcą mnie skrzywdzić i są do mnie źle nastawieni. Sytuacje, które nie są jednoznaczne, interpretuje się jako wrogie. Jeżeli ktoś się do mnie uśmiechnął, ale nie wiem do końca, dlaczego, to w narcyzmie wrażliwym, ale też kolektywnym, interpretuje się to jako zagrażające. Różnica poglądów przy stole może do tego prowadzić. Często nawet odmienne zdanie postrzega się jako zagrożenie i personalny atak.

Czego nauczyły Cię własne badania?

Narcyzm to kategoria, którą stereotypizujemy innych. Tymczasem doświadcza go każdy z nas. W różnych, nawet bardzo subtelnych, codziennych sytuacjach. Gdy próbujemy pomagać na siłę, porównywać się i rywalizować z innymi. Wszyscy walczymy o zachowanie pozytywnego obrazu siebie wśród innych, czasami nie zdając sobie sprawy, jak bardzo nas to zamyka na informacje, które by temu przeczyły. Często jesteśmy przywiązani do własnych poglądów bardziej, niż jesteśmy skłonni przed sobą przyznać. Mamy przekonania na temat świata. I walczymy o nie bardzo mocno. Czasami to jest dobre, bo napędza nas do podejmowania działania, walki o sprawę. Ale może nas też ograniczać i zawężać pole widzenia. Kiedy ktoś jest w kontrze do mnie, a ja tylko chcę mieć rację...

Można mieć rację albo relację?

Tak. Trzeba się zastanowić, dlaczego ktoś protestuje. Dlaczego ma inne zdanie? Jakie są racje drugiej strony? Nawet jeśli uważam, że oponent postępuje niemoralnie, to mogę sobie zadać pytanie: dlaczego? Może coś wtedy zobaczę, zrozumiem lepiej. To jest trudne, ale zostało naukowo udowodnione, że empatia wyrywa nas z narcyzmu. © Rozmawiał MARCIN TUSIŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński: *Czytam adhortację „Dilexi te”*



Troska o słabszych – oto, według René Girarda, fundament chrześcijańskiego przesłania. Francuski antropolog napisał kilka książek o naturze przemocy, jej spajającej wspólnotę sile, a także o złożonych sposobach, z pomocą których ludzie zakłamują własną skłonność do okrucieństwa. Poświęcił sporo czasu, żeby pokazać, jak Ewangelie z tego fatum się wyłamują, a jednocześnie je łamią, jak demaskują i demontują jego złowrogi mechanizm. W eseju opatrzonym efektownym, zaczerpniętym z Pisma tytułem „Widziałem szatana spadającego z nieba jak błyskawica”, właśnie troskę o słabszych uznał jednak za najważniejszy wyróżnik chrześcijaństwa. I przeciwstawił go filozofii Nietzschego, który, zdaniem Girarda, świadomie budował swój projekt na radykalnym porzuceniu tej troski.

Współczesna kultura, widać to gołym okiem, podąża raczej za Nietzschem i jego Dionizosem, nie zaś za Chrystusem – ofiarą, która nie zmartwychwstaje po to, żeby zemścić się na swoich prześladowcach, upokorzyć ich i zdominować, lecz żeby im wybaczyć i wezwać do zastąpienia odwetu miłosierdziem. Pytanie palące i fundamentalne brzmi zatem: na czym dziś oprzeć nakaz troski o słabszych, aby stał się nie tylko powszechnie obowiązującym prawem, lecz także oczywistym odruchem serca? Co przeciwstawić logice banknotu i rewolweru w epoce, w której ramą nadającą sens i kształtującą wartości przestało – a w każdym razie przestaje – być chrześcijaństwo, zastępowane przez turbokapitalizm, teorie spiskowe, wirtualną ułudę albo ideologiczne wzmożenia?

Wydaje mi się, że Leon XIV (jak wcześniej Franciszek) zdaje sobie sprawę z istotności tego pytania. Stąd, myślę, w swojej pierwszej adhortacji „Dilexi te” zasadniczy akcent położył na kwestię ubóstwa i nierówności. Wbrew rozmaitym konserwatywnym krytykom tego tekstu, Leon nie mówi tam nic nowego. Przeciwnie, niemal każdą tezę odnosi bezpośrednio zarówno do Ewangelii, jak i ojców Kościoła. Jest to, z jednej strony, standardowy stylistyczny zabieg w tego typu literaturze, z drugiej jednak coś jeszcze więcej.

A mianowicie wskazanie, że istnieje przepastna, sięgająca starożytności tradycja, która od początku przeciwstawiała się systemowi opartemu na przemocy, dominacji silnych nad słabymi, chciwości i niesprawiedliwości. Nie jest to zarazem tradycja oparta na resentymencie. Nie jest to tradycja wzywająca masy do wielkiej rewolucji, której upiorna, fatalna praktyka obraca się nieuchronnie także przeciwko tym, którzy w imię szczytnego ideału usiłują wcielać go w życie. Nie jest – owa tradycja – w tym sensie projektem politycznym (choć ma polityczne konsekwencje), lecz czymś jednocześnie głębszym i bardziej pierwotnym, co bierze początek z wewnętrznej przemiany. I co odnosi się nie do relatywnych, konwencjonalnych ustaleń, ale do nieredukowalnego uniwersalizmu, bazowej równości wszystkich ludzi jako stworzonych intencjonalnie przez Boga. Nie przez ślepe, przypadkowe, amoralne siły przyrody, lecz przez podmiot, który nieskończenie przekracza wszelkie horyzonty naszego rozumienia. I który w określonym momencie historii przyjął ludzką postać i wziął na siebie ludzki los, jest więc nie tylko abstrakcyjną ideą, ale i wzorem, którego życie wyznacza teorię i praktykę nakazu troski o słabszych.

Czy ludzie niosący chrześcijaństwo na sztandarach nierzadko sprzeniewierzali i sprzeniewierzają się głoszonym przez siebie wartościom? Czy istnieje szereg „nietzscheańskich” wersji chrześcijaństwa, w których staje się ono jeszcze jednym uzasadnieniem dla opresji, dominacji, wykluczenia i nierówności? Owszem. I o tym również pisze Leon XIV, wskazując, że da się mimo wszystko odróżnić, co jest istotą tego przesłania, a co jego deformacją lub parodią. I doprawdy, nie ma znaczenia, czy się w to „wierzy”, czy nie, starczy zdawać sobie sprawę z przełomowej natury zwrotu, jaki chrześcijaństwo ze sobą przynosi, z potęgi pocieszenia i nadziei, którą daje, z etycznego radykalizmu, do którego nawołuje.

W ten właśnie sposób czytam pierwszą adhortację nowego papieża, przejętą po poprzedniku, domkniętą i dokończoną w duchu jego podejścia. W coraz groźniejszym i coraz bardziej niezrozumiałym świecie, zarządzanym przez potęgi międzynarodowego biznesu i wielkiej polityki, wskazuje ona na inne niż pieniądz i siła źródła porządku, sensu i wartości. Odwołuje się do wielkiej opowieści, w której centrum nie stoi figura zdobywcy, lecz ofiary. Ofiary, która ostatecznie okazuje się zwycięzcą, nie osiąga jednak tego zwycięstwa mieczem, lecz miłością. A to akurat, jestem pewien, jest w dzisiejszej rzeczywistości najbardziej potrzebnym i oczywistym, a także najbardziej – używam tego słowa z całą odpowiedzialnością – atrakcyjnym aspektem chrześcijańskiego przesłania. W społeczeństwach złożonych z coraz bardziej samotnych jednostek, skazanych na współzawodnictwo, zantagonizowanych i permanentnie wzmożonych przez polaryzację i modne ideologie, używanych przez korporacje i polityków do realizacji własnych egoistycznych celów, niezbędna jest perspektywa, która pozwoli na wyjście poza logikę siły i pieniądza, na odbudowę potrzaskanej wspólnoty.

Szukamy tej perspektywy w najróżniejszych miejscach, tymczasem mamy ją wprost na wyciągnięcie ręki. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguł na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.

REKLAMA




SUBARU CROSSTREK
Z ATRAKCYJNYM FINANSOWANIEM
GOOD VIBES ONLY
CROSSTREK
SZCZEGÓŁY OFERTY U DEALERÓW
DEALERZY.SUBARU.PL
SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ SUBARU SAFE8
WIĘCEJ NA SAFE8.SUBARU.PL
8 LAT GWARANCJI
SUBARU SAFE8
SUBARU
SUBARU ZALECA PRODUKTY
SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU
KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS
warta.
Santander Leasing
ENEOS MOTOR OIL
YOKOHAMA
REKLAMA